WORCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

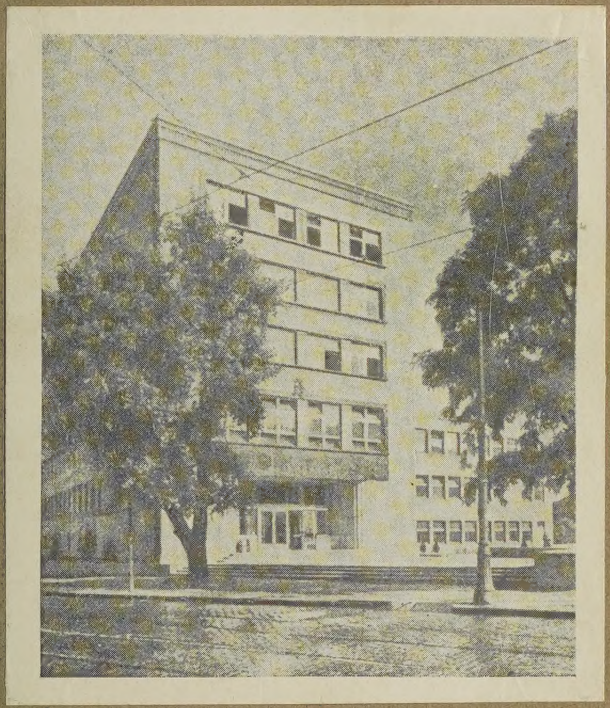

GRUDZIEŃ • 1947 • ZESZYT 12

TWÓRCZOŚĆ

GRUDZIEŃ

1947

TREŚĆ ZESZYTU

ANDRZEJ BOBKOWSKI: SZARA PLEŚŃ
STEFAN TWORKOWSKI: SPRAWY ARCHITEKTURY
BOLESŁAW SKARŻYŃSKI: POLONICA
W PIŚMIENNICTWIE SZWEDZKIM
W CZASIE WOJNY
ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI: JOHN STEINBECK —
PISARZ ANTYAMERYKAŃSKI
SPRAWY I TROSKI: DYSKUSJE I ZJAZDY
(K. WYKA, T. HOŁUJ, H. MARKIEWICZ,
F. STROJOWSKI)
NOTY

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK LITERACKO-KRYTYCZNY

ROK III ZESZYT 12

GRUDZIEŃ 1947

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE
M — 34057

ANDRZEJ BOBKOWSKI

GRIS MOISI*)

26. 9. 1940

Musieliśmy wstać wcześnie, bo zegary po tamtej stronie są posunięte o godzinę naprzód, dostosowane do czasu niemieckiego. Według tego czasu oficerowie „urzędują" na „granicy". Deszcz przestał padać, ale dzień jest ponury i zimny. Gotujemy kawę, dożywiamy młodego chłopca. Potem pakujemy się. Pomimo zimna postanawiamy zostać w shortach, bo wygodniej się jedzie. Koło 9-ej jesteśmy gotowi i ruszamy do odległej o czterdzieści metrów bariery niemieckiej. Nasi towarzysze stoją na progu w komplecie i żegnają nas okolicznościowym *bon passage*. Są tak samo podnieceni jak my. Czy nas puszczą, czy znowu do nich wrócimy? Jestem zdenerwowany i odczuwam coś w rodzaju zgagi; także wstręt. Chciałbym mieć już to jak najprędzej poza sobą. Podchodzimy do bariery.

Stoi tu trzech oficerów w szarych płaszczach skórzanych, w rękawiczkach. Przechodzących obsługują żołnierze i podoficer, i tylko wypadki wątpliwe rozstrzygają oficerowie. Pokazujemy podoficerowi nasze dowody osobiste francuskie i *sauf-conduit;* patrzy, zabiera papiery i salutując podaje oficerowi. Dwaj inni też zainteresowali się i otaczają nas. Oficer czyta i mówi łamaną francuszczyzną: — *Vous êtes réfugiés?* — Czyta dane w mojej *carte d'identité* i nagle uśmiecha się. — *Wo sind Sie geboren?* — pyta nagle po niemiecku. Jestem straszliwie zdenerwowany i zupełnie odruchowo odpowiadam po niemiecku. Odpowiadam — też zupełnie machinalnie, w ogóle o tym nie myśląc, starym dowcipem.

— *In Wien bei Wiener-Neustadt.* — Mam poważną minę i od razu zaciskam zęby. Oficerowie wybuchają niemieckim śmiechem, takim piwnym i ciężkim. — Ha, ha, ha...

— *In Wiener-Neustadt bei Wien,* — poprawia mnie — ha, ha, ha — *Anton, er ist doch dein Landsmann...* — Anton ma szczupłą twarz i uśmiecha się kwaśno. Ten Austriak odczuwa to pewnie jako złośliwość ze strony tego Niemca. Taki żarcik, przytyk. Rozmowa towarzyska. Jakim sposobem jestem Polakiem? Objaśniam krótko i węzłowato. Niemiec bierze mi z rąk portfel i zaczyna z niego wszystko wyciągać i przeglądać. Trafia na fotografię ojca

*) Szarość pleśni

w mundurze, jeszcze w stopniu pułkownika. Pokazuje ją tamtym i jest zachwycony: — *Was für ein netter Kerl...* — Pięści same zaciskają mi się i przełykam dużo śliny. Dalsza rozmowa. Skąd jedziemy, jak długo. Teraz śmieją się z uznaniem na wzmiankę o naszej trasie. Pytają, co mamy w naszych tobołach, czy nie mamy broni i obcych walut. Mój zeszyt jest na dnie, w plecaku. Robię ruch, jakbym chciał od razu rozpakowywać wszystkie bety. — *Nein, nein, na, fahren Sie weiter.* — Myślałem, że to już koniec i wyciągam rękę po nasze papiery. Ale on oddaje je podoficerowi i ten prowadzi nas do małego baraku na drugim końcu mostu. Milczymy i pomimo obawy zaczynam sobie przypominać wierszyk Heinego do celników. Najgorsze przewożę w głowie...

— *Warten Sie ein Moment.* — Czekamy. Opieramy rowery o ścianę baraku. Po chwili podoficer wpuszcza nas do środka. Czego oni jeszcze chcą? Wchodzimy. Tadzio najbezczelniej w świecie, trochę bełkocąc mówi „Gutwmordę" i kłania się. Potem trąca mnie i ledwo dosłyszalnym szeptem: „Rany Chrystusa — Giestapo". Przy stoliku siedzi dwóch wojskowych. Odpowiedzieli przyjaźnie *Gutmorgen.* Oni trzymają w rękach nasze dokumenty i czytają. Potem otwierają grubą księgę — dostrzegam spisy nazwisk. Drukowane — a jakże — *Ordnung muss sein.* Jeżdżą paluchami po stronicach. Coś poszeptali między sobą. Oddają nam nasze papiery.

— *Na, da könnt Ihr weiter fahren. Warum kehren Sie nach Paris zurück?*

Tłumaczę, że mam tam żonę, że zostawiłem ją bez środków do życia i że już cztery miesiące jej nie widziałem. Jeden z nich uśmiecha się melancholijnie:

— Ja nie widziałem już mojej żony od trzynastu miesięcy — *verstehen Sie* — od trzynastu miesięcy...

Mam głupią minę. Czeka mnie jeszcze większa niespodzianka.

— Jeżeli chcecie jechać pociągiem, to idźcie na dworzec w Chalons. O 11-ej odchodzi pociąg do Paryża.

— Dziękuję bardzo; pojedziemy dalej na rowerach. Jeszcze tylko trzysta kilometrów — to już niewiele... — Uśmiechnął się filuternie.

— *Saget Ihr besser dass Ihr kein Geld habt um Euch die Eisenbahnkarte zu kaufen* .. No, macie tu dziesięć marek — i wyciąga z portfelu pieniądze. Gdyby sięgnął po pistolet leżący na stole byłbym mniej zaskoczony. Głupia sytuacja, beznadziejna.

— Nie, dziękuję, nie mogę tego przyjąć. Jeszcze mamy pieniądze, ale c h c e m y dalej jechać na rowerach. Mamy już tysiąc trzysta kilometrów za sobą i to byłoby niesportowo teraz koleją... — tłumaczę gorączkowo.

— *Machen Sie doch keine G'schichten* (raz mówi per *Sie*, raz per *Ihr* — zwykle gdy patrzy na Tadzia). Odeśle mi pan te pieniądze z Paryża. Ja je panu pożyczam.

— Nie, naprawdę bardzo dziękuję. Musi pan nas zrozumieć. To nie jest sportowo po tysiąc trzystu kilometrach ładować się do pociągu — *besonders dass wir weder krank noch müde sind...*

Schował ze śmiechem 10 marek i wyszli za nami przed barak. Obmacali rowery z szacunkiem. Zaimponowałem im. Przyglądają się, jak ruszamy z miej-

sca. Robimy to szybko i składnie. Wjechaliśmy do Chalons. Tadzio oglądnął się i stwierdził:

— A to ci słodki cukierek, kopany w pysk. Co im się stało?

— Propaganda. Mydlą oczy. Chodzi o to, żebyśmy opowiadali w Paryżu, jacy oni są mili i jak idą na rękę. Każdy Francuz dałby się na to złapać — ale po co ta zabawa z nami? Przecież dobrze wiedział, że jesteśmy Polakami. Nie rozumiem.

Wjeżdżamy w ulicę, przy której jest Komendantura. Trzeba zatrzymać się i poczekać, bo właśnie rozpoczyna się zmiana warty, uroczysta, z całym plutonem. Żołnierze wychodzą z wartowni, stają w szeregu, oddziela się od nich malutki podoficer. Francuskie określenie mówi o takich, że „są tak mali, iż p.....ąc podrywają kurz z ziemi". Komenderuje; wyszczekują krótkie słowa, żołnierze są jak automaty. Potem krótki marsz krokiem defiladowym. Podkute buty walą w bruk, na przedzie mały podoficer. Przy każdym zadartym kroku hełm kiwa mu się na głowie jak naparstek wsadzony na zapałkę. — Łup, łup, łup, — walą podkute buty w bruk tej francuskiej (chyba ktoś przekłuwa mi serce igłą) mieściny, aż echo odzywa się wśród murów starych domów.

— *Halt!* — Cisza. I znowu marsz. Jest taki wiersz Kiplinga — „Buty". Pamiętam, że co kilka zwrotek powtarza się miarowo słowo „buty, buty, buty". Czytałem go raz, teraz słyszę po raz drugi, recytowany wspaniale, w języku zrozumiałym dla każdego, w oryginale; w języku tych najwymowniejszych na świecie butów i w wykonaniu prawdziwych mistrzów. Mogą się wypowiadać, czym chcą; naprawdę, do głębi potrafią siebie wyrazić jedynie stukiem butów, łomotem podkutych saperek. Tu tkwi ich dusza, ta prawdziwa, bez obsłonek. Są artystami. 80 milionów najbardziej utalentowanych kompozytorów muzyki butów.

Zasłuchałem się. Tak samo łupią te buty w Oslo, w Kopenhadze, w Warszawie, w Brukseli, w Amsterdamie. Dudnią wszędzie. A gdzie jeszcze będą łomotać? W tej chwili walą w stare kamienie Francji. Czy w każdej kostce bruku jest kawałek mojego serca? Teraz naprawdę czuję, jak bardzo ją kocham. Nie chce mi się wierzyć i te buty gniotą mi serce. Zmiana warty skończyła się i jedziemy dalej. Na ulicach pełno żołnierzy. Chodzą, oglądają wystawy, piją piwo. Są doskonale ubrani i czyści. Szeregowcy noszą rękawiczki. Proporcjonalni, wysportowani i dobrze odkarmieni. Cała Europa wierzyła, że w Niemczech głód: śmiano się, że oni „zaczynają wojnę z kartkami żywnościowymi". Teraz wszystkie narody będą jadły na kartki, a oni będą się obżerać. Na murach porozlepiane wielkie afisze z tonącymi okrętami i z tonącym francuskim marynarzem. Napis: „Pamiętaj o Dakarze". Gdybyż można wymazać ten „Dakar" i wpisać „Tulon"... Zgrzytam zębami. Wjechaliśmy do innego kraju. To była jednak granica. Pogoda uzupełnia ten nastrój: niebo, pola, domy i mundury — wszystko jest *feldgrau*. Zimno i beznadziejnie szaro.

Przedwczoraj zrobiliśmy 100 km, wczoraj 80 i jesteśmy zmęczeni. Droga znowu górzysta. Atmosfera jest tak ciężka, że marzę o zaszyciu się w słomie, o schowaniu się gdzieś w stodole, żeby na chwilę uciec w siebie. Co chwila przelatuje obok nas niemiecki samochód lub motocykl, poza tym pustka i cisza.

Przy szosie leżą jeszcze gdzie niegdzie resztki rozbitych samochodów, czasem grób francuski lub niemiecki z powieszonym na krzyżu hełmem. Groby niemieckie są ogrodzone, ładnie utrzymane; do francuskich ludzie boją się pewnie podchodzić. Robią to za nich Niemcy. Widzimy dwóch żołnierzy, którzy ukończywszy majenie swoich nagrobków zabierają się w skupieniu do Francuza. *Anständige Buben — und so gut erzogen...* Zmarzliśmy tak, że w jakiejś wiosce idziemy na rum. Wypijamy po kieliszku od wina i wleczemy się dalej. Zimny wicher tnie po gołych nogach. Postanawiamy już nie spać w namiotach. W stodole na fermie będzie wygodniej i cieplej. Chciałbym już być w Paryżu, a równocześnie boję się tego powrotu. Wpaść tak nagle już do tego innego Paryża...

Zegarki posunęliśmy o godzinę naprzód i trudno nam się do tego przyzwyczaić. Gwałcenie słońca, które dotąd było naszym panem i władcą. Wreszcie o 5-ej po południu schodzimy z drogi i idziemy do fermy. Patron jest uprzejmy i chętnie pozwala nam się rozłożyć w pustej stajni. Zmarznięci i głodni, mościmy się na kupie słomy, ubierając na siebie wszystkie ciepłe rzeczy. Rozwieszamy mokry namiot. Patron przyszedł do stajni na pogawędkę. Dowiedziałem się od niego, że zarządzono już tutaj spis całego inwentarza żywego i posiadanych zapasów zboża, kartofli, fasoli, grochu itd. Powiedział mi, że podał do spisu tylko połowę, bo „ja dobrze wiem, po co oni to robią". A jak zechcą szukać, to niech szukają... Uśmiecha się chytrze *père* Grandet. Na wsi *„ça ira"*, ale w miastach będzie głód. Pod wieczór wyszedł i obiecał nas jutro obudzić. Jemy kolację, i zanurzamy się w słomie. Na dworze wilgotno i zimno. Odzwyczailiśmy się od zimna. Oj — południe... Tak tam było dobrze. Rozumiem ludzi, którzy raz poznawszy południową Francję tęsknią za nią całe życie. Już tęsknię.

27. 9

Patron obudził nas wcześnie rano i przyniósł pół wiaderka mleka. Przed śniadaniem poszliśmy do studni umyć się porządnie, bo właściwie ostatni raz myliśmy się pięć dni temu. Dzień zapowiadał się słoneczny i trochę cieplejszy, ale rano wszystko pływało w jesiennej mgle. Gołębie gruchały na mokrym dachu, a patronka głośno wymyślała wielkiemu kotu, który coś tam nabroił w nocy i teraz uprawiał gimnastykę trapezową wśród dzikiego wina nad drzwiami. Potem rozmawiałem z nią o gospodarstwie. Z głupia frant pytała mnie, czy nie mam srebrnych dziesięcio- i dwudziestofrankówek, bo ona to „zbiera". Numizmatyka kwitnie na francuskiej wsi, jak zwykle. Powiedziałem, że nie mam. Pewne prawa ekonomiczne (jeżeli w ekonomii w ogóle można mówić o jakichś „prawach". Jest to chyba nauka najbardziej zbliżona do meteorologii: będzie pogoda, ale może padać deszcz) będą zawsze istnieć, wbrew wszystkim „ekonomiom planowanym", „zamkniętym obiegom pieniądza" i bardzo ciekawym studium Piersona, Misesa i Barone'a. W żadnym równaniu Barone'a (ministerstwo produkcji w państwie kolektywistycznym) nie znalazłem śladu ojca Grandet. L. miał zupełną rację, gdy w swych wspaniałych wykładach mówił, że ekonomii należy uczyć się t a k ż e z Balzaca. Jestem ciekawy, czy

dojdzie we Francji do inflacji. Jeden dzień utrzymania armii okupacyjnej kosztuje Francuzów 400 milionów franków, tzn. 12 miliardów miesięcznie, 144 miliardy rocznie. (Tak mi mówili po drodze). Ażeby temu podołać, produkcja franków będzie musiała wzrosnąć. Ojciec Grandet „zbiera" wobec tego srebro. Potem przerzuci się na dolary i złoto, na ludwiki. (Rozmawiając z patronem dowiedziałem się także, że za kilka dni mają mu przydzielić do roboty jeńców — francuskich. Niemcy wzięli do niewoli około 2 milionów Francuzów (trudno mi w to uwierzyć). Część tych jeńców przebywa w obozach, we Francji. Żeby pozbyć się kłopotów z wyżywieniem ich, rozlokowaniem na zimę itd., Niemcy przydzielają ich francuskim fermerom do roboty. Jeniec francuski będzie pracował u Francuza, który osobiście odpowiada za tego jeńca. Mój patron skrobał się w głowę, krzywił i stwierdził, że nie może sobie tego wyobrazić: „Ja, Francuz, też byłem w wojsku i tylko dlatego nie jestem jeńcem, że dobrze uciekałem, mam rozkazywać i traktować jak robotnika — jeńca, też Francuza. Nie mam prawa mu płacić, bo to jeniec, a jak nie zechce mi nic robić, to trudno go pędzić lub skarżyć się na niego, bo to Francuz. Jeść muszę mu dać, bo to jeniec, przydzielony przez Komendanturę, a jak mi ucieknie do domu, to ja za to odpowiadam". Istotnie — sytuacja kłopotliwa. Nieraz wydaje mi się, że Francuzi nie tylko nie chcieli się bić, ale nie chciało im się nawet uciekać. Po śniadaniu pakujemy się i jedziemy dalej. Dzień jest słoneczny, ale chłodny.

W jakimś miasteczku zatrzymujemy się, żeby kupić mięsa na wieczór. Wchodzę do sklepiku, dostaję ładne dwa kotlety i płacę stufrankówką. Patronka grzebie w kasie i wydaje mi resztę markami, które wyciąga z szuflady przy pomocy wielkich — pęsetek. Poczułem, że coś w mgnieniu oka wezbrało we mnie i wybuchnąłem dzikim śmiechem. A ona zaperzyła się:

— Ja mam brać to w rękę? To jest pieniądz — i potrząsa frankami. — Te bilety wizytowe tych *messieurs en gris moisi*, którzy przyszli nas odwiedzić, to nie jest żaden pieniądz!

Wsadziłem do kieszeni trzy marki (60 fr.) z mocnym postanowieniem pozbycia się ich przy najbliższej sposobności. W tych pęsetkach odezwała się Francja, ta moja. Tej patronce powinni dać kiedyś Legię Honorową — jej jako pierwszej. Opowiadam o tym Tadziowi. Zaczyna z miejsca śpiewać: „Bo to się zwykle tak zaczyna..." Tak — zaczyna się od tego.

Wszędzie po wsiach kwaterują oddziały niemieckie. Samochody i motocykle ryczą na szosach. Pomimo ich całej siły, to wojsko robi na mnie wrażenie czegoś tandetnego, jak norymberskie zabawki. Uczucie zupełnie niedorzeczne i niemożliwe do umotywowania. Jest coś blaszano-tandetnego w tej armii. To samo zauważa Tadzio zupełnie niezależnie ode mnie. Może to po prostu instynkt samozachowawczy — takie pęsetki. Nie można inaczej, to chociaż tak. Teraz... Wszędzie obowiązują już kartki żywnościowe i szczególnie o chleb i ser muszę toczyć długie boje. Oczywiście zawsze dostaję bez kartek. Ustosunkowanie się ludzi do Niemców jest milcząco-niewyraźnie-nieprzychylne. Chociaż jedna sklepikarka powiedziała mi otwarcie, że jeżeli chodzi o wojsko, to woli wojsko

niemieckie: „Nasi cofając się rabowali sklepy i bistra, bili ludzi, gdy ci sprzeciwiali się rozbojowi. Niemcy mogli wszystko brać; ale chociaż byli tacy, co chcieli im dawać za darmo, oni odmawiali i zawsze płacili. *Ils sont gentils — on peut rien dire...*" Powiedziałem jej, że porozmawiamy, jak zaczną się wycofywać Niemcy... Okolica staje się coraz mniej ciekawa, monotonna. O naszej podróży myślimy już jak o czymś, co minęło. W jednej wsi stoi kawaleria niemiecka, w innej czołgi — wszędzie ich pełno. Poznajdowali już sobie dziewczęta i chodzą z nimi po drodze. Tadzio, co zobaczy taką parkę, wymyśla na głos mijając ich: „Ach ty flądro zakatarzona, chodź tak, chodź, to zajdziesz... Podbije cię pod pierwsze piętro...!"

Żeby choć w jakiś sposób można myśleć o przyszłości, wysnuć jakieś przypuszczenia — nic, nic i nic. Myśleć o przeszłości? Nie ma sensu. Myśleć o jutrze? Czym? Kategoriami wczorajszymi? Nonsens. Pozostaje jedynie chwila obecna. Jeszcze bardziej uprościć swój system myślenia i starać się żyć — wyżyć i przeżyć. A czego się dożyje? Nie wiadomo.

Droga znowu jest górzysta. Idziemy często na piechotę, bo nogi mamy zmęczone. Nie pomagają już nawet klipsy przy pedałach. Podchodząc gadamy. Rozważamy dalsze możliwości życia w Paryżu. Jakoś trzeba będzie sobie radzić. Tyle razy stawałem już przed pytaniem „co dalej?" i tyle razy nic przed sobą nie widziałem, że w końcu przyzwyczaiłem się; nie nadwerężam się nerwowo i — gwiżdżę. Nagle dostrzegamy na szosie motocyklistów, pilnujących stojącego dalej samochodu. Posterunki nas zatrzymują. Stoimy. Maska samochodu jest podniesiona i dwóch żołnierzy coś naprawia. Brzegiem szosy przechadza się jakieś grube indywiduum w jasnym płaszczu, otoczone kilkoma oficerami. Patrzę, patrzę; z kieszonki plecaka wyciągam okulary, nakładam i oczom nie wierzę. Tam, o sto metrów dalej, przechadza się ze świtą sam Göring. Tadzio też patrzy, pochyla się: „Jędruś — niech skonam — Gieryng". Na pewno. Nie ma żadnej wątpliwości, że „Horch" nawalił i że ten (tu wiązka epitetów, wobec której Pantagruel i Gargantua byli niedorozwiniętymi dziećmi) czeka, aż naprawią. Próbują — motor zarechotał. Jeden biegnie i melduje. Tymczasem motocykliści każą nam zejść z drogi do rowu. Męczymy się, bo rowery ciężkie. Tadzio klnie na głos. Wróży „Gieryngowi"... Po chwili samochód przejeżdża obok nas, jeszcze nieprędko. Oczywiście Göring. Widzę go przez chwilę o pięć metrów ode mnie. Ubrany inaczej niż reszta. Że też każdy z tych wielkich wodzów musi mieć takiego pajaca. Napoleon miał Murata, ale Murat pochodził z cyrku i trudno mu brać za złe jego strusie pióra, lamparcie skóry i złote lamy. Dziwne jest to obserwowanie, jak w oczach robi się historia. Ile nafabrykuje się jej jeszcze za rok, za dwa, za trzy? Bo wypadki pędzą. Wynalazek motoru spalinowego i wzrost szybkości spowodował także wzrost szybkości zdarzeń. Historia świata przypomina jednoaktówkę filmową, w której amerykański komik zaczyna nagle pędzić, za nim tłum. „Policjant" z Charlie Chaplinem. Minął dopiero rok. Tadzio ciągle pyta się mnie, ile jeszcze. Mówię mu, że to niestety dopiero początek — jeszcze ze dwa, trzy lata na pewno. — A kto wygra? — Twierdzę, że Stalin. On patrzy się na zmagania tych dwóch

potęg i gotów być tym trzecim. Tadzio śmieje się i mówi, że żartuję. Trochę tak, trochę nie. Zresztą nie tylko ja tak myślę — mówią to ludzie po fermach i w sklepach. Widocznie w tej chwili jest taka moda. Zmienia się co miesiąc.

Pod wieczór przejeżdżamy przez Avallon. Pełno wojska, siedzą po bistrach i śpiewają swoje *Liedy*. Są już także Niemki, pewnie żony oficerów. Przyjechały już. Mijamy takie towarzystwo, wsiadające do samochodu i rozbawione. Czuję teraz wstręt do niemieckiego, choć kiedyś bardzo lubiłem ten język. W tym francuskim otoczeniu ten język jest w ogóle nie do zniesienia. Stare, francuskie miasteczko z romańskim kościołem i w tym roześmiana *blonde Hure*, drącą się na cały głos pod reklamą „Pernod Fils": — *Rudi — da musst du mir aber eine Aufnahme machen!* — Poczułem w sobie natychmiast wszystkie skłonności mordercy seksualnego. Co ja bym z nią nie zrobił... Czują się jak u siebie w domu. Tadzio jest nieostrożny, na cały głos odpala mowy: „Nie szastać się tu, psiakrew, i jazda do Anglii robić fotografie. Tam was zdejmą, w morde i nożem, wy szwabskie pieńki(?)..."

Kupiłem funt pomidorów i paczkę papierosów i uciekamy z Avallon. Zresztą trzeba poszukać noclegu na jakiejś fermie, bo wieczór zapada znowu zimny i wilgotny. Do Paryża mamy jeszcze 200 km. Pojutrze można by dojechać. Już po zachodzie słońca pytamy w jakiejś wsi o fermę, w której można by się przespać. Gruby *patron* przydrożnego bistra daje nam adres starej *mère Marie*, która „bardzo lubi takich chłopców jak wy i zawsze wszyscy harcerze u niej nocują".

Mère Marie okazała się wesołą starowinką. Od razu po naszym *bon soir* rozświergotała się i rozbawiła. Plotłem głupstwa i dowcipkowałem, ona była zachwycona. Biegała, sama chciała nosić słomę do pokoju, który nam przydzieliła w pustej części jej domu. Dała nam kołdrę i poduszkę, zagrzała mleka. Chwaliła nam się, że w czerwcu spało u niej dwóch generałów, a potem jakiś dyrektor wielkiego przedsiębiorstwa z całym sztabem sekretarek i stenotypistek. Chichotała figlarnie: „*Vous savez*, spali wszyscy razem, *le directeur et les belles filles de Paris*. Szkoda, że was wtedy nie było..." i cmoka. Obejmuję ją i klepię po ramieniu. Starowinka ma widać taką manię, żeby wszyscy u niej spali. Cała była jak echo tej dawnej Francji Anatola France i Daudeta. Poprosiliśmy o wiadro wody. Nie pozwoliła nam go przynieść. Popędziła do studni kudłatego i brudnego Paulota. „To m ó j jeniec, nasz jeniec, którego mi dali do roboty. On z Paryża — wielki leń i nic nie chce robić: oni wszyscy z Paryża tacy... Biedny chłopak, ale ja go nauczę pracować. Po co macie sami nosić wodę? Niech on wam przyniesie. Cały dzień *il fume ses sales cigarettes et siffle ses chansons de Paris...*" Dałem temu Paulot kilka papierosów. Przyznał mi się, że *mère Marie* go gania. W Paryżu był od dziesięciu lat bezrobotnym. Pytam go się, jaki jest jego zawód. Okazuje się, że ma fach bardzo specjalny: wiertacz pereł. Taki, co robi w perłach dziurki. Handel perłami bardzo osłabł, więc nie mógł znaleźć pracy w tym tak specjalnym zawodzie. I wolał czekać dziesięć lat, niż nauczyć się jakiegoś innego zawodu. Oni tacy są. Jeżeli jego zawód jest „wbijacz gwoździ", to już za nic na świecie nie podejmie się ich wyciągania, choćby przez całe życie miał być bezrobotnym. Bo wyciąganie gwoździ, to nie

jego *métier*. Ale Paulot już dość wprawnie czyści konie, rozwozi gnój i pędza krowy. Tadzio też daje mu papierosów i klepie go po plecach: „Ucz się kataniku, ucz. Jeszcze będą z ciebie ludzie, ty oberżłobie". Gotujemy kolację w „naszym" pokoju i kładziemy się spać.

28. 9

Wstaliśmy rano i cieszymy się, bo jest słońce. Ciepło nie jest, ale można wytrzymać. *Mère Marie* dała nam trzy litry mleka i siedzi z nami przy śniadaniu. Świergota od samego rana, jak wróble na podwórzu. Postać z powieści. Jest tak skończona i doskonała w swoim rodzaju, jak fuga Bacha. Ruszamy dalej. *Mère Marie* całuje nas w czoło, my ją w rękę, co wprawia ją w trans. Biegnie do ogródka, zrywa astry i obdarza nas bukiecikami. *C'est pour votre femme — ne les perdez pas...* Tadzio żegna się z kudłatym Paulot: „*Salut*, ty pastuszku betlejemski, *salut*". Paulot uśmiecha się kordialnie. Okolica jest nudna, ale jest płasko i jedziemy nie męcząc się zbytnio. Koło południa niebo zaciągnęło się chmurami i zaczął popadywać deszcz.

Już taki jesienny kapuśniaczek, francuska *bruine*, mocząca subtelnie i dokładnie. Zimno i ponuro. Mijamy jakieś lotnisko — leżą na nim jeszcze francuskie myśliwce (wyglądają na *Bristole)* na wpół popalone. Deszcz zaczyna tak padać, że musimy się przebrać i upakować nasze rzeczy inaczej. Wchodzimy do przydrożnej fermy i chronimy się w wozowni. Wyszła do nas jakaś starucha z laską, złośliwa i zrzędząca. Przeciwieństwo zupełne *Mère Marie*. Bardzo niechętnie zgadza się na nasz krótki postój pod dachem wozowni, coś mamrota i pilnuje nas cały czas. Tadzio powiada, że chętnie „wyrżnąłby tę zgniłą trumnę w papugie", ale boi się, że byłoby za wiele prochu. Wyobrażam sobie, jak ta stara tyranizuje resztę rodziny, która czeka tylko na jej śmierć, żeby zagarnąć spadek. Co kilka słów postukuje laską w ziemię, niespokojnie kręci i świdruje małymi oczkami. Jestem pewny, że ona wszystko widzi; nawet to, co dzieje się poza nią. Skondensowana złośliwość i podejrzliwość w pokurczonym, starczym ciele. Tadzio przebiera się i przepakowuje, podtrzymując cały czas rozmowę ze starą: „— No i co się tak patrzysz, ty cytryno — nic ci nie podjedziem z tej twojej parszywej hacjendy. A stukaj, Jagusiu, laską, to ci śmierć kosą postuka. Co? Koca pani szanowna nie widziała, czy co? To nasz, nie twój — ty stara mazepo...". A stara znowu coś tam do niego. Widząc, że już kończymy i mamy zamiar jechać dalej, zaszła nam od tyłu i zaczęła poganiać laską. Tego mi już było za wiele i huknąłem „z szlachecka" w *argot*: „*F... moi la paix, vieille crécelle, sommes pas des voleurs... Merde!*" I usiadłem na dyszlu, wyciągając papierosy. Uspokoiła się i odeszła w kąt. Tadzio wygłosił też dłuższe przemówienie po polsku i zapalił papierosa. Deszcz trochę ustał, stara kręciła się niespokojnie. Wytoczyliśmy się na szosę.

Wjeżdżamy do Auxerre. Deszcz znowu zaczął lać i niebo tak jest zaciągnięte czarnymi chmurami, że w mieście panuje półmrok. Na ulicach nie ma nikogo — pustka zupełna. Chcę kupić zapałek i chleba. Ale zapałek nigdzie

nie ma. Biegam zmoczony od bistra do bistra; już od trzech tygodni zabrakło zapałek. Wchodzę do piekarni. Patronka, młoda i ładna, nie chce mi sprzedać chleba bez kartek. Tłumaczę jej, proszę, mówię, że wracamy do Paryża i jesteśmy głodni. Nic nie pomaga. Widzę, że chciałaby mi ten chleb sprzedać, ale się boi. Drży cała i bliska jest płaczu: „*Chaque soir ils comptent les tickets* — nie mogę panu sprzedać nawet grama bez kartek...". Po szybach wystawowych piekarni płynie woda, jak z przelewającego się wiadra, rynny dzwonią i zachłystują się. Stoję i już nic nie mówię. Milczę. Cisza. I nagle kobieta rozpłakała się na głos, skoczyła do półki, porwała wielki chleb, podbiegła do mnie. Objęła mnie jedną ręką, przytuliła głowę do ramienia i łkała przeraźliwie, drugą ręką wpychając mi chleb. Szlochając krzyczała prawie. Urywane i wydzierane poprzez płacz słowa: — *Prenez, mangez... vous êtes jeune...* — Zaczęła grozić pięścią w stronę ulicy... — *tant pis... j'ai pas peur... ils... ils ont défendu de vendre...* — W końcu nie mogła nic mówić, zanosząc się od płaczu i tylko czasem wykrztusiła w moją mokrą wiatrówkę „*ils*", miotana bezsilną złością i buntem. Pogładziłem ją po głowie, powoli odsunąłem i posadziłem na stołku. Usiadła zgięta, z pochyloną głową. Wyszedłem nic nie mówiąc. Plusk deszczu na ulicy, półmrok piekarni, ten jedynie zrozumiały i wyszarpywany razem ze szlochami wyraz „ONI", to wszystko było tak przeraźliwe, jak niektóre nowele Maupassanta. Czytałem taką jedną z czasów wojny francusko-pruskiej. Nie pamiętam tytułu, ani nawet treści, ale wiem, że przeżyłem coś takiego i że to tak musiało być wtedy. Na głowę i na serce zwaliło mi się nagle coś ciężkiego, jakiś olbrzymi, szary hełm żelazny. Hełm „ich". Stoimy pod jakimś daszkiem, otoczeni frędzlami wody. Upycham chleb i cały czas słyszę ten płacz i szloch w chlupocącej pustce deszczowego dnia. Jeszcze ciągle czuję jej twarz na ramieniu i mam ochotę także płakać... Do ogrodu szczęśliwych dzieci, do kupki piasku, na której bawiły się w słońcu, wdarł się wstrętny chłopak, poburzył babki, skopał zamki, nasypał im piasku do drugich śniadań i szarpie za włosy białe dziewczynki i chłopczyków w białych kryzach.

Ulicą wlecze się jakiś staruszek, zgięty i zawinięty w pelerynę z kapturem. Idzie i postukuje laską w bruk chodnika. Wtem z hukiem przeleciał motocykl, rozbił w pył wielką kałużę i zniknął. Woda bluznęła na pelerynę. Stary przystanął, przestał stukać laską, wyprostował się i pogroził pięścią, jęcząc coś cicho, jakieś „He e... eee... ee". I znowu rozpoczął swą wędrówkę na trzech nogach.

Jestem roztrzęsiony, myśli moje są też tylko jakimś „He.e...e.ee...ee" i mnie udziela się ten milczący strach. Wszystko wokoło drze nerwy i w całym otoczeniu jest coś więcej niż beznadziejność jesiennej ulewy. Przeczekamy deszcz wszystko jedno gdzie, byle nie w tym mieście. Wciągamy kaptury, wiążę swój starannie i nasuwam na oczy, jak końskie klapy; jedziemy, nurkujemy w ulewie. Kilka kilometrów za miastem znajdujemy przy drodze pustą budę — domek dla robotników naprawiających szosy. Włazimy do środka, zapalamy maszynkę i gotujemy litr wina z cukrem i z rodzynkami. To stawia na nogi. Deszcz powoli ustaje i przejaśnia się. Dalej. Okolica płaska. W jakiejś wsi

dostałem jeszcze kawałek kiełbasy i puszkę groszku. Pod wieczór mościmy się w stojącej samotnie na polu szopie pełnej słomy. Zostawiam rower i wychodzę do odległej o kilkaset metrów wsi. Tadzio: „A gdzież ty jeszcze idziesz?" — „Pójdę odszukać właściciela tej szopy i zapytam go, czy pozwala, abyśmy tutaj spali". — „Rozumiem, rozumiem...". Patron zgadza się chętnie: — Tylko uważajcie z ogniem. — Wieczór jest lodowaty. Krzątam się przy kolacji i gwiżdżę. Nie wiem skąd, zupełnie nagle przypomniała mi się symfonia Bizeta. Ale nie pamiętam która. Tadzio słucha. — Jędruś, to jest wspaniałe. Co to jest? — Maszynka syczy. — Ile mamy jeszcze do Paryża? — Zobaczymy jutro.

Paryż 29. 9

Myli nas ciągle ten niemiecki czas. Rano jest jeszcze szaro, wydaje się, że to dopiero szósta, a to już ósma. W lecie francuskie zegarki posunięte są o godzinę naprzód. Przyszli Niemcy i posunęli jeszcze o godzinę. Zanim ugotowaliśmy śniadanie i upakowali rzeczy, zrobiła się 12-a. Dzień już tak zimny, choć lekko słoneczny, że chowamy shorty i wdziewamy spodnie i swetry. Wyjeżdżamy na szosę i odszukujemy pierwszy słupek kilometrowy. „Paris 135 km". Popatrzyłem na Tadzia. „Finiszujemy?"

— Jak dobrze czknąć, na wieczór można zajechać. Finiszujem!

Droga równa i od razu bierzemy mordercze tempo. Strzałka szybkościomierza chodzi pomiędzy 25—28 km. Gdyby nie obciążenie, byłaby to jazda prawie wyścigowa. Przy takim wysiłku w ogóle przestaje się myśleć. Myśl staje się kilometrami. Na przednim bagażu mam przymocowany zegarek i wpatruję się w niego cały czas. Kręcimy. Wracam, naprawdę wracam. Nie ma we mnie żadnego uczucia obcości, ani przez chwilę nie myślę o tym, że jestem w obcym kraju. Wracam do s i e b i e. Już zupełnie zatarły mi się w pamięci te długie tygodnie włóczęgi po słońcu. Myślę o m o i c h ulicach w Paryżu tak, jak dawniej myślałem o moich uliçach w Krakowie. Co chwila bieli się w dali słupek kilometrowy, zbliża się, już; teraz znowu 100 m, 200 m, 300 m...

Przelatujemy przez Sens. Na szosie zaczynają się ukazywać żółto-czarne tablice i drogowskazy niemieckie. Podawana na nich odległość do leżących po drodze miasteczek jest zawsze o 1 km lub o 2 km większa albo mniejsza od takich samych tablic francuskich. Bo o n i zawsze wszystko lepiej wiedzą: nie 45 km, lecz 46 km. *„Das ist ja doch ein Unterschied"*. Czy oni to powtórnie mierzyli? U nich wszystko możliwe. W każdym razie wszystkie mapy *Michelin* są na nic. Nazw miasteczek jeszcze nie pozmieniali. Widocznie Francuzom udało się w tym wypadku być dokładnymi, choć nie wiadomo, czy np. Melun nie nazywało się za Karola Wielkiego Mehlein... Dochodzi godzina trzecia. Wpadamy do Montereau. Mamy już za sobą prawie 60 km — zostaje nam około 78 do Notre-Dame. Połowa Montereau w gruzach. Niedziela, i ludzie chodzą po ulicy. Zaraz za miastem powracamy do poprzedniej szybkości. Zostawiamy Fontainebleau po lewej stronie i rwiemy do Melun. Znowu wsadzam oczy w szybkościomierz i w zegarek, ale czuję już zmę-

czenie. Ręce drętwieją i bolą plecy. Nie mogę już utrzymać poprzedniej szybkości. Godzina czwarta. Cztery godziny bez wytchnienia. Przed piątą wpadamy do Melun i, prawie nie zwalniając, znowu na szosę. Czuć Paryż. Dużo rowerów i tandemy. On, ona i tandem wyjechali na niedzielny spacer. Jak za dawnych czasów. Włażę na tylne koło jednemu z tych małżeńskich rowerów (tandem przypomina mi zawsze francuskie łóżko) i daję się podciągać. Od razu lżej. Ale po dziesięciu kilometrach nie wytrzymują. Jesteśmy wyczerpani, od przeszło pięciu godzin „szatkujemy" bez przerwy, bez odpoczynku, bez kęsa jedzenia. Jeszcze 30 km. Obliczam, że możemy chwilę odpocząć. Zjeżdżamy w bok i zeskakujemy z rowerów. Stoimy nie na swoich nogach. Zamieniły się w twarde szczudła. Siedzimy w rowie i dopiero teraz czujemy te 100 km z kawałkiem, przejechane w pięć i pół godziny. Zwalnianie po miastach zabrało nam wiele czasu. Jemy kiełbasę, ser, konfitury i mleko. Do kubka mleka wrzucam mnóstwo cukru. Po 6-ej ruszamy dalej; zaczynamy wyścig z nocą. Na drodze dużo rowerów — wszystkie obładowane. Ciągną przyczepki z workami pełnymi kartofli. Jedziemy już wolniej, nogi nie chcą pracować, każdy kilometr trwa wieki. Słońce zachodzi, czerwone i wielkie. Za wszelką cenę musimy zdążyć przed nocą, bo nie mamy światła. Jeszcze raz zrywam ostatkiem sił. Dojeżdżamy. Przydrożne bistra z ogródkami, przed nimi szare samochody i o n i się bawią. Słychać *Liedy*. Nad wejściami do ogródków wielkie napisy *Bier*. A no — *Biergarteny* pod Paryżem.

Już niedaleko, już nie wolno jechać drogą i musimy zjechać na specjalną dróżkę dla cyklistów. Oczywiście — Tadzio nagle woła: „Jędruś — tył mi nawalił". Właśnie gdy mamy wjechać do lasku Vincennes. Zatrzymujemy się i krótka narada. W tylnym kole Tadzia siedzi mały gwoździk — podpompuję, a jak puści, to ją znowu ciach...".

Szara godzina. Jestem coraz bardziej niecierpliwy, tęskno mi d o d o m u. Ona od dwóch miesięcy nie wie, co się ze mną dzieje... Jeszcze raz zrywam. Trzeba jechać jak najprędzej, bo guma Tadzia wolno puszcza, a na każde pompowanie traci się kilka cennych minut. Przejeżdżamy most na Marnie, wjeżdżamy do lasku. Paryż. Koło Ogrodu Zoologicznego musimy znowu pompować. Nie jest jeszcze ciemno, ale właściwie trzeba by już jechać ze światłem. Z Zoo dolatuje tutaj ostra woń klatek lwów i tygrysów, krzyczą jakieś ptaki. Jestem zupełnie rozmarzony. Dopadamy do Porte Dorée i pod górę przez Av. Daumesnil. Jestem tak wzruszony, że mam ochotę płakać. Bo już jest „nasza" fontanna, a tu „nasz" hotel, w którym mieszkaliśmy kiedyś. Witam każdy kamyczek, każde drzewo. O — tu 1-go września zeszłego roku wyrwałem chłopcu *Paris-midi* i przeczytałem, że wybuchła wojna. Geniuszowi na kolumnie na Place Bastille, na poczciwej *Bastoche*, mam ochotę podać rękę. „*Ça va?*" Nie — to nie jest obce miasto, ja naprawdę wracam do s i e b i e.

Jest ciemno. Policjanci są bardzo taktowni i nie chcą nas zauważyć. Od razu widać, że to francuscy policjanci, a nie Gestapo, poprzebierane w mundury francuskich „*flic*'ów", jak nas zapewniali na południu. *République*. Na placu jest pusto i jedziemy sobie najspokojniej bez światła. Paryż ciemny, pogrążony

w przeciwlotniczych ciemnościach. Zatrzymujemy się na chwilę i zapalamy papierosy. Wjeżdżamy na Bulwary. Kręcimy wolno. Na rogu Bd. Sébastopol policjant już nie wytrzymał: — *Vos feux, Messieurs!*

Zatrzymałem się i pokazując mu żarzącego się papierosa, mówię z uśmiechem: — *Mais voilà mon feu...*

Zaśmiał się. — *Je vous demands votre éclairage.* — *C'est mon seul éclairage* — odpowiadam, wymachując papierosem. Śmieje się i prosi nas, żeby zejść z rowerów. Zapewnia mnie, że w gruncie rzeczy powinien nam kazać zapłacić karę — *c'est plus comme avant — les temps ont changé...* — dodaje melancholijnie. I ja westchnąłem. „*Ordnung muss sein*". Jeżeli jeszcze zmuszą ludzi do przechodzenia jezdni pomiędzy gwoździami, to zacznę mówić o końcu świata. Idziemy na piechotę. Już niedaleko. Bulwary... Po brzegach jezdni pełno samochodów, w bulwarowych kawiarniach pełno żołnierzy. *Deutsche Wehrmacht* kosztuje owoców Paryża. Jest tak ciemno, że idziemy prawie po omacku. *Rue* Richelieu, *rue* Lafitte. Po chwili rozpoznaję widma kolumn Notre Dame de Lorette. Mówię szeptem Tadziowi, że już jesteśmy w domu. Ulice są puste jak jakieś lochy. Serce wali mi tak mocno, że w tej ciszy słyszę wyraźnie każde uderzenie. Gardło mam ściśnięte. Otwieram bramę, Tadzia z rowerami zostawiam na podwórzu i wbiegam na schody. Dzwonię. Otwiera P. Odpycham go i wbiegam do kuchni. Wypowiedziałem tylko jedno imię i wzdłuż całego mnie poczułem ciepło tulącego się ciała, chowającego się w moich ramionach, zapach włosów, wgłębienie oczu pod ustami, smak łez, słony i gorący...

3. 10

Paryż jest cichy. Ulicami jeżdżą tylko niemieckie samochody, a poza tym rowery. Rower jest podstawowym środkiem lokomocji i Paryż zamienił się w Kopenhagę. Ruch niewielki, wszędzie Niemcy. Żywność na kartki, ale można wytrzymać. W sklepach Niemcy, którzy wykupują resztki tego, co już wykupili w ciągu trzech miesięcy ubiegłych. Wszystko płacą oczywiście najlegalniej w świecie, okupacyjnymi markami w stosunku 1 marka = 20 frs. I wysyłają „*nach Heimat*". Na każdym kroku czuje się, dotyka prawie tego, jak cała Francja wykupywana jest za papierki drukowane tam, za Renem.

Nie mamy nafty i wieczorem siedzimy przy świeczce. Gotujemy na spirytusie, o który jednak coraz trudniej. Każde głupstwo urasta do rozmiarów problemu. Może to i lepiej? Nie ma czasu myśleć. Przekopałem się przez wszystkie formalności i pomogłem w tym Tadziowi. Byliśmy w Prefekturze policji, ale tam jeszcze dobrze nie wiedzą, jak postępować z cudzoziemcami. Przystawili tylko pieczątki i zaznaczyli zgłoszenie się. Kartki żywnościowe w Merostwach dostaliśmy bez trudności. We wszystkich urzędach jeszcze nieporządek i wszędzie czuje się, że urzędnicy nie bardzo chcą uwierzyć w swobodę, jaką Niemcy pozostawili im tymczasem. Nasza fabryka zajęta przez Niemców — wstęp pod karą śmierci wzbroniony. Dawna dyrekcja urzęduje w sali balowej Merostwa. Od jutra pracują. Opieka prawna i społeczna nad polskimi robot-

nikami. Francuski dyrektor, Inż. C. zachowuje się w ten sposób wobec Polaków, że brak słów na określenie tego stosunku. W jego każdym geście, w każdym słowie i decyzji można rozpoznać tę wielką kulturę francuską najczystszej wody, odziedziczone w prostej linii po najszlachetniejszych umysłach Francji l u d z k i e spojrzenie na c z ł o w i e k a. Nie ma Francuzów, nie ma Polaków — są l u d z i e opuszczeni, bezradni, którzy potrzebują pomocy. I nic więcej. Ale jest w tym w s z y s t k o. W tych czasach wystarczy jeden t a k i człowiek, żeby uwierzyć z powrotem w ludzkość. I we Francję.

27. 10

Nie mogę czytać po francusku. Nie mogę. Każde słowo, każdy zwrot w tym języku dławi mnie. Nie mogę znieść tych krągłych zdań i określeń, tej oschłości i kultu słowa bez uczucia. Wiem, że to jest niedorzeczne, ale nie mogę. Gdy patrzę na moje książki na półkach, bez wyjątku dobre i dobrane, nie potrafię wziąć do rąk ani jednej z nich. Wydaje mi się, że przejadłem się ciężkim, przesłodzonym i przekremionym tortem pistacjowym. Fizyczny przesyt i wstręt do słów, zdań, tematów. I z jakąś wprost barbarzyńską żarłocznością pochłonąłem „Pana Tadeusza", a teraz drę zębami, jak tłusty udziec barani, „Potop". Oblizuję się, cmokam, potłuszczone palce wycieram w spodnie — żrę. To jest niesamowite: ilekroć czytam „Potop", tyle razy wydaje mi się, że t y m r a z e m Kmicicowi uda się jednak porwać Bogusława, że t y m r a z e m Roch Kowalski złapie Karola Gustawa, że teraz stanie się w tym to, co się nie stało i nie stanie się to, co się stało. Jedno jest pewne: Kmicic nie jest typem godnym naśladowania. Ciągłym puszczaniem sobie krwi nie okupuje się chyba błędów charakteru albo w ogóle głupoty. Okupić je można najlepiej po prostu wykorzenieniem ich. Odpisywać na listy, oddawać pożyczone „do jutra" pięć złotych, mniej „kawalerskiej fantazji", a więcej solidności i naturalności. — Ale trudno: czytam „Potop" pewnie dlatego, że tak brak mi wokoło właśnie tej „kawalerskiej fantazji". Cambronne powiedział *merde*, po czym dodał, zdaje się, że „stara gwardia umiera, ale nie poddaje się". Tym razem powiedzieli *merde* i dodali, że „stara gwardia poddaje się i nie umiera". I jest Pétain. A przecież było trzecie rozwiązanie: „Stara gwardia nie umiera i n i e poddaje się". Twierdzą, że obrali właśnie to trzecie rozwiązanie, ale trudno w to uwierzyć.

2. 11

Dzisiaj Dzień Zaduszny. Tak jak w zeszłym roku, poszliśmy na cmentarz Père Lachaise. Dzień był słoneczny i ciepły, na cmentarzu mało ludzi, bo większość była wczoraj. Poszliśmy najpierw na grób Chopina. Dużo na nim kwiatów, jakiś bukiet przewiązany szeroką, biało-czerwoną wstążką. Położyliśmy nasz bukiecik, też przewiązany polską wstążką i zapaliliśmy świeczki, które nam zostały jeszcze z mojego urodzinowego tortu w zeszłym roku. Na tym grobie nie myślę i nie modlę się. Modlę się melodiami, które jedna za drugą

dźwięczą wewnątrz. Najczęściej powracają moje ukochane, a tak rzadko grane *Rondeau* i *Berceuse*.

Przy grobie stała jakaś starsza Francuzka i zapytała, czy jesteśmy Polakami. Potem powiedziała, że to ładnie z naszej strony, że tak pamiętamy, że ona co rok przychodzi tu i że bardzo kocha Polaków. „Tak dzielny i szlachetny naród jak wy nie może zginąć i nie zginie". Daj ci Boże zdrowie. Nie mogę już tego słuchać. To tak, jak „macie tu, dziadku, grosika i jak wam czego potrzeba, to sobie kupcie". Po czym zamyka się drzwi, siada w fotelu i czyta książkę, jedząc czekoladki.

Odpowiedziałem jej jednak jak na Akademii przyjaźni polsko-francuskiej, to znaczy to samo o Francji. Pierwszy raz w historii i my, i oni jesteśmy w podobnej sytuacji. Chociaż to, co dla nas jest klęską, to dla nich tylko przegraną. Różnica ta jest tak wielka, że trudno porównywać. Gdy my cierpimy, oni znoszą to, gdy my nie mamy nic, oni mają pozory, gdy my nie możemy nie myśleć, oni nie myślą i żyją. Oni są jak człowiek bogaty, który żeby nie wiedzieć ile przegra, to zawsze jeszcze znajdzie oparcie; my jak nędzarz, który wszystko postawił na jedną stawkę, przegrał wszystko i ma do odrobienia wszystko.

Tak jak w zeszłym roku, tak i w tym, stojąc nad tym grobem, myślałem o podobieństwie Jego czasów z naszymi. W zeszłym roku był tu w Paryżu rząd polski, wielka i nieciekawa emigracja i wszystko było jak w epilogu do „Pana Tadeusza" — jak za Jego czasów. W tym roku rozwiało się wiele nadziei, emigracja powędrowała do Anglii, a w Paryżu zostały niedobitki, które zgodnie z polską tradycją żrą się między sobą pomimo małej liczby. Bridż powinien być uznany za polską grę narodową: licytacja i rozgrywki. To jedno, co nasi potrafią robić bez zarzutu.

Od grobu Chopina poszliśmy na grób Oscara Wilde'a. Mój skromny bukiecik był jedynym, który ożywił ten wielki i aż za wielki grobowiec. Potem jeszcze kilka minut skupienia przed grobowcem Balzaca. Tam w dole jego Paryż. Niebo czerwieni się na zachodzie, a bliżej morze sinych dachów we mgle. To te dachy barwią ją tak dziwnie. „Puszczają" we mgle. Na ścieżkach cisza, tłum grobów i zapach astrów. Wieńce z blachy lub z koralików wyglądają jak obwarzanki.

13. II

Wszystko można znieść na tym świecie, jeżeli ma się choć jedno serce kochane i kochające. Złota myśl z gatunku „kołduny, to dobra rzecz". Tak, tylko naprawdę dobre kołduny trudno znaleźć.

15. II

Koło 8-ej rano zbiegam na dół, wyciągam rower z piwnicy i jadę do Chatillon. Mam prawie godzinę jazdy przed sobą. Na ulicach jest jeszcze ciemnawo. Przez *rue* Le Peletier dojeżdżam do bulwarów, przecinam je i wjeżdżam w *rue* Richelieu. Jest tu ciemniej niż na innych ulicach, bo wąsko i ciasno.

Trzeba bardzo uważać. Niemcy ustawiają tu na noc swoje ciężarówki i zostawiają je bez żadnego oświetlenia. Dziś jadący przede mną chłopak uderzył głową w tył samochodu, zupełnie go przed sobą nie widząc... Stracił przytomność. Wszędzie pustki. Podniosłem go i zaniosłem do bistra obok. Zatelefonowałem po pogotowie. Pół twarzy rozbite na miazgę. Wszyscy klęliśmy na głos. Przepisy policyjne są oczywiście dla wszystkich, ale nie dla nich. Za brak czerwonego światła przy rowerze kara do 200 fr.

Przejeżdżam koło Komedii Francuskiej i wpadam do Luwru. Powoli rozjaśnia się. Czasem koło łuku Carrousel maszeruje oddział żołnierzy ze śpiewem. W świeżym powietrzu poranku niemieckie słowa pieśni płyną daleko, obijają się o skrzydła Luwru i giną wśród nagich drzew Tuilleries. Jest w tym coś tak smutnego i nieprawdopodobnego, że miałbym ochotę zejść z roweru, chodzić na czworakach i wyć, jak pies. Przejeżdżam Sekwanę, przecinam Bd. St. Germain i kręcę pod górę Bd. Raspail. Wyjmują tu z jezdni drewnianą kostkę i kładą bruk. Często widzi się, jak ludzie kradną do worków tę wyjętą kostkę. Na opał. Policjant udaje, że nie widzi, a oni gorączkowo wypychają worki i nikną w półmroku. Wszędzie na ulicach pusto i cisza, mgła jest lepka i wszystko wokoło wygląda, jakby pokryte było żabią skórą. Lśniące i oślizgłe. Od Denfert-Rochereau jadę prosto do Porte d'Orléans. Mijam niemiecką rogatkę, kontrolującą ruch ich samochodów i wozów. Przejeżdża obok mnie z piekielnym hałasem pluton nowiutkich czołgów francuskich (Renault), obsadzonych oczywiście n i m i. Mijają mnie. Z każdej wieżyczki wygląda ubrany w czarny mundur żołnierz. Zatrzymują się przy drodze za miastem, wyłażą z maszyn i otaczają młodego oficera. Ten wyszczekuje ostrym głosem swoje uwagi. Uczą się jeździć na sprzęcie francuskim... Krótka komenda, motory zaczynają ryczeć i cały pluton toczy się znowu ze zgrzytem i brzękiem po bruku.

Przyjeżdżam do fabryki, a raczej do sali balowej. Francuzi sennie zabierają się do grzebania w papierach. Witam się z kolegami, „*Ça va?*" — „*Ça va!*" (U nich zawsze „*ça va*"). Zbieram materiał do wyjazdu i wracam do miasta.

Wędrówki po Merostwach, Prefektura policji, Ministerstwo pracy, schroniska. Codziennie trzeba komuś coś załatwić, ułatwić, wydobyć.

Wszyscy słuchają teraz radia z Londynu. Codziennie są jakieś sensacyjne wiadomości. Wszystkim się zdaje, że Niemcy już przegrali, że jeszcze trochę cierpliwości i „górą nasi". Mam swoje poglądy na tę wojnę i nie entuzjazmuję się. Cóż z tego, że Anglicy zbombardowali coś tu lub tam. To jeszcze zabawa na długie lata z wieloma niewiadomymi. Niemcy głaszczą Francję i za wszelką cenę chcą przeciągnąć opinię francuską na swoją stronę, chcą zrobić sobie z Francji sprzymierzeńca i ugnieść rząd Pétaina jak plastelinę, dotąd jakby oporną. Są w nim dwa kierunki: jeden proniemiecki, za współpracą — drugi proangielski, za stworzeniem wolnej Francji w koloniach i przyłączeniem się kolonii do Anglików. Krążą różne plotki o tym rządzie, ale prawdy trudno dociec. Gazety są dyktowane. Nie czytam ich.

Na obiad wpadam do domu. Z jedzeniem nie jest jeszcze najgorzej. Na dole.

pod naszym domem, kończy się targ i przekupki z wózkami rozjeżdżają się także na obiad. Jeszcze niektóre pokrzykują, rozsprzedając ostatki: *„Allez-y, allez-y, tapez dedans, profitez, allez-y"*. Po obiedzie wracam do fabryki, albo znowu jazda po mieście. Wieczorem mam nieraz w nogach koło 80 km tylko po Paryżu. Pod wieczór wracam. Słońce chowa się w stronie Pól Elizejskich, opada mgiełka. Nasza dzielnica, dawniej spokojna, jest teraz bardzo ożywiona. Wszystkie bary, dancingi i domy publiczne, zamknięte na czas wojny, otwierają się jeden po drugim. Wszędzie napisy *„Nur für deutsche Wehrmacht"*. Przy wejściach do domów publicznych widzi się nieraz ogonki. Porządku pilnuje podoficer, pełna bojaźni bożej *Schwester* wprowadza szczęśliwca najpierw na zastrzyk. Przed „Alcazarem", gdzie z wielkim powodzeniem idzie goła rewia, stoi nieraz cały oddział w dwuszeregu. Podoficer załatwia w kasie wstęp, wraca, wywrzaskuje *rechts um* i cała kompania wchodzi dwójkami do środka. Po przedstawieniu rozwiozą ich autobusami na Place Pigalle, na komendę rozejdą się do domów publicznych i na komendę wrócą. Żeby chociaż Paryż był dla nich Kapuą...

Jeden dzień mija za drugim i już niedługo Nowy Rok. Wszyscy mówią: „byle przetrwać zimę — na wiosnę znowu coś się ruszy". Zima minie, wiosna minie, wszyscy powiedzą „czekamy na lato". Minie lato i znowu powróci problem przetrwania zimy. I tak jeszcze przez kilka lat. Bo nie wierzę, żeby ta wojna mogła skończyć się prędko.

20. II

Sytuacja Polaków w Paryżu jest jasna. I właściwie z nieprawdziwego zdarzenia. Niemcy, a raczej Gestapo, utworzyło tu specjalny *„Polenreferat"*, na czele którego stoi niejaki pan radca Schwerbel. Ten Niemiec skończył gimnazjum polskie bodaj że we Włocławku, mówi doskonale po polsku i „opiekuje się" nami wszystkimi. Polacy są przeważnie skupieni w trzech schroniskach, które po długich walkach z katolickim *„Caritasem"* przejęła tzw. Markiza, Polka z pochodzenia, Francuzka po mężu. Zaprzyjaźniła się z tym Niemcem, przy jego pomocy wsadziła do więzienia ks. Cegiełkę i zarząd niewygodnej dla niej instytucji przy kościele polskim w Paryżu, Gestapo zrobiło dokładne kartoteki i — jest spokój. Pan radca zdobył sobie po schroniskach łatwowiernych przyjaciół, którzy dają mu listy do rodzin w Polsce („Ja wam to wyślę"), rozmawia o literaturze polskiej, *et voilà*... Sielanka, w której może przyjść oczywiście kolej na mnie i na kilku moich znajomych. Ale może nie przyjść. Robię swoje.

We wszystkich urzędach francuskich jest jeszcze zamieszanie, a najgorzej z policją. Czuję się zupełnie pusty. Polityka stała się częścią życia. Wieczne pytania: Jak się to skończy, co zrobią Niemcy, co będzie z Bałkanami? Unikam tych rozmów. Wiem jedno: dziś jest 20 listopada i Niemcy w Anglii nie wylądowali. To jedno jest pewne. Gdy myślę o tej wojnie, zawsze kojarzy mi się to z wojnami napoleońskimi. Jest to mój tzw. *hobby*, czyli konik. Hitler ma źle

skomentowany podręcznik epopei napoleońskiej i według niego wydaje rozkazy i polecenia. Napoleon też chciał lądować, skoncentrował nawet wojska nad Kanałem, narobił Anglikom strachu i rozeszło się po kościach. Wojna obecna jest szeregiem kampanii niemieckich w Europie i ciągłym stanem wojennym w Anglii, z którą nie dochodzi do spotkania decydującego. Niemcy mają już prawie całą Europę, a właściwie nie mają jej. No i najważniejszy w tym problem, to Rosja. Czy w końcu i tu będzie podobieństwo do wojen wielkiego cesarza? Niemcy wkroczą do Rosji i rozpuszczą się w tej przestrzeni, jak kostka cukru w szklance herbaty. Marzę, jestem Rzeckim, jak każdy Polak po trosze. Ta wściekła wojna będzie długa, a co z niej wyniknie, to Bóg raczy wiedzieć. Mimo wszystko każdy przeżyty dzień, spokojny dzień, jest ważny, bo zbliża do tego niewiadomego końca.

25. II

Jesień w tym roku jest zimna, ale pogodna. Paryskie, emaliowane dni słoneczne. Pod wieczór siedzę przy oknie, patrząc na zachód słońca. Morze dachów, widoczne z naszej mansardy, robi się coraz bardziej gołąbkowe, potem sine i zimne. Daleko, w mgiełce, wieża Eiffla z zatkniętą na szczycie chorągwią ze swastyką. Doczekała się i tego ta pięćdziesięciojednoletnia matrona paryska. I ją ubrali. Zapaliłem dziś w piecyku i siedziałem po ciemku, patrząc w rozjaśnione ogniem okienko z miki. Jeszcze ciągle nie mogę przeboleć tych spalonych zeszytów, czasopism polskich. Bohaterowie! Powiedzieli, że piszę. Po wejściu Niemców do Paryża kazali B. wszystko spalić. Ze strachu. Dobrze, że tych kilku polskich książek też nie kazali popalić. Pilnowali, żeby B. zrobiła to przy nich. Wydarła z tych zeszytów kilkanaście kartek. Zostało ich w sam raz tyle, ile we mnie z mojej przeszłości. Niczego nie odtworzę i nie chcę nawet odtwarzać. Już to, co pisze się nawet natychmiast, jest zawsze trochę kłamstwem, zdeformowaną myślą, źle odlanym prawdziwym dźwiękiem. To już zwykle ta sama melodia, lecz napisana na pewno w innej tonacji. Gorzej — często *dur* wypada jak *mol* i odwrotnie. Najlepsze ucho nie pomoże. Może dobre jest tylko to, co wynika z bezpośredniego połączenia między piórem i tym dziwnym światem myśli i odczuć? W iluż wypadkach czuje się, że połączenie nie jest bezpośrednie, że mozolnie przebiega przez różne centrale, w których słyszy się głupie głosy telefonistek. Te głosy telefonistek można łatwo rozpoznać w rzeczach pisanych. Z jakim wysiłkiem eliminował je ze swojej prozy Flaubert, ile napaplały w Balzacu?

Jeżdżę po Paryżu przez cały dzień. Z przestrzennych Bulwarów wpadam w mroczne i zawsze inne (albo te same i też zawsze inne) uliczki, patrzę, myślę i nie myślę, pogwizduję, na skrzyżowaniach ulic wyciągam rękę i pokazuję kierunek, w którym skręcam, uśmiecham się do policjanta. Czasem czekam, aż przepłynie kolumna szarych samochodów i jadę dalej. Zagadam coś do pomnika Moliera, pomnikowi Gambetty w Luwrze powiem zawsze: „Najwyższy czas, żeby cię Niemcy zdjęli" (Niemcy mają podobno ten dobry pomysł), przemknę

koło kościoła St. Germain albo pooglądam obrazy, reprodukcje i antykwariaty na *rue* Bonaparte. Nurkuję w starych uliczkach i wypływam w przedpokoju jakiegoś Ministerstwa lub dyrekcji przemysłu. Wiem, że uda mi się załatwić wszystko, ale za jakieś trzy miesiące. Ci z prochowni też dostaną pieniądze.

Tymczasem trzeba pisać listy i sterczeć w przedpokojach. Sterczę. Potem znowu przejeżdżam Sekwanę i wpadam na *rue* du Fg. St. Honoré. Piękne i dawniej niewidoczne kobiety chodzą teraz piechotą lub jeżdżą końmi. Powoziki, tilbury, kariolki. Paryż wygląda jak sto lat temu: mała i cicha uliczka, stukot końskich kopyt i mały pojazd z piękną kobietą, ubraną też trochę *à la* Louis Philippe. Myślę o George Sand, o Lady Dudley, o księżnej de Langeais, o Liszcie... Armia zdobywcza zachowuje się bez zarzutu. Są spokojni, godni, dobrze wychowani. Nie widziałem ani jednego pijanego. Armia opanowanych szaleńców, która wykonuje wszystko pod kierunkiem naczelnego lekarza, też szaleńca. Ale imponują. Czy widział kto, żeby kobietom ustępować miejsca w *Métro?* Żołnierze niemieccy robią to z gracją. Tysiącem pozorów oswajają Francuzów i przygotowują grunt do „kollaboracji", o której coraz głośniej. No i mamy już E u r o p ę. Przypomina mi się rozmowa z tym studentem, napotkanym w powrocie. Słowo „Europa" rzucane jest tymczasem dyskretnie, jak pierwsze piłki tenisowe, gdy przeciwnicy nawzajem „wymacują" reakcję.

Ostrożnie, cicho i dyskretnie to wielkie słowo „Europa" zastąpi w oficjalnym języku „Niemcy". Żołnierz niemiecki przestanie się bić za wielkość Niemiec, będzie się bił za szczęście Europy i dla Europy. Zdobywczy nacjonalizm, chcąc utrzymać w ryzach coraz to więcej podbitych narodów, musi rzucać międzynarodowe i idealistyczne hasła i slogany. Zawsze ta sama komedia — komedia napoleońska, powtarzająca się jota w jotę. Tworzenie „niepodległych", nowych państw. Jeszcze nigdzie nie zrobili króla. Np. Göring bardzo nadawałby się do tej roli; ten hitlerowski *Prince* Murat. Fabryka historii pracuje na trzy zmiany i sprowadziła najnowsze urządzenia. Może najlepszą w nich jest maszyna kłamstwa. Konstrukcja jej jest naprawdę godna podziwu. To kłamstwo jest jak źle podrobione banknoty. Ale już tyle puszczono ich w obieg, że wszyscy przyjmujemy je i płacimy nimi, jakby nigdy nic. Wiemy, że są fałszywe, ale chowamy do portfelu. Świat? Ludzkość? Człowiek? Proszę! 1.500 Kł., tych nowych środków obiegowych; nie mają żadnego pokrycia, lecz nie grozi im dewaluacja.

28. II

Dni mgliste, jesienne. Słońce świeci wymijająco, bez zobowiązania. Liście z drzew opadły i przyjdzie zima. Każdy dzień chowa się za parawanem w kolorze *gris-moisi* z niewiadomą ilością innych i wyskakuje co rano, mija, przechodzi. Jak w liczniku taksówki.

Spotkałem T. Odnajmował pokój u jakiejś Francuzki. Uciekł z Paryża i niedawno wrócił, aby kontynuować studia. Jego patronka spaliła mu wszystkie książki polskie, które miał w swoim pokoju. *Mesure de prudence!* Rozumiem: barbarzyństwo budzi strach, strach pobudza barbarzyństwo. Niemcy

nie muszą niczego organizować, do niczego zmuszać: oni straszą. Reszta robi się sama. Pod wpływem strachu wali się w mgnieniu oka wszystko. Czuję, że gdybym się bał, runąłbym sam przed sobą. I dlatego nie chcę się bać.

4. 12

Podobno kilka dni temu Włochy wypowiedziały wojnę Grecji. „Rzym" podbija Helladę. Tym razem jednak Grecy biją „Rzymian". Sprawa Bałkanów nie jest rozwiązana i czeka na rozstrzygnięcie. Równocześnie plotki, że cały rząd francuski w Vichy siedzi na walizkach i czeka na moment ucieczki do Afryki, żeby opowiedzieć się wyraźnie po stronie Anglii. Tutejsze gazety atakują oczywiście wszystkich ministrów w rządzie Pétaina, nazywając ich proangielskimi zdrajcami. Mówią nawet o jakichś aresztowaniach, ale jakich i kogo — nie wiadomo. W każdym razie rząd Pétaina nie poszedł jeszcze na wyraźną „kollaborację". — I chciałabym, i boję się... Jeszcze się wstydzę.

10. 12

Człowiek żyje jak troglodyta. Od rana do wieczora najbardziej interesującym zagadnieniem jest — jedzenie, opał, światło. Niemcy udowodnili, że rzymską zasadę *panem et circenses* można stosować *à rebours* i że wynik jest ten sam. Albo się daje chleb, aby lud nie myślał, albo się go nie daje — i lud też przestaje myśleć. Szczególnie tu, gdzie wszelki proces myślenia zależny jest od żołądka. Głowa nie jest składnicą myśli, lecz magazynem żywnościowym. Budzi się jakieś licho i uważa się za swój święty obowiązek szukać okazji bezkartkowych. Cały Paryż wynalazł nowy snobizm. Gdy ktoś mówi, że dostał funt masła bez kartek, należy uśmiechnąć się z politowaniem i wycedzić niedbale: „Kupiłem 3 kg cukru po 12 fr.". Najbardziej godnym pożałowania jest człowiek, który na wzmiankę o maśle rzuca się jak oparzony i wielkim głosem pyta: „Gdzie?" W swej bezgranicznej naiwności spodziewa się, że tamten odpowie mu „gdzie". Tamten tylko uśmiechnie się i odpowie wymijająco. *Il faut être malin.* Jeszcze nigdy egoizm i pokryta uśmiechami zawiść nie miały takiego pola do popisu. Wszystkie rozmowy w Paryżu przypominają teraz rozmowy u „Plastyków", gdzie wszyscy topili się nawzajem w łyżce wody. Roi się od wielkich talentów czekoladowych, maślanych, cukrowych i mlecznych, odmawiających sobie nawzajem wszelkiego talentu.

14. 12

Przedpołudnie w *Métro*. Cicho, wagony prawie puste. Na Concorde wsiadła cała rodzina powracająca z pogrzebu. Kilkanaście osób na czarno. Co jakiś przystanek ktoś wysiadał i wtedy rozlegało się kolejne cmokanie, tak głośne, że nawet turkot kół nie mógł go zagłuszyć. — *Allez, mon vieux, il faut descendre...* — i pac, pac, salwa pocałunków, galop cmoknięć, krótkich, urywanych, to znowu

przeciągłych, przypominających odgłos wypijania przez słomkę resztek oranżady z pustej szklanki. Wreszcie została jedna para. Gdy wysiadali, cmoknąłem sobie kilka razy. Oglądnęli się. Cmoknąłem w ich stronę jeszcze raz. Brakowało mi tego do kompletu. Jutro zacznie się pięcioletni proces o spadek i przestaną się cmokać. Jedno o drugim będzie mówiło: „*Ah — ça alors — pensez-vous — quel salaud!...*"

15. 12

Zimno. Mgła i kapuśniaczek. Jest tak subtelny i gęsty, że padając na moją nieprzemakalną kurtkę, syczy. Bezustanny syk. Zapadłem w jakimś bistro na *rue* Broca. Piję gorące wino. Cisza. Ulicą jedzie wóz z browaru, obwieszony beczkami. Każde uderzenie kopyta końskiego o bruk jest wyraźnie oddzielne. Zapaliłem papierosa i patrzę. Patron za kontuarem mocuje się z kawałkiem korka w butelce przy pomocy szpikulca do kruszenia lodu. Potem resztki lemoniady z kilku butelek zlewa do jednej i gdybym wziął *panaché* (piwo z lemoniadą), dolałby mi na pewno ten cocktail do piwa. Nie wezmę. Weszła jakaś okoliczna prostytutka w pantoflach na bardzo wysokich obcasach. Ma ładne nogi. Powiedziała: *Quel temps* i wypiła kieliszek koniaku. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. — *Ça va?* — *Oui, merci, ça va* — *Tu veux?* — i kiwa przymilnie głową w stronę hotelu naprzeciwko. — *Non, ma cocotte, merci.* — One teraz doskonale zarabiają. Płacą wszystko markami. Przedtem miały funty. Nie tylko one. Kilka koleżanek z fabryki też „uczy" się niemieckiego. Jedna z nich pochwaliła mi się przedwczoraj, że bierze lekcje: *Ich lerne deutsch.* — Z oficerami, czy z żołnierzami? — zapytałem obojętnie. Roześmiała się głupio i poszła. Wszystko dlatego, że 1 marka to 20 fr.

Dziewczyna wyszła. Patron siedzi za kontuarem i patrzy w okno. Ja też. Jest mi dobrze. Jest coś w atmosferze takiego zapadłego bistra w mglisty dzień, co uspokaja. Nerwy zamieniają się we włóczkę z angory i można je nawijać na palec.

16. 12

Rozmowa z kasjerką w fabryce, kobietą starszą i mądrą.

— Co pani myśli o wojnie?

— Nic mnie to nie obchodzi. Ludzie się mordują nie wiadomo po co. A pan co myśli?

— Gdybym miał pewność, że uda mi się dojechać, to pojechałbym do Anglii.

— *Mon Dieu!* Cóż za myśli. Przecież tu jest pan o wiele bardziej pożyteczny. Dlaczego, po co?

— Chyba pani rozumie — jest coś w człowieku, co każe myśleć inaczej niż nakazywałby rozsądek; to jakieś uczucie, ta chęć powiedzenia sobie prawdy, wiara...

— Nie rozumiem, o czym pan mówi; przecież ma pan żonę, zarabia pan — *il faut gagner sa petite vie et c'est tout.*

— Widzi pani, tu chodzi o uczciwość, o prawdę, czy wprost o obowiązek.

— ???

— No np. czy pani kogoś kocha, czy ma pani jakiś ideał, choćby to był nawet człowiek? Chodzi mi może także o ideał.

— Tak... Mam kogoś, kogo kocham.

— Czy mogłaby pani zdradzić tę osobę?

— Myślę, że — tak. Ale nie sercem.

— Wszystko jedno. Czy nie odczuwałaby pani potrzeby, niemal obowiązku, powiedzieć mu o tym?

Oburzona: — Panie, tego się nigdy nie mówi!!!

Rozmowa ta przypomina mi rozmowę ze znajomym listonoszem, jeszcze przed wojną. Pokazywał mi pornograficzne fotografie z seansów miłosnych we czwórkę: on z żoną swojego przyjaciela, przyjaciel z jego żoną. Opowiadał mi ze szczegółami, jak się to odbywa. Zapytałem go:

— Jak to? To pan pozwala robić temu drugiemu z pańską żoną wszystko? Całować i...

Przerwał mi oburzony: — Panie — wszystko, tylko nie całować. Usta mojej żony to jest moja osobista rzecz!

I potem dyskutuj z nimi.

17. 12

Zimno. Temat wszystkich rozmów: jedzenie. Temat wszystkich myśli: jedzenie. Przejeżdżając dziś koło Notre-Dame mimo woli pomyślałem: „Gdybyż te rzeźby były z masła. I żeby nikt o tym nie wiedział!" Po czym starałem się przypomnieć sobie, w których okolicach Tybetu robią istotnie wielkie rzeźby z masła. Wiem na pewno, że tam robią takie rzeźby. A gdy wojna się skończy zgodnie z życzeniami wszystkich, to... to przede wszystkim przypłyną na wielkich okrętach konserwy amerykańskie... A potem myślałem o wieczności i spostrzegłem, co to znaczy przyzwyczajenie. O wiele łatwiej można sobie wyobrazić, że to nie ma końca, bo tak się od dziecka słyszało. Natomiast zupełnie sobie nie można wyobrazić, że wieczność jest także bez początku. Jest to myśl zdolna przewrócić gałki oczu o 180 stopni.

18. 12

Bardzo charakterystyczne. Wieczorem na kolacji w jednej z polskich restauracji. Epopeja litografii i sztychów, którymi sala była przyozdobiona, przedstawiających stroje wojska polskiego z czasów wojen napoleońskich i powstania listopadowego. Po wejściu Niemców do Paryża policja francuska przybiegła i kazała natychmiast pozdejmować ze ścian te „plansze". (Dobrze, że nie kazali popalić...) Patronka zbuntowała się i nie pozdejmowała ich. W międzyczasie zaczęli do tego lokalu zaglądać oficerowie niemieccy, mówiący często po pol-

sku. Kilku z nich stało się nawet *Stammgastami*. Policja francuska przypędziła po raz drugi i zagroziła, że jeżeli nie zdejmie tych „plansz", to oni zamkną jej lokal. Pozdejmowała zatem „plansze" i na ścianach pozostały jasne prostokąty — ślady obrazków. Przyszli Niemcy i podnieśli gwałt. Gdzie są obrazki? Co pani z nimi zrobiła? Opowiedziała im o nakazie policji. Byli oburzeni i kazali jej natychmiast powiesić z powrotem wszystkie obrazki. — My nie mamy nic przeciwko wojsku polskiemu. To był zawsze bohaterski żołnierz. Prawdziwa wojna była w Polsce, a nie tu... — Mówił to jakiś podporucznik z Wehrmachtu.

I wszystkie obrazki wiszą na swoim miejscu, a Polacy, którzy tu przychodzą, są często zachwyceni. Nasza łatwowierność nie uległa zmianie od czasów rozbiorów. Pomachać nam biało-czerwoną chorągiewką, złożyć hołd bohaterom, pozwolić zaśpiewać „Boże coś Polskę", „Rotę", „Jeszcze Polska" i „Pierwszą Brygadę" i można dużo zrobić. Nie można się dziwić, że tak wielu Francuzów daje się codziennie brać na przynętę pozorów ich wielkoduszności, na kollaborację z Niemcami w nowej Europie, o której coraz głośniej. Sądząc z tego, co mówią w radio, Niemcy pokpili całą sprawę u nas swoją głupotą. Całe szczęście. Zanadto nas nienawidzą, żeby kierować się tylko psychologią.

19. 12

Bardzo ważnym zagadnieniem życia jest teraz s t a n i e w o g o n k a c h. Stoję w ogonku i słucham. Stoję w tłumie bab, w tłumie istot przypominających żywcem karykatury Daumiera, sztychy z czasów Rewolucji w muzeum Carnavalet, trykotantki. Istoty poubierane w jakieś brudne łachy, rozczłapane buty, lepkie od brudu, w opadających pończochach, z rozmierzwionym włosem. Każda z nich licytuje się w ilościach ogonków, które już ma dzisiaj za sobą, w ilości przestanego czasu. „Dwie godziny po ser — *pensez-vous* — do czego doszliśmy. Wczoraj na obiad musiałam..." Tu następuje szczegółowy opis czynności kuchennych. A potem znowu mięso, cukier, masło, kartofle. Nagle wrzask. Ktoś usiłuje wkręcić się na początek ogonka. Kilka wściekłych bab rzuca się z tyłu na przód i zaczyna wymyślać tej *resquilleuse*, wzywając na świadków najbliższe otoczenie. Po tysiąckroć powtarzane na wszystkie tony. *Ah non — ça alors* kotłuje się w pomruku reszty. Sprawa wyjaśnia się: kobieta usiłująca przepchnąć się poza ogonkiem jest w ciąży.

Obraca wokoło swoim umyślnie uwydatnionym brzuchem i odgryza się babom. Przypomina grubego bąka z blachy, wydającego różne odgłosy i bzyki w czasie obracania się. Kobiety w ciąży mają pierwszeństwo, mają wydaną przez merostwo „kartę pierwszeństwa" i mogą nie stać w ogonkach. Baby wracają na swoje miejsce, mrucząc: „Nikt się nie chce kłócić o miejsce — *pensez-vous* — ale musi być sprawiedliwość *quand même...*" Szczególnie wobec kobiet w ciąży są bardzo podejrzliwe, bo z początku, kiedy jeszcze nie było urzędowych „kart ciąży", uzyskiwanych na podstawie zaświadczenia lekarskiego, pojawiało się w ogonkach pełno kobiet ciężarnych, żądając *priorité*. Uzyskiwały je dzięki tutejszemu kultowi ciąży. Gdy jednak odkrywano pod suknią lub

płaszczem jaśki i majestatyczny brzuch matki okazywał się wypchany, skończyły się dobre czasy. Teraz pierwszym i z trudnością hamowanym odruchem tych wściekłych meger jest obmacać brzuch pchającej się poza ogonkiem. „*On connait bien ces femmes enceintes...*" dorzucają zawsze, wpychając się z powrotem na swoje miejsce ruchem pluskwy, włażącej za listewkę łóżka.

Chwilowy rwetes uspokoił się — baby znowu gadają. Mięso, cukier, konserwy „Olida", smalec, fasola. I znowu od początku: mięso, cukier, „Olida"... Wiele z nich przynosi do ogonka robotę na drutach i trykotuje. Miałbym często ochotę związać im ręce, jednym z tych drutów przebić język i zostawić. Jak takiej megerze na makabrycznych kartkach primaaprilisowych, które sprzedawano u nas. Od tych rozpraw filozoficznych o jedzeniu można dostać mdłości. Mówią o tym z taką zachłannością, z taką zawiścią, gdy chodzi o kogoś, kto dostał np. paczkę ze wsi, iskają tak każdy kąsek, że w końcu cały świat zamienia się w ż a r c i e, p i c i e, s p a n i e i s..... Ciągle któraś z nich wybiega z ogonka i zaznaczając wyraźnie osobie stojącej przed nią „*je suis derrière vous*" (to świadek w razie sporu lub zarzutów tych poza nią) zagląda do sklepu i wraca z nowinami. Ze złośliwą radością w głosie powiada: „Dla tamtych na końcu już nie wystarczy". Mówi to tak głośno, żeby ją ci „na końcu" usłyszeli. I na końcu ogonka podnosi się pomruk, coraz głośniejszy, bo baba z przyjemnością dorzuca: „*C'est pas la peine d'attendre*, trzeba było przyjść wcześniej". Od razu wrzaski: „Nie każdy może przyjść wcześniej... Nie zawsze można..." A baba podtrzymuje dyskusję i zaczyna opowiadać: „*Mais moi... et moi... si je...*" Ona jedna jest wielka, wystarczy ją naśladować, a wszystko będzie inaczej. Krzyki i wymyślania. Wtedy podchodzi policjant pilnujący porządku w ogonkach i zagłądnąwszy do sklepu uspokaja: wystarczy dla wszystkich. Z kolei wszyscy zaczynają wymyślać babie; cały ogonek. I tak w kółko. Ogonki i ogonki, po wszystko i po nic, ogonki dla ogonków, ogonek do ogonka. Mięso, cukier, „Olida", kartofle, smalec, fasola...

W tym wszystkim człowiek jest istotą, starającą się jedynie o wepchnięcie w siebie pewnej ilości węglowodanów i tłuszczu z białkiem, o wydalenie tego ze siebie po przetrawieniu i o ponowne staranie się o węglowodany i tłuszcze. Nie chodzi o to, żeby żyć, ale żeby mieć czym s..... Z dnia na dzień. Życie ogranicza się do funkcjonowania przewodów pokarmowych, regulowanego ilością posiadanych pieniędzy. Ohydne.

21. 12

Przesłuchanie. Zajechałem wieczorem do Domu Polskiego. Robotnicy mówią mi „Schwerbel jest na górze, przesłuchuje ludzi w sprawie futer, które Markiza dostała dla schronisk, a które sprzedaje teraz po 100 i po 150 fr.". Rozumiem.

Gadam chwilę z nimi, temu trzeba pomóc na merostwie, ten chciałby na południe...

Nagle wpada jeden z nich i mówi: „Pan Schwerbel prosi pana na górę". Zaskoczyło mnie to. Nigdy nie mieszkałem w żadnym schronisku. Już mu powie-

dzieli... Idę. Przy maszynie do pisania siedzi młody jeszcze mężczyzna, ubrany bardzo starannie, pali angielskie *Black Caty* (obłowili się po Anglikach), wita mnie uśmiechem. Mówi doskonale po polsku.

— Dobry wieczór. Pańskie nazwisko jest mi znane albo z literatury albo z historii... — Boję się, ale mam ochotę wybuchnąć śmiechem.

— Jeszcze ani z jednego, ani z drugiego. Pan się myli — odpowiadam z uśmiechem.

— Aaa... myślałem. Pan co robi we Francji?

— Przyjechałem przed wojną, pracowałem i pracuję u Francuzów...

— Pan w wojsku nie był?

— Nie.

— No — nie potrzebuje się pan z tym kryć. My nic nie mamy przeciwko wojskowym. To obowiązek, jak każdy inny. Więc pan w wojsku nie był?

— Nie, nie byłem. Pracowałem. Zostałem zmobilizowany do przemysłu.

— No i cóż? Chciałby pan pewnie wrócić do Polski. Miejsce każdego dobrego Polaka jest teraz w Polsce. Musimy pracować, wziąć się do uczciwej pracy...

— Nie.

Jest zaskoczony, ale zamydla dalej.

— Robię co mogę, żeby umożliwić wszystkim powrót, ale ta akcja księdza Cegielki i pewna działalność polskich elementów komunistycznych uniemożliwia mi robotę, opóźnia wszystko...

— Szkoda.

— Tak, i widzi pan, jacy ludzie są głupi. Po co te machinacje? Jak ktoś chce jechać do Anglii, to czemu nie powie mi tego otwarcie? Dałbym mu przepustkę aż na okupowaną przez nas wyspę Jersey, do której okręty Czerwonego Krzyża angielskiego dowożą żywność. Mamy taki układ z Anglikami. I niech sobie taki pan siada na okręt i jedzie do Anglii, do tego pickła. Proszę, niech jedzie!

Milczę, ale mimo wszystko chce mi się śmiać. Szyje powrozem. Trochę zaczynam rozumieć całą tę politykę. Niemcy zostawiają nam swobodę ruchów, chcąc wyłapać jedynie elementy dla nich szkodliwe i nie zaprzątać sobie głowy resztą zdając tę resztę pod kontrolę Markizy w „jej" schroniskach i cały ciężar opieki finansowo-społecznej przerzucając na Francuzów. Mają ważniejsze rzeczy na głowie, niż tych kilkuset Polaków. A pan radca umyślnie komplikuje sprawy, zgrywa się, żeby mieć trochę roboty i żeby go nie wzięli do wojska. Kto mu jest niewygodny, to go przymyka. Dzięki swojej „przyjacielskości" ma wielu oddanych informatorów, wszystko wie i w rezultacie nasze pożycie z Niemcami jest spokojno-nieokreślone. Rozmowa ciągnie się dalej.

— Co pan wie o tej sprzedaży futer przez panią markizę?

— Właściwie nic nie wiem.

— Ach — więc pan zeznaje na korzyść tej pani?

— Nic nie zeznaję.

Zapisał to wszystko po niemiecku i przeczytał na głos. Podpisałem. Pan

radca jest jedynym przedstawicielem Niemców i naszym „duchem opiekuńczym". Żadne inne władze niemieckie nie zajmują się nami — jest on. I tak się jakoś trwa.

22. 12

Nie ma chyba nic bardziej nieznośnego, niż gdy ludzie, których się nie cierpi, dają tzw. „dobre rady" i gdy te rady okazują się naprawdę — dobrymi.

23. 12

Smutno. Brak tego uczucia Świąt. Uciekam myślą do tych kilku serc, dla których warto żyć i przeżyć to wszystko. Zimno i szaro. Deszcz ze śniegiem zwala się co chwila na szyby okienne i gniecie je. Nad Sekwaną i koło Madeleine sprzedają choinki. Chciałem kupić, ale są bardzo drogie. Usiadłem przy piecu i czytałem moje notatki z południa. Próbować opisać południową Francję to tak, jakby się chciało malować słońce atramentem. Miałbym ochotę pisać o tym bez końca; szczególnie teraz. Wiatr rusza drzwiami, prześlizguje się przez wszystkie szpary, puka do okna kroplami deszczu albo nagle przysłania dachy płachtą śniegu, lecącą z daleka i jakby porwaną z ziemi. Taki strzęp, brudny, porwany ze śmietnika.

Samotność. Wprost dojmujący ból osamotnienia. Brak śmiechu, rozgardiaszu, ożywienia. To więcej niż samotność; to zupełna pustka, podkreślająca obcość wszystkiego dokoła. Nie jest się do niczego przywiązanym, z nikim związanym. Jesteśmy sami we dwoje i każde z nas trzyma się drugiego, jak masztu na okręcie wśród burzy. Przez cały rok można nie odczuwać tego osamotnienia, można być nawet zadowolonym z tego; teraz to boli.

24. 12 koło 12-ej

Był wieczór jak każdy inny. Napaliłem i ciepło. Umyliśmy się w naszej patelni i B. położyła się do łóżka. Była bardzo zmęczona. Przysunąłem stół, sam usiadłem porządnie ubrany. Na stole ustawiliśmy fotografie i łamaliśmy się opłatkiem, patrząc na nie. Jedliśmy sardynki, barszcz z uszkami, daktyle. I wtedy zrobiłem jej niespodziankę i wyciągnąłem butelkę szampana. Uśmiechnęła się, pocałowała mnie: „Dobry jesteś, że pamiętasz..." Ale choć tak lubi szampana, nie chciała pić. Odwróciłem się, żeby nie widziała, że mam w oczach łzy. Bo było mi naprawdę bardzo smutno. Nie wystrzeliłem z butelki i wyjąłem korek po cichu. Za oknami postękiwał wiatr i koniecznie chciał się wepchać do pokoju. Prawie całą flaszkę wypiłem sam, zagryzając daktylami i paląc fajkę. Świeca skwierczy od czasu do czasu i głośno tyka budzik. „Która godzina?" — pogładziłem ją po głowie. „Śpij — ona minie i przyjdą inne..."

STEFAN TWORKOWSKI

SPRAWY ARCHITEKTURY

„Mówimy: gotyk, renesans, barok. Za słowami tymi kryje się dla współczesnego człowieka treść w przybliżeniu jednakowa, są to dziś określenia już ustalone i zaszeregowane przez historię. Mówiąc: gotyk — mamy na myśli społeczeństwo tamtych czasów, widzimy średniowieczne miasto z ratuszem i panującą nad miastem katedrą. Tak samo renesans i barok znalazły w naszej pamięci treściwą dla każdej z tych epok syntezę.

Ale wielkie prądy mają to do siebie, że nie rodzą się z dnia na dzień, obejmują za to i przekształcają wszystkie dziedziny życia. Potrzeba było dziesiątków, a czasem jeszcze więcej lat dla skrystalizowania istotnych cech epoki, ustalenia jej wyrazu i w rezultacie stworzenia szczytowych dzieł tego okresu w sztuce.

Architektura jest zawsze wiernym odzwierciedleniem rzeczywistego oblicza epoki. O wyrazie jej decydują wszystkie dokonane dzieła, od najlepszych do najgorszych włącznie, decyduje ich wypadkowa. Dziś wypadkowa ta sygnalizuje chaos pojęć — i nieliczne dopiero są próby istotnie nowych dróg.

Zmieniły się kryteria architektury. Przychodzi nowa, ściśle zrośnięta z urbanistyką, a w samym sednie — z wielkimi przemianami społecznymi, architektura o niespotykanej dotychczas skali zadań i swobodnego dysponowania przestrzenią.

Po drodze piętrzą się jednak trudności; niezrozumienie, często nawet zła wola, hamują nas w rozwoju. Niejedne jeszcze przeżyjemy wahania.

Przed nami długa droga wypracowania stylu epoki, która dopiero się rozpoczęła".

Zacytowałem tu początek i koniec artykułu, pisanego przeze mnie w czerwcu 1939 roku (*Czarno na białem*, nr 25). Podpisuję się pod nim nadal. — Istotnie. Dalsza droga nie była łatwa, ani też pozbawiona wahań.

Istotnie. Nie miejmy złudzeń, byśmy już w tym pokoleniu ujrzeli dojrzałe owoce naszych wysiłków, złoty wiek zarysowującej się epoki; nawet ostatnia wojna była tylko fragmentem tego pochodu.

Pytał mię kiedyś jeden z przyjaciół, literat, dlaczego teraz w dziedzinie sztuki mniej jest światoburczych haseł, efektownych polemik i manifestów, niż

po tamtej „wielkiej" wojnie. Był tym jakby zatroskany. Sądzę, że nie miał przyczyny do zmartwień: to dobrze, że obserwujemy ciągłość procesu rozwojowego, który zaczął się zarysowywać na przełomie XIX i XX wieku, a w dziedzinie sztuki przejawił się u nas najjaskrawiej, z pewnym opóźnieniem, po pierwszej wojnie światowej.

Stwierdzenie to potrzebne mi jest jako punkt wyjścia dla dalszych rozważań, redakcja *Twórczości* bowiem zapowiedziała omówienie „dorobku i perspektyw" poszczególnych gałęzi sztuk i nauki,[1] mnie sprawy architektury powierzając. Na wstępie zdajmy sobie sprawę z tematu, jego zakresu i przeobrażeń.

SPOSOBY WYPOWIEDZI

Słuszne jest rozpatrywanie spraw sztuki przede wszystkim w jej dziełach najcelniejszych — one to bowiem posuwają sztukę naprzód; tak było i będzie zawsze. W zakresie architektury nie można się jednak do tego ograniczyć, bardziej może nawet niż w innych dziedzinach sztuki. Sprawa: jaka jest i dlaczego taka jest „architektura powszednia" — nie może być sprawą obojętną. Z architekturą bowiem obcujemy na codzień, w domu, w mieście, w krajobrazie; hasło „upowszechnienia sztuki" na odcinku architektury jest wprost truizmem. Malarz, jeśli nie jest zadowolony z rezultatów, może odstawić obraz do ściany, muzyk — nie odegrać po raz drugi swego dzieła; odpowiedzialność natomiast architekta z chwilą realizacji rośnie i trwa przez cały żywot jego budowli. Każdy obywatel, czy chce, czy nie chce, obcuje z jego dziełem, tym bardziej więc każdy obywatel ma prawo wypowiedzieć się o współczesnej mu architekturze.

Dzieła najcelniejsze — poprzez szerokie kręgi wpływów i dalekie nieraz pokrewieństwa — kształtują wyraz całości, posuwają sztukę naprzód. Jest jednak trzeci czynnik, jakby niezależnie reprezentujący problem architektury danej epoki. Oto wskutek wielkiej rozpiętości między zamiarem, opracowanym projektem i dziełem w przestrzeni skonkretyzowanym, pojęcie myśli architektonicznej nabiera zasadniczego znaczenia, a w okresach rozterki i poszukiwań wyodrębnia się nawet jaskrawo; myśl ta jest bądź płodna, bądź też odrywa się od ogólnego pnia twórczości architektonicznej grożąc nieraz zatraceniem swego istotnego celu.

Tak więc formy powszechnie stosowane, formy najwybitniejsze, wreszcie myśl architektoniczna — składają się dopiero na właściwy obraz danego czasu. Istotne byłoby rozważenie, jaka jest rozpiętość między tymi czynnikami, w jakim stopniu jest ona zjawiskiem naturalnym, czy i w jakim stopniu pożądanym.

WACHLARZ ZAINTERESOWAŃ

Dalej — ustalmy zakres.

Niegdyś ten sam człowiek tworzył pałace, fortyfikacje, mosty, a częstokroć też rzeźbił i malował; zdarzało się, że pisał lub uprawiał muzykę.

[1] W nr 3 1947.

Potem był okres szufladkowej specjalizacji i coraz większego zwężania horyzontów; dziś rozumiemy jednak, że tą drogą idzie się do katastrofy i skłonni jesteśmy znów pojąć architekturę w innym niż dawniej, współczesnym ujęciu — jako wszechstronną sztukę kształtowania przestrzeni. W ten sposób od klamki i mebla, poprzez zamknięte dzieło: jednorodną formę domu wolno w przestrzeń rzuconego, przez wielkie zespoły wnętrz mniej lub więcej się przenikających, bierze architektura udział w budowie osiedla i krajobrazu, wpływając na ostateczny zarys oblicza kraju.

I tak oto styka się z inżynierią ścisłą, z dyscyplinami przyrodniczymi jak fizjografia, i humanistycznymi jak socjologia i ekonomia. Z chwilą, gdy współzależność zjawisk naszej cywilizacji doprowadziła nieodwołalnie do wzmożonej i coraz pełniejszej planowości, nie dziw, że nawykli do syntetycznego formowania wniosków architekci biorą poważny udział w planowym zagospodarowaniu kraju.

Będąc zaś sztuką plastyczną, poszukuje architektura nowych związków z rzeźbą, malarstwem i filmem, zarówno w samym dziele, jak również w rozważaniach teoretycznych, nie tracąc nic ze swej „suwerenności" (w stopniu, w jakim ograniczona jest dziś wszelka suwerenność przez współzależność powszechną) — i wyrównuje front w ogólnym postępie sztuki i wiedzy współczesnej.

1918—1945

Tak pojmując architekturę, rozważmy jaki jest dorobek, z którym wkraczamy w nową rzeczywistość. Co jest dorobkiem istotnym. Jak można scharakteryzować „dwudziestolecie" i czasy okupacji.

Znów cytuję wspomniany na wstępie artykuł:

„...Wypadkowej nie robią zresztą architekci, decydują o niej jak zawsze ci, którzy najwięcej budują — drobni ciułacze i kapitaliści. Od nich zależy przede wszystkim budownictwo małych miast, osiedli podmiejskich, poniekąd nawet wsi. Budownictwo to, nie mogąc się oprzeć na skończenie pięknej (elementarnej), lecz nieodpowiedniej dziś formie chałupy chłopskiej, znalazło się na rozdrożu, straciło wątek tradycji i próbuje wzorować się na bezwartościowych przeważnie przykładach domów czynszowych. Dominuje budownictwo tandetne i bez ambicji.

Nad budownictwem tym czuwają zarządy gmin i miast, starając się te „własne" i pozornie indywidualne domy zapędzić w jeden szereg i wyrównać do jednej wysokości — zrobić z nich coś jakby zgodny „sektor" budowlany. Nie bardzo się to udaje i — oto widowisko analogią swą przypominające naszą formę życia politycznego! Mało spotykamy trudnej odwagi: odwagi bez pretensjonalności, i prawdziwej indywidualności — karnej z własnej woli, zespołowej z własnego wyboru i ze zrozumienia społecznej roli architektury.

A rola ta, przeważnie nie doceniana przez współczesnych, była zawsze wielka, dziś tym większa, im zasięg jej jest szerszy. Czekają niezrealizowane programy planowej zabudowy miast, zdrowe i przede wszystkim masowe budownictwo

KRAJOBRAZ WIELKIEGO MIASTA

Ślepe ściany czynszówek kryły za sobą ciemne dziedzińce i nieprzewietrzane mieszkania

fot. autora

GMACH DOWÓDZTWA MARYNARKI WOJENNEJ W WARSZAWIE

proj. arch. Rudolf Świerczyński

fot. E. Koch

mieszkaniowe, i racjonalna, społecznie słuszna przebudowa wsi, wreszcie publiczne gmachy monumentalne. Niesposób w to uwierzyć, choćby wbrew najczarniejszym znakom, byśmy się jeszcze długo mieli dusić w skali naszych małych zadań i nikłych rezultatów. Zbyt wiele jest do zrobienia".

Na tle tej sytuacji nie trudno zrozumieć, że myśl, wyprzedzając rzeczywistość, stała się zasadniczą wartością tych czasów, tym bardziej czasów okupacji. Gdyby nie ta wytrwała praca, daleka przeważnie od możliwości pełnej realizacji, stanęlibyśmy w dzisiejszym momencie bezradni.

Żywy kontakt z myślą europejską; zdobywanie pozycji za pozycją w urbanistyce jako podbudowa pod dzisiejsze planowe przestrzenne zagospodarowanie kraju; postawa społeczna; plany i częściowa realizacja współcześnie pojętych osiedli mieszkaniowych; próby ustosunkowania się do innych gałęzi plastyki: oto nurt zapoczątkowany przez grupę „Praesens" w czasie okupacji — przez fachowców grupujących się w konspiracji, dokoła organizacji spółdzielczych. Po tej linii szła również wieloletnia działalność Tow. Urbanistów Polskich, Polskiego Tow. Reformy Mieszkaniowej i Stowarzyszenia Architektów R. P. w początkowym okresie jego działalności. Dalej — wstępne przemyślenia nad planową zabudową wsi, oparte o przesłanki gospodarcze i system więzi społecznej — przemyślenia nawet u ludzi przodujących tego czasu spotykające się niestety z obojętnością. Wreszcie — skądinąd — inwentaryzacja i badania nad dokumentami dawnej polskiej architektury, bezcenne zwłaszcza wobec tragedii zniszczeń wojennych; rekonstrukcje Wawelu, Zamościa, Warszawy.

Jak zaznaczyłem, bez tych prac bylibyśmy dziś bezsilni. Muszę jednak zauważyć, że osiągnięcia te miały dość istotne braki, które mszczą się dziś, kryjąc niebezpieczeństwa dla rzeczywistego a nie urojonego postępu. Rozważę je później.

Jeśli idzie o ruch budowlany, miał on w różnych latach rozmaite nasilenie. Na ogół jednak to nie architekci budowali: przeciętny dorobkiewicz lepiej bowiem dogadał się z podobnym jemu budowniczym, razem więc wznosili „kamienice" zaśmiecające architekturę naszych miast. Zresztą zadanie budowy czynszówek nie było pociągające ani też kształcące, i tak oto tylko budownictwo publiczne i społeczne było przeważnie domeną architekta. Budownictwo to, w swych najlepszych okazach, posłużyło jako sprawdzian myśli.

Najcelniejsze dzieła o wybitnych wartościach plastycznych, w pełni interpretujące przemyślenia tego czasu, nie mogły jednak jeszcze powstać na tle poszukującej i niewykształtowanej, choć niemal apostolskiej architektury społecznych zespołów mieszkalnych. Brak jej było możności rozwinięcia skali, zarówno co do rozmiarów właściwych nowym zamierzeniom, jak też co do ilości przebudowanych obiektów; ponadto w szczególe architektonicznym nie opanowano w pełni nowego tematu; częstokroć były to długie bloki, jeszcze surowe, niemniej od czynszówek „pudełkowe", a nawet bardziej od nich „koszarowe" i schematyczne. Po uprzednim okresie bezwzględnej hegemonii ustaw ogniowych, który doprowadził do potwornej ślepoty ścian i „brandmurów", nastąpiło bezkompromisowe poszukiwanie higieny, monotonia pasmowych okien

domów ortodoksyjnie skierowanych zgodnie ze strzałką północy. Nowa architektura społeczna była zaledwie zapoczątkowana.

Problem współcześnie pojętych form pogłębiono może najtrafniej na niektórych przykładach gmachów i urządzeń publicznych. Postawiona została zasada domu wolnostojącego, ze wszystkich stron widocznego i równie dla wszystkich widoków opracowanego; stworzono szereg pięknych kompozycji przestrzenno-ogrodowych, kąpielisk i stadionów sportowych; zapory wodne, mosty i linie wysokiego napięcia niejednokrotnie trafnie zespoliły ścisłą, matematyczną technikę z otaczającym ją krajobrazem.

Tak więc zaczęliśmy — w sposób wprawdzie zbyt fragmentaryczny i odosobniony — potwierdzać formą zachodzące w technice i życiu społecznym przemiany.

POZYCJA ARCHITEKTURY

Nie łatwo jest sobie wyobrazić, jaka będzie architektura nadchodzących czasów. Można się tylko domyślać form przyszłej architektury; baczmy jednak, byśmy życzeń nie brali za fakty.

Rzeczą pewną jest wszakże, zakładając utrwalenie się stosunków, że przy postępującej planowości i wzmożonej koncentracji środków i sił społecznych skala rozwiązań odbiegać będzie coraz bardziej od utartych sposobów myślenia i tworzenia, a także — patrzenia i odczuwania.

Już pierwsze kroki w dziedzinie planowej gospodarki w Polsce, jednolitej dyspozycji gospodarczej i formowania wielkich instytucji społecznych, na których z czasem będzie się niezawodnie można oprzeć, — pozwalają uznać te przypuszczenia za słuszne. Główne fakty dokonane są nieodwracalne, a poważne nieraz błędy i niedopatrzenia złagodzi czas, dając pierwszeństwo pozytywnym wartościom narastającego układu społecznego.

Zapewne. Dziś mamy inflację planowania, inicjatywy powtarzają się, krzyżują, brak jest dostatecznej koordynacji. Aparat uspołecznionej wymiany i produkcji przemysłowej jest jeszcze ciężki, organizacje społeczne nie zdają sobie jeszcze dostatecznie sprawy ze swej roli w przyszłym ustroju państwa i jego formach gospodarczych. To przecież jednak była — choć łagodna — rewolucja. To dopiero będzie rewolucja pojęć i sposobu życia. Potrzeba planowania jest jednak tak wielka, że niesposób sobie bez niego III Rzeczypospolitej wyobrazić. Powstanie nadrzędnych instytucji planujących powitała raczej obojętność, często nieufność; dziś, po dwu zaledwie latach, inicjatywa społeczna oczekuje, żąda nawet od władz planu i koordynacji. Planowanie od góry spotyka się z planową myślą od dołu, a to właśnie jest jedyna droga, którą dojść można do celu.

Posuwamy się ku pełnemu opanowaniu przestrzeni, każdy teren uzyska swoje najsłuszniejsze przeznaczenie, logiczny układ terytorium będzie już sam przez się budową najpiękniejszą; w takim układzie inwestycje uzyskają za każdym razem najwłaściwsze dla siebie miejsce. Będzie to pełne myślenie prze-

strzenne, architektura krajobrazu Polski, świadome związanie dzieł myśli ludzkiej z przyrodą. Nie żaden fetysz naturalizmu, ale właściwe współżycie: zieleń i woda wnikną w wielkie skupiska ludzkie, małe skupienia wkomponowane zostaną w przestrzeń wolnego pejzażu.

Wielkie zamówienie społeczne — to nowy dla architekta „klient". Technika w mostach, fabrykach i lotniskach — z natury swych zadań pracowała częstokroć na wielkich skalach. Architektura właściwa, aczkolwiek wznoszona w ludnych i rozległych miastach, rozwinęła dotychczas jedynie zadania odcinkowe, karłowate — zwłaszcza w Polsce, gdzie drobny stosunkowo kapitał nie mógł się wypowiedzieć na skalę amerykańskich drapaczy. Potwierdzając nieuniknioną współzależność architektury i panującego światopoglądu, wielkomiejskie kamienice scukrzyły się w makabryczny kanon frontów i „oficyn" na niezmiennej niemal rozmiarami działce hipotecznej. Zsumowane „nieruchomości" przy szachownicowych lub gwiaździstych układach ulic urastały do stylu, obojętne, czy ubranego w detal eklektyczny, secesyjny, czy też potem „modernistyczny".

Inne zadania podyktują nową architekturę zespołów i właściwego im szczegółu.

Walka ze skalą, walka o skalę, to niełatwy do zdobycia próg nowego stylu.

Zanika pojęcie ulicy-korytarza. Dom wyzwala się, traci znaczenie „frontowa" elewacja, wszystkie widoki stają się równie ważne. Dom ze wszech stron widoczny nie jest wyłącznie obserwowany statycznie, jednostronnie, samodzielna bryła oglądana jest w czasie (wrażenia te najlepiej umiałby oddać tylko film). Komponowanie „czasoprzestrzenne" obiektu podporządkowanego zespołowi kojarzy się ze sprawą ruchu, nakazuje przewidywać i organizować emocje wynikłe z szybkiej jazdy, nie odbierając zresztą — przeciwnie, przywracając prawa zmaltretowanemu ostatnio piechurowi.

Problemy te czekają na planistę i architekta.

Czy forma zrodzi się sama, tak sobie, samorzutnie? Miasta średniowieczne wzbudzają w nas podziw. Wszystkie; nawet najmniejsze. A przecież nie zakładali ich genialni patrycjusze ani też na pewno nie wybitni budowniczowie. To ustalony kanon, bezbłędnie odpowiadający potrzebom swojej epoki, przez szereg pokoleń formował miasto gotyku.

Jakże często, architekci, niecierpliwimy się. Pragnęlibyśmy wyłącznie budować. Niestety, zbyt często z piórem w ręku, obracamy się bardziej w sferze pojęć, aniżeli formy.

Ale któż więcej od nas powołany jest do ustalenia głównych zrębów tej formy, poprzez wnikliwe zrozumienie potrzeb i przetłumaczenie ich na język techniczny! Bardziej niż kiedykolwiek, chcąc realizować prawdziwie na skalę współczesnych zadań, musimy się zetknąć bliżej z szerokim wachlarzem dyscyplin, wcielić jakby w socjologa i ekonomistę, opanować mechanizm rządzenia. Kodyfikacja zasad przyszłego budownictwa w planach i w aktach prawnych oraz czuwanie nad realizacją zamierzeń planu — to nasz los. W nagrodę, gdy będziemy mogli w pełni tworzyć, w sposób najbardziej właściwy naszym

uzdolnieniom i usposobieniu, powiemy, szczęśliwi, że żyjemy w okresie Brunelleschiego i Donatella.

„Dorobek", „nowe perspektywy twórcze i organizacyjne" — zapowiada redakcja *Twórczości.*

Tak — organizacyjne. Nawet słabe jeszcze i poszukujące swej właściwej drogi organizacje zawodowe, planujące i wykonawcze są miejscem, w którym nabierają realnych kształtów „nowe perspektywy".

Poza jedynym zagadnieniem planu i odbudowy Warszawy, które przeszło całą ewolucję od entuzjazmu do nieusprawiedliwionych częstokroć ataków, dwuletni wysiłek i dorobek planistów i architektów nie jest wcale znany ani tym bardziej doceniany przez społeczeństwo.

Jak starałem się uprzednio wykazać — dążymy do pełnego opanowania przestrzeni. Co to znaczy? Czy jak za czasów „pary i elektryczności" chcemy kraj jak najniemiłosierniej wyzyskać? A może to jest niepotrzebne, może zostawmy wszystko „naturalnemu biegowi rzeczy"? *Laisser passer...?*

Zacytuję fragment pewnych rozważań (Wacław Kubacki: „Wobec krajobrazu", *Odrodzenie,* nr 20 (129), z przygotowanego do druku tomu szkiców i studiów literackich pt. „Krytyk i twórca"):

„Przyjrzyjmy się gospodarczej podszewce tego krajobrazu. Majątek był uprzemysłowiony: tartak, gorzelnia, młyn, rasowe obory, lasy, warzywnictwo, gospodarstwo rybne, hodowla owiec obliczona na dostawę kożuszków dla wojska. Wszystkie te kółka wzajemnie się zahaczały. Równowaga finansowa poręczała niezmienność krajobrazu. Mniej szczęśliwe były dobra okoliczne: nieopatrzność właścicieli, a wreszcie kryzys. Jak tylko wzruszono podstawy gospodarcze, zawalał się tradycyjny, białoruski krajobraz. Powstawały nowe krajobrazy. Pólka szły w zawody o lepsze z póleczkami. Znikały wrzosowiska i jałowce. Brzozowe laski legły pod siekierą jako nieużytki. Wyrastały domki i stodoły, których krzywiznę przewidywał już Norwid. Bujne łąki przemieniały się na wydeptane, spalone działki pastwisk, na których ryczały krowy rasy bynajmniej nie holenderskiej, a nawet nie polskiej, lecz egipskiej, to znaczy wywodzące się z tej części snu biblijnego Józefa, która zapowiadała siedem lat chudych.

Widząc taki krajobraz — pejzaż biedy małorolnego chłopa — typ dobrze nam znany, choć milczały o nim geografie, zaczynałem marzyć o utworzeniu departamentu krajobrazów w ministerstwie rolnictwa. Przecież dobrem narodowym są nie tylko pola, łąki i lasy jako konkrety, lecz również nieuchwytne, estetyczne wartości, które swój byt zawdzięczają polom, łąkom i lasom. Współczesne państwo nie wstydzi się takich imponderabiliów".

Otóż szeroki front wiedzy, techniki i sztuki głowi się nad tym, by sprostać temu życzeniu. W oparciu o dociekania przyrodników stawiamy zagadnienia planu przestrzennego, wiążąc ściśle sprawę eksploatacji, a więc także wszelkich inwestycji, z nakazem zachowania biologicznej równowagi krajobrazu.

I oto nie tylko przemiany społeczne i ustrojowe, ale nawet zachwiana równo-

waga w przyrodzie, nie sprzyjają łatwemu powstaniu skrystalizowanej, prawdziwie szczytowej architektury. Zadania są wielkie i trudne, — ale tym bardziej godne wysiłku i pasjonujące.

OCZEKIWANIA I WĄTPLIWOŚCI

Posiadamy niemały dorobek jako punkt wyjścia dla dalszych prac. Stworzone zostały zawiązki organizacji planujących i wykonawczych dostosowanych w zasadzie do współczesnej skali zadań, mamy wreszcie dużo ludzi utalentowanych. Czego nam jest brak? W czym tkwi ów „impas społeczny", w jakim się — zdaniem redakcji *Twórczości* i nie tylko redakcji *Twórczości* — znajduje sztuka architektury?

Rozpiętość między myślą i dziełem jest znamienną i uzasadnioną cechą sztuki architektonicznej. Nie wystarcza talent i opanowanie rzemiosła, kiedy powstaniu dzieła kładą się w poprzek warunki od autora w dużym stopniu niezależne: — możliwości ekonomiczne i organizacyjne, wreszcie decyzja lub nawet kaprys zleceniodawcy-mecenasa, choćby nim był nawet czynnik społeczny. Wskutek istnienia tej rozpiętości nierzadko myśl bierze rozbrat z zamiarem, wola twórcza kontentuje się szkicem, i dzieło — właściwe dzieło architekta — na świat nie przychodzi.

Związek architektury z losami planowego zagospodarowania kraju uzależnia przyszłość architektury od wielu niebezpieczeństw początkowych okresów planowania. Skłonnym zaś niejednokrotnie do wizjonerstwa architektom podsuwa pokusę trudną do odparcia, przy obecnym zaś stanie wiedzy oraz trudnościach gospodarczych i finansowych o błąd nie trudno. W jakim stopniu początkująca planistyka operuje naprawdę metodami naukowymi, czy potrafi ogarnąć przyszłe możliwości techniczne, na jakim zasobie danych się opiera, czy wreszcie jest dostatecznie elastyczna i czy nie ulega pokusom uogólnień? Jak wpłynie na architekturę?

Wspomniana na wstępie rozpiętość, naturalna a nawet jak najbardziej płodna, gdy przekracza granice „dopuszczalnej wytrzymałości" — stać się może wręcz szkodliwa i być przepaścią między myślą architektoniczną, nieczęstym jej urzeczywistnieniem, a społeczeństwem pragnącym wiedzieć i rozumieć, ale przede wszystkim — zobaczyć i doświadczyć. Ostatecznie i niezaprzeczenie — chodzi o rezultat. I myśl, dziś czy choćby za wiele lat, musi być potwierdzona faktem w przestrzeni dotykalnym.

W latach drugiej Rzeczypospolitej — jak wspomniałem — architekci nie tak znów wiele budowali. Tym bardziej odnosi się to do tych, których myśl wybiegać chciała naprzód, w inne warunki ustrojowe i społeczne. Nieuchronnie rozwijała się skłonność do pogłębienia przepaści między pomysłem opartym o dowolną wizję techniczną lub społeczną, wypowiedzianą przestrzennie, a możliwościami dyktowanymi przez rzeczywisty stan rzeczy; na tym tle też zaznaczała się tendencja do idealnych, celująco bezbłędnych rozwiązań. Jeśli rozwiązania te miały podbudowę w logicznie skonstruowanej koncepcji teore-

tycznej, stawały się zarzewiem, dalekich choćby, realizacji. Myśli jednak niesprawdzane i niesprawdzalne mogły się stać niekiedy ucieczką w świat marzeń i zamysłów o bardzo wątpliwej realności; techniczny zaś język wypowiedzi i odpowiednio dobrane uzasadnienia zmylić mogły niekiedy doświadczonego nawet odbiorcę.

Tak więc udział najbardziej wysublimowanej myśli architektonicznej w planowym kształtowaniu kraju kryje niebezpieczeństwa, które należy sobie jasno uzmysłowić — pod groźbą skompromitowania słusznej sprawy.

Sprzyjał temu zwłaszcza okres okupacji; potem zaś, w pierwszych miesiącach wolności, podsycani przez opinię publiczną a nawet czynniki państwowe, poczęli zurbanizowani architekci tworzyć plany oparte o przeświadczenie, że w nowym ustroju cokolwiek się pomyśli, będzie mogło być zrealizowane; zapomniano, że każda ekonomika operuje cyframi i rozrzutności nie dopuszcza.

Zarzut nierealności jest najbardziej istotny dla dzisiejszego konfliktu. Gdy dodamy do tego inne, bo już z psychologicznych względów wywodzące się przyczyny, tj. troskę o wolność człowieka i obawę przed „nadużyciem planu", zrozumiały jest niepokój społeczeństwa o drogi planowo ujmowanej architektury.

Tak już jest, że w postawie wobec rzeczywistości oscylujemy w Polsce między dwoma jakby biegunami. W sposób jaskrawy można przeciwstawić tendencji do pewnej utopijności — tendencję do wulgarnego realizmu, „realizmu" wyrosłego ze starych nawyków i lenistwa myśli (czy jednak i tendencje utopijne nie są nieraz ułatwieniem i lenistwem w obliczu wysiłku?). Tego typu podejrzany realizm jest na pewno największą zakałą wszelkich poczynań; to on hamuje i dyskredytuje entuzjazm, a nawet rzeczową myśl przewidującą; stoi za nim niemała część naszego społeczeństwa. Takim realizmem nie warto się jednak bliżej zajmować. Najchętniej przyjąłbym za jednym z architektów pojęcie „odważnego realizmu", jako hasła i wytycznej dla współczesnych poczynań. Takie pojęcie wymagałoby jednak sprecyzowania, byśmy je mogli rozumieć i stosować jednoznacznie.

Nie ulega wątpliwości, że osiągnięcie wielkich, rzeczywistych rezultatów, zapewniających aprobatę społeczną, zależy przede wszystkim nie od samych architektów ani też od jakichkolwiek innych grup zawodowych, lecz od możliwości i sytuacji państwa i tendencji całego społeczeństwa. W ramach tych natomiast niewątpliwie wiele zależeć będzie od zdolności architekta do współdziałania, od jego zdyscyplinowania, skromności i śmiałości zarazem.

POKUSY W KRĘGU SZTUKI

Realizacja, nierealność, wulgarny realizm, odważny realizm. Pojęcia te tak sugestywnie wiążą się i nasuwają, że niesposób ich przy omawianiu „perspektyw" architektury uniknąć.

Oceniając literaturę dwudziestolecia niepodległości, pisze Przyboś, którego nikt chyba nie posądzi o brak odwagi poszukiwań (Julian Przyboś, „Jak oceniam literaturę dwudziestolecia", *Twórczość*, nr 4, 1947):

„Żądza przyszłości, wysiłek ku jej przyśpieszeniu, tai też w sobie niebezpieczeństwa. W ruchu nowatorskim — szczególnie w futuryzmie — rozwijał się pęd u t o p i j n y. Uprzedzano w wyobraźni twórczej przyszłość i na podobieństwo tego wyobrażenia usiłowano kształtować teraźniejszość.

...Idee i pomysły zrodzone w takiej gorączce rekordów rozwijały się pośpiesznie do swoich skrajnych konsekwencji i mijały bez trwalszego śladu.

...Słowa na wolności, bagatela! Poeta, który pierwszy rozbił wizję artystyczną naszego wieku, potknął się o nadmiar swobody!"

Otóż właśnie, żeby rozwiązać zadane równanie, nie można mieć zbyt wiele niewiadomych i budować koncepcje w sposób dowolny. Konieczne są krępujące, nieraz nawet bardzo, założenia, rygory. Poza założeniami dotyczącymi poszczególnego zadania — rygorami są też granice właściwe każdemu typowi twórczości.

W ogólnym nurcie przemian architektura (ta prawdziwa, zbudowana), aczkolwiek niezawodnie stanowiąca wierne odbicie swego czasu, wskutek uzależnienia od czynników od autora niezależnych i w każdym razie hamujących, nie łatwo nadąża za postępującymi ideami epoki i daje się raczej wyprzedzić innym pokrewnym, lecz mniej o życie zaplecionym, gałęziom sztuki. I mimo że pełny wachlarz sztuk kroczy w tym samym czasie po tych samych tropach myśli, tym niemniej budowle ociągają się z daniem świadectwa ideom nurtującym daną epokę. Inaczej — myśl architektoniczna. Ta, nie będąc skrępowana, pragnie utrzymać się w pierwszym szeregu twórczego pochodu. I tak oto jesteśmy, my zwłaszcza, świadkami dużego rozbratu między myślą a czynem.

Nie tylko „gotyk, renesans, barok", wspomniane na wstępie, tworzyły wspólną atmosferę epoki; podobnie też, w swojej skali, każdy prąd i postawa artystyczna odzwierciedlają się we wszystkich odgałęzieniach sztuki. Bogaty w przemiany i rewolucje artystyczne ostatni przełom stuleci miał też swe echo w architekturze. Tendencje do „rozbicia bryły" i jej odmaterializowania, komasowanie wnętrz, próby zatarcia granicy z przyrodą, wreszcie stosowanie motywów naśladowczych i symbolistycznych — wszystko to było zrozumiałe jako wyraz wspólnej postawy tego czasu. Sądzę, że wszyscy w pewnym stopniu patrzymy na świat i odczuwamy go tak, jak nam to przedstawiają dziś plastycy, muzycy i literaci. Skróty myślowe, nakładanie się wrażeń, ochrona świadomości poprzez eliminację uwagi, generalizowanie przy równoczesnej tendencji do analizy — są nam wszystkim wspólne; potwierdzamy to co dzień i wyrażamy na pewno w naszej sztuce. Tak więc wszystkie prądy artystyczne dotyczą też architektury. A dążący do jedności sztuk i wszechkomponowania formy „unizm" Strzemińskiego — czy nie znajduje wyrazu we współcześnie ujmowanym planowaniu przestrzennym?

Tkwi w tym jednakże pewne niebezpieczeństwo, a co najmniej nieporozumienie. Każda sztuka ma swoje prawidła; ma sobie tylko właściwe uprawnienia i obowiązki wobec zadań, które ma do spełnienia. Jak zaznaczyłem wyżej — poza koniecznymi założeniami, dotyczącymi poszczególnego zadania, rygorami w sztuce są też granice właściwe każdemu typowi twórczości.

SANATORIUM DLA DZIECI NA KUBALONCE
(ŚLĄSK CIESZYŃSKI)
proj. arch. Jadwiga Dobrzyńska i Zygmunt Łoboda
fot. W. Węgrzyn

WNĘTRZE GMACHU DOWÓDZTWA
MARYNARKI WOJENNEJ W WARSZAWIE
proj. arch. Rudolf Świerczyński
fot. E. Koch

Przekroczenie tej granicy może być dla architekta kuszące. Architektura, będąc bowiem nierozerwalnie skojarzona z konkretnymi potrzebami społecznymi, jest niemniej jednak, obok muzyki, sztuką najbardziej abstrakcyjną: grą mas rozgrywającą się w medium światła realnego. Nie trudno tu o nieporozumienie wynikłe z fałszywej interpretacji abstrakcyjnych właściwości architektury i rozgrywanie form przy zlekceważeniu treści wewnętrznej obiektu. Stąd też obserwujemy świadome lub nieświadome przesunięcie niektórych twórców w dziedzinę oderwanych poszukiwań przestrzennych o charakterze raczej rzeźbiarskim lub dekoratorskim (mam na myśli np. niektóre koncepcje Malewicza). Nie znaczy to, by były one niepotrzebne czy bezpłodne, bynajmniej! Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, że to nie jest architektura.

Pamiętamy także meble o kształtach zaczerpniętych z budowli, sztywne i nieużytkowe, i domy przypominające maszyny lub okręty. To były zwykłe nieporozumienia, nieraz bezwiedne zapożyczenia, ostatni jednak zeszyt *L'art*, dodatku do *L'architecture d'aujourd'hui* z jesieni ubiegłego roku, przynosi pomysły symboliki żywcem przeniesionych, monstrualnie wielkich kształtów człowieka i przedmiotów, jako koncepcje miasta przyszłości. Plan, konstrukcja? — nieważne dla autora. Jak to zaszeregować?

Poczucie celowości dzieła i realnych możliwości jego wykonania oraz właściwych dla odpowiedniej funkcji rozmiarów — po tym poznamy architekturę. Zapyta ktoś może: a sfinksy, a budownictwo Assyrii i Azteków? Miały one jednakże zawsze wyraźny użytek sakralny i nie zamierzano zamieszkiwać nosa ani uda, jak to sobie wyobraża Marcel Jean, autor wspomnianego przed chwilą pomysłu. Koncepcja architekta rodzi się zawsze w sferze abstrakcji — jest to wielkie prawo i przywilej architektury; w zależności jednak od zadania, zbliżając się ku realizacji, w projektach naszych ucieleśniamy architekturę w kształty wynikające z głębokiej znajomości i zrozumienia potrzeb człowieka.

Stoimy wobec potrzeby pogłębienia teoretycznego spraw sztuki, najbardziej może — architektury. Ścisłe sprecyzowanie pojęć pozwoliłoby nam rozpoznać, czy kroczymy drogą dla architektury właściwą; czy słusznie i czy świadomie kontrolujemy swe przemyślenia na drodze innych, mniej lub więcej pokrewnych gałęzi wiedzy i sztuki, czy może wreszcie ześlizgujemy się na manowce fantazji.

Na przestrzeni historii notujemy powstanie szeregu niezrealizowanych projektów idealnych, wyrażających w sposób niezwykle jasny idee nurtujące ich twórców. Niektóre pozostają bez echa, te jednak z nich, które są dziełem ludzi najwybitniejszych i oparte są o logicznie zbudowane teorie, wynikające z istotnych tendencji swego czasu, te projekty idealne mają wielką wartość zapładniającą, aczkolwiek pośrednią. Można powiedzieć nawet, iż jest to realizm pośredni.

Im jednak projekty te są bardziej idealne, a więc jednorodne i nieuniknienie jednostronne, tym bardziej nie są to projekty wykonalne. Zazwyczaj musiałyby być zrealizowane od jednego rzutu, bezbłędnie, wymagają dla siebie idealnych warunków technicznych i okoliczności umożliwiających powstanie dzieła; są trudne do adaptacji w zmiennych przecież warunkach bytowania ludzkiego.

Projektami utopijnymi nazwałbym te projekty, które kuszą się o wcielenie w życie koncepcji idealnych, bez wskazania dróg realizacji i bez możności wskazania tych dróg w danych obiektywnie warunkach historycznych, prowadząc co najwyżej do cząstkowej realizacji. Do nich zaliczyłbym pomysły Owena, Fourriera i — bądź co bądź — Corbusiera. Mimo cząstkowych, zawsze jednak znamieniem wielkości nacechowanych przykładów, projekty te zaszeregowane być mogą do realizmu pośredniego, aczkolwiek stają się przyczyną wielu nieporozumień, fałszywych naśladownictw i zaważyć mogą niekorzystnie na realiach architektury.

Źle rozumiane jest u nas częstokroć pojęcie teorii. Teoria, jako precyzyjne narzędzie dla możliwie świadomej i bezbłędnej praktyki, jest nieodłączną częścią myślenia architektonicznego. Każde zadanie wymaga przemyślenia schematycznego układu programowego, opartego o określone przesłanki teoretyczne, odpowiednio do zadania interpretowane. W przeciwnym razie autor miota się na ślepo, poszukując mniej lub więcej udałych formalnie rozwiązań. Inflacja ułatwień technicznych (możliwość dowolnego powielania) mniej zmusza do dyscypliny myślenia i korektury myśli wprost w naturze, aniżeli to miało miejsce w poprzednich wielkich epokach sztuki, i wymaga od architekta tym większej czujności. W formie protestu przeciw manii wyżywania się w samym tylko rysunku, w nadużywaniu efektów graficznych, zaryzykowałbym twierdzenie, że rzetelny architekt byłby najszczęśliwszy, gdyby mógł się ograniczyć do dwu tylko funkcji: myślenia i realizacji.

Źle jest natomiast, gdy teoria zbudowana jest błędnie, lub gdy — miast przechodzić do realizacji — autor zatrzymuje się w lęku przed rzeczywistością i lubuje się w teoretyzowaniu, nieraz właściwie w pseudoteorii; wreszcie źle jest także, gdy — przechodząc do realizacji najlepszych nawet projektów — przeciwstawia się koniecznym odchyleniom w miarę zbliżania się do żywego już dzieła.

Całkiem niedobrze jest, gdy na dalekie podobieństwo koncepcji idealnych, w sposób podobnie jak tamte oderwany, tworzone są na podłożu rzeczywistym pomysły, pretendujące do konkretnego organizowania życia, wbrew oczywistym możliwościom — siejąc zamęt, i kopiąc przepaść między twórcą a odbiorcą-społeczeństwem. Jest to wówczas fantazjowanie. Projekty fantazjujące, niejednokrotnie interesujące — jako niewykonalne, a nie mające tych znamion, które cechują nawet utopijne projekty idealne — są bezpłodne; gdy zaś na ich podstawie czynniki decydujące usiłują ingerować w życie, stają się projektami szkodliwymi. Jak widać, pragnąc uzmysłowić sobie problematykę architektury stykamy się przede wszystkim ze sprawą większej lub mniejszej realności zamierzenia.

Są w sztuce nurty, które przemijają jako style właściwe pewnym tylko epokom historycznym, i nurty, które periodycznie nawracają; do tych ostatnich należą pojęcia-postawy, w zasadzie niezmienne, choć różnie w różnym czasie interpretowane, jak postawa klasyczna i postawa romantyczna, czy także epicka i liryczna. Ich współzależność objawia się też w architekturze. Niezależnie jednak od tego — w zakresie zagadnień architektonicznych zachodzi, bar-

dziej niż gdziekolwiek indziej, rozgrywka o realizm; realizm — rozumiany jako postawa. Architektura tworzona z pobudek materialistycznych bądź też idealistycznych (choćby np. kościoły) — jest realistyczna, jeżeli odpowiada rzeczywistej potrzebie i — da się zbudować. Gdy zaś wynika z bardzo nawet interesującej spekulacji myślowej, lecz jest niemożliwa do realizacji — jest fantastyką.

Nie oznacza więc realizm w architekturze kierunku artystycznego. Podobnie zresztą jak i w innych sztukach oznacza postawę, i tym odróżnia się zdecydowanie od naturalizmu w malarstwie czy w literaturze. Realizm jest możliwy zawsze, i za każdym razem wyraża się odmiennym, właściwym epoce, językiem. W tym ujęciu „Guernica" Picassa jest na pewno realistyczna, oddając grozę, dziwność i wielkość naszego czasu oraz pełne niepokoju widzenie świata, tak charakterystyczne dla naszego pokolenia. Realizm okresu, który przyjdzie po nas, będzie znów na pewno inny, wyrazi on większy spokój i harmonię okresu dojrzałego. Pomimo piętrzących się trudności już w naszej architekturze ku niemu idziemy.

W architekturze nie ma miejsca na problem: realizm czy nie-realizm. Jedynie postawa realistyczna powoduje realność dzieła. Architekt pragnący się wypowiedzieć w jakiejkolwiek dziedzinie, nawet na temat kształtowania form, ale w sposób, który nie powoduje — pośrednio lub bezpośrednio — rzeczywistych faktów przestrzennych, powinien się wypowiedzieć na drodze innych gałęzi twórczości, na drodze sztuk plastycznych, dociekań naukowych lub literatury.

Prace Piranesiego i Noakowskiego nazwano fantazjami architektonicznymi, nie mieli oni jednak zamiaru budować według swoich szkiców, choć — pomijając zbyt śmiałe nieraz konstrukcje i nawarstwienia perspektywiczne — można by ich pomysły realizować. Ale cóż można powiedzieć o pomysłach, które rodziły się w pierwszych miesiącach trzeciej niepodległości, i z którymi poważnie się liczono? Przecież czas jakiś w pewnym, nie bardzo podłym, mieście przewidywano poważnie zniszczenie kilkunastu z żelaza i betonu wybudowanych przęseł mostu i wiaduktu, dlatego tylko, że nie odpowiadał on założeniom przyjętym w określonym momencie przez urbanistów. Przecież to równa się życzeniom, żeby miasto owo położone było nie nad rzeką, lecz nad morzem, lub co najmniej nad jeziorem; kto wie, czy nie łatwiejsze w realizacji byłoby sztuczne jezioro. Kto z czynników decydujących poważyłby się wydać zarządzenie tak nieprawdopodobnie kosztowne i niszczycielskie? Czy znaleźliby się robotnicy, którzy by się tego zadania podjęli? Czy to nie był właśnie ów „nadmiar swobody", który na wstępie przytoczyłem? Nie jest to zresztą stanowisko odosobnione. Urokowi „rozmachu" ulegają częstokroć instytucje zleceniodawcze, nastawione od razu na gigantyczne budowle i powodujące projekty, które nigdy poza papier nie wyjdą. A czymże jest przewidywanie masowej budowy „nowych zabytków", czyli gwałcenie rzeczywistości historycznej z wiarą, że typ myślenia rzemieślnika i wykonawcy (a także i architekta) dzisiejszego może się bez fałszu wcielić w psychikę sprzed wielu pokoleń... Przecież „kundli" bliżej nieokreślonych historycznie nam nie potrzeba. Odbu-

dujmy zabytków niewiele, lecz naprawdę wiernie: kongenialni imitatorzy w rodzaju Van Meegerena nie rodzą się na kamieniu.

Przed nami ogrom rzeczywistych zadań, w „natłoku słusznych celów" gdzież miejsce na urojenia!

NIECO SZCZEGÓŁÓW I WYJAŚNIEŃ

Od wywodów tych czytelnik oczekuje — być może — wyczerpującego przeglądu faktów i nazwisk, bardziej zaś jeszcze zapewne — bliższego wyjaśnienia, jaką to ma być ta nowa architektura.

Opowiadanie „jak to będzie wyglądało" nie jest łatwe. Bodźcem do pisania może być dla architekta szukanie przyczyn i skutków, formułowanie zasad, wreszcie polemika; przyszłą architekturę wypowiedziałby najlepiej w cegle lub betonie, potem zaś — osądzajcie.

Niestety, wspomniane przedtem opory wynikające z pośredniego tylko wpływu architekta na los dzieła nie pozwolą rychło na pełną realizację naszych zamierzeń. Gdy zaś dzieło nie jest ukończone, ocena jego jest trudna, wymaga dużego wyrobienia i wyobraźni plastycznej, może więc wypaść niesprawiedliwie. Nawet domy, tym bardziej zaś całe osiedla, chociaż gotowe już i zbudowane, nie żyją od razu pełnym życiem i nie kwalifikują się, tak od razu, do ostatecznej oceny architektonicznej. Czas ten określić można okresem wzrastania drzew, tyle też czasu potrzeba na pełne wykończenie i przyswojenie budowli obcującemu z nią człowiekowi.

Spodziewać się należy, że z chwilą ugruntowania form życia osiągniemy obiektywne warunki dla realizowania stojących przed nami zadań: będziemy naprawdę budować, budować w skali właściwej, w skali zamierzonej. Wówczas dopiero zwolna oswajać się będzie obywatel z innością form wokół niego powstających i krzepnących. Wówczas, upewnieni jakby w słuszności ogólnych założeń, skierujemy więcej jeszcze uwagi na stosunek szczegółu do całości. Ponieważ jednak poszukiwania architektury współczesnej nie od dziś się rozpoczęły, przeto najbliższe już nasze kroki mogą się stać poważnym pomostem między wczesnymi przemyśleniami i doświadczeniami a ukoronowaniem ich, które przyniesie przyszłość; są więc przeto, rzecz prosta, przedmiotem ogólnego zainteresowania.

Z zasady nie będziemy komponować w oderwaniu, liberalnie, lecz podporządkujemy się logicznemu planowi całości; wejdzie to nam z czasem w krew. Istnieje ponadto szereg dziś już oczywistych dla każdego zasad, niełatwych jednak do spełnienia i wzajemnego ich pogodzenia. Kolejne „odkrycia" prawd prowadziły zazwyczaj do fanatycznego niemal ich przestrzegania, z czasem ostrość zacierała się wobec ukazania się innych naświetleń sprawy. Gdy ułoży się ustrój, w jego ramach zaczną funkcjonować bardziej stałe prawa, które pomogą do sprecyzowania odchodzących form. Wówczas dojdziemy do określonej ilości prawideł budowania, stanowiących zamknięty kodeks, odpowia-

dający współczesnemu życiu, wówczas współzależność ich będzie mogła być uchwycona i wyważona.

O ile ortodoksyjne poszukiwanie światła i higieny doprowadziło do słusznego i wydatnego rozluźnienia zabudowy i zwiększenia procentu zieleni, o tyle bezwzględne unikanie północnego światła i wzajemne odsuwanie budynków doprowadza do nieuniknionej monotonii, zabudowy rozrzutnej i trudnej do obsłużenia przez urządzenia publiczne (prąd elektryczny, wodę, kanalizację i uzbrojenia ulic). Tak samo równie ważna zasada wydzielenia ruchu jezdnego z obrębu jednostek sąsiedzkich, ochrony dzieci i starców przed motorem i eliminacji hałasów, ma granice swego zastosowania. Nieprawdą jest, byśmy nie mieli budować elewacji północnych: zarówno większe mieszkania mogą posiadać pokoje niesłoneczne, jak również i mieszkania najmniejsze mogą mieć główną izbę skierowaną ku południowi, pomieszczenia zaś pomocnicze — ku północy: światło ściśle zachodnie jest też nieraz nużące. Podobnie także idealne wydzielenie ruchu pieszego i jezdnego w większych osiedlach wymagałoby kosztownych inwestycji o wątpliwej konieczności i wartości estetycznej. Wreszcie nadmiernie „humanitarnie" zaprojektowana zieleń publiczna nie doczekałaby się nigdy realizacji, albo obciążyłaby budżet gminy i obywatela ponad dopuszczalną miarę.

Względy psychologiczne, prawa światła, higieny, bezpieczeństwa. winny być każdorazowo skonfrontowane z prawami ekonomii. Prawdopodobnie wypadkowa ich będzie najlepszą przesłanką dla koncepcji przestrzennej — ta znów z kolei powinna być budowana na wszystkich przesłankach poprzednich plus względy estetyczne. Tak już jest, że zazwyczaj względy te są echem i konsekwencją poprzednich argumentów. Jest to jakby ostatnie pociągnięcie pędzlem, ważkie i formujące właściwe oblicze architektury. Tak więc biorąc pod uwagę wszystkie wymienione i niewymienione zasady i argumenty, i nie gwałcąc żadnej z nich w sposób niedopuszczalny, zestroimy je pod kątem ostatecznego efektu plastycznego — ku pełnej radości człowieka.

Pełnej. Napisałem przedtem, że dążymy do pełnego opanowania przestrzeni. W jaki sposób?

Rozumiemy, że wyspowe, elitarne rozpatrywanie zjawisk było błędem, śmiesznym chowaniem głowy w piasek; wielkie zbiorowiska ludzkie, interesujące dotychczas intelektualistów, nie mogą pozostać jedynym przedmiotem prac planisty i architekta. Spostrzegamy, że obszary inwestycji rozproszonych stanowią główne tło kraju i od ich zagospodarowania zależy w wielkiej mierze oblicze Polski i poczucie obywatela. Planowa przebudowa tego „tła", a więc krajobrazu i osiedla wiejskiego aż do osiedla usługowego i przetwórczego, czyli tzw. małego miasteczka, jest kardynalnym problemem dzisiejszego czasu.

Problem ten wymaga szczególnej wnikliwości. Życie „prowincji", dziś bardzo jeszcze nikłe i ekskluzywne, w wyniku oddalenia wzajemnego osiedli oraz z natury pracy związanej z cyklem prac rolniczych, nie będzie płynęło nigdy równie wartko jak życie głównych ośrodków przemysłowych i kulturalnych kraju i nie będzie dopuszczać do zmian gwałtownych. Stąd — inne metody zaplano-

wania, architektura w skali drobniejszej, wtopiona w przyrodę, częstokroć z materiałów rodzimych wzniesiona. Architektura bardziej jeszcze niż w mieście od praw ekonomii zależna: tu każda inwestycja wiąże się ściśle z gospodarką, i przy postępującej nawet koncentracji potencjału gospodarczego gromady i gminy wiejskiej, uspołecznionej przez Samopomoc i spółdzielczość, produkcja wypracuje z trudem takie nadwyżki, które pozwolą co najwyżej na skromne budownictwo społeczne, dla zbiorowości z czasem nieodzowne. Przesłanki wreszcie ekonomiczno-socjalne zwróciły naszą uwagę na ścisły związek miasteczek najmniejszych z ich zapleczem; stąd jakby zwornikiem konstrukcji społecznej wyrażonej przestrzennie staje się owo osiedle usługowe, najmniejsze w randze miast, największe w randze wsi. Jego forma architektoniczna zmieni w dużym stopniu oblicze w związku ze zmianą sposobów produkcji i wymiany oraz wzmożonym życiem kulturalnym gminy, której będzie małą stolicą.

Zadania narastają wreszcie w związku z zagadnieniem Ziem Odzyskanych. Problem odrębności przestrzennych form bytowania ujawnia się jaskrawo i wymaga odpowiedzi — wobec zetknięcia się z obcą nam kulturą materialną i architekturą. Ziemie Odzyskane nasuwają w ogóle całe bogactwo tematów, których na tym miejscu nie jestem w stanie poruszyć.

Jednym z najważniejszych, najczęściej spotykanych zarzutów przeciw nowej architekturze była monotonia. Kakofonia „modernistycznych" czynszówek mniej znacznie wzbudzała protestów niż nowe budowle użyteczności publicznej, a zwłaszcza wielkie społeczne bloki mieszkalne. Zarzut był trafny. Dlaczego tak się stało?

Otóż sprzeciw twórców tego budownictwa wobec rzekomego „indywidualizmu" antyspołecznych kamienic kierował myśl ku możliwie jednolitym ścianom domów oraz rytmom niekończącym się i niezmiennym. Wrażenie potęgowała daleko posunięta oszczędność. Tak chciano objawić nowy styl i zadokumentować skalę zadań. Rychło jednak spostrzeżono, że posunięto się niepotrzebnie za daleko w ubóstwie środków architektonicznych.

Reakcja widza była zresztą zrozumiała: oko jego było od szeregu lat oswojone z rozmiarami domu czynszowego, a zmiany na powierzchni jego elewacji nie były tak istotne jak wprowadzenie nowej skali, nie dość właściwie użytej. Zgrzyt wynikał z nieprzyzwyczajenia oka i z psychicznego oporu przeciw nowemu i niewiadomemu. Przyczyną organiczną były jednak: połowiczność zadań (wykraczając poza skalę działki budowlanej rzadko rozporządzano naprawdę wielkim i swobodnym terenem, na którym można by w pełni rozwinąć wielką kompozycję przestrzenną) i — nieprzygotowanie zarówno instytucji budujących jak i samych architektów.

Za wszelką cenę dążyć musimy do wzbogacenia kompozycji.

W mieście, wydzielone z szybkiego ruchu kołowego, powstaną zespoły wnętrz w miarę zwartych, by nie czyniły wrażenia chaosu lub rozproszenia, w miarę zaś otwartych, by uniknąć zacieśnienia i pozwolić oku na swobodne wejrzenie; mimo większych niż dotychczas rozmiarów założeń, poszczególne

elementy traktowane będą rozmaicie. Jakby obręczą wspólnie wiążącą kompozycję będą pewne elementy zasadnicze, w każdym jednak wypadku będą to tylko ramy dla swobodnej interpretacji architektonicznej.

Będzie to poniekąd nawrót do niezmiennych zasad kompozycyjnych, na których budowano architekturę: różnicowania wrażeń, kolejnego przymykania i otwierania perspektyw, stosowania prześwitów, różnicowania efektów wysokościowych, wreszcie operowania zasadą proporcji, starą jak świat, jak świat antyczny, opartą o mądrość budowy natury i człowieka. Zasady niezmienne, ale zastosowane do zmiennych zadań i przy zmiennych warunkach życia — wytworzą inną, nam odpowiadającą architekturę.

Zasadnicze prawidła sztuki słuszne są w każdych okolicznościach. Bogactwo ich zastosowania (zakładając osiągniętą już wysoko umiejętność) zależy jednak od różnorodności tematów i ich wzajemnego ustosunkowania. W tym sensie staje się rzeczą zrozumiałą, jak wielkie znaczenie ma dla przyszłej architektury osiągnięcie pełni życia społecznego, tak okrzepniętego, by mogło się wyrazić w drodze pełnej aktywności inwestycyjnej. Rozważając przyszłą architekturę wsi, pisałem:

„Sylweta wsi przeżyje kompletną rewolucję plastyczną. Przede wszystkim: ośrodek. Nie było go wcale. Panujący nad wsią dwór nie komponował się z nią w sposób przemyślany, żył raczej obok wsi niźli razem z nią; nieliczne użyteczności publiczne (kościół, gmina czy karczma) nie pozostawały ze sobą w bliższym związku; teraz ośrodek stanowić będzie zdecydowany trzon osiedla, nadając mu rangę samodzielnego, pełnoprawnego organizmu społecznego i plastycznego zarazem. Zarówno w treści wewnętrznej, jak też w wyrazie plastycznym, wieś zyska — nie będzie już bezgłową masą monotonnie powtórzonych, choć samych w sobie może nieraz pięknych jednostek.

Podporządkowana ośrodkowi, wieś musi z nim razem stanowić jedną kompozycję".

Odnosi się to, rzecz prosta, do wszelkiego typu skupień ludzkich. Spojrzenie na plan i sylwetę osiedla średniowiecznego wskazuje na jasną kompozycję i akcentowanie użyteczności zbiorowej przez człowieka gotyku; potęgi — świecka i duchowna — narzucały osiedlu plastykę w sposób zdecydowany.

Tak było zawsze i skrystalizowanie tej właśnie dominanty charakteryzowało epoki wielkie i dojrzałe. W ślad za szybkim i chaotycznym wzrostem miast i oderwaniem ich od naturalnego zaplecza nastąpiło rozproszenie efektu plastycznego, skala zagubiła się. Budownictwo to zostało zepchnięte na plan dalszy, stało się niemal niedostrzegalne wśród niekończącej się szarzyzny domów czynszowych.

Poczynając od kultury, nauczania i zdrowia, oraz produkcji i wymiany, czyli przy wypełnieniu całokształtu powszednich potrzeb zbiorowych człowieka, osiedle zyskuje znów na skutek współczesnej koncepcji społecznej swą zatraconą, bogatą formę plastyczną.

Pozostaje — ukoronowanie monumentem. Monumentem o roli niecodziennej,

WARSZAWSKA SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA

proj. arch. Barbara Brukalska i Stanisław Brukalski

fot. J. Bulhak

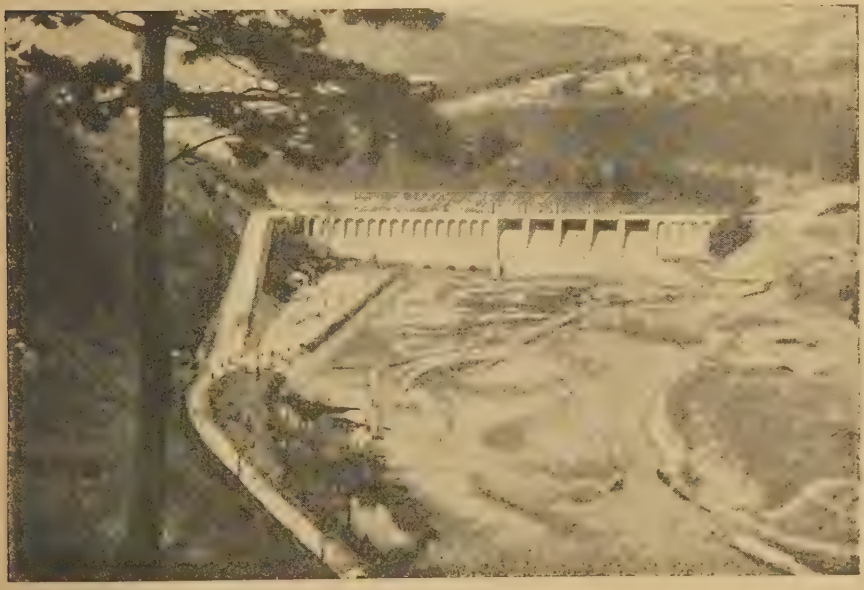

ZAPORA W PORĄBCE

opracowanie architektoniczne: arch. Mieczysław Veit

fot. T. Kondratowicz

wywołującym emocje, monumentem wyrażającym filozofię epoki i obrazującym logikę jej organizmu społecznego.

Nie ujrzymy go prędko. Pojawi się on wówczas, gdy ekonomia i polityka stworzą warunki dla skupionej myśli i dla zamiaru czynem niezawodnie popartego. Nie łatwo jest go określić; pewne jest jednak, że będzie inny formą i skalą całości niż dotychczasowe, przy równoczesnym wnikliwym dostosowaniu do skali człowieka.

Równie pewne jest i to, że w twórczości architektonicznej zbliżamy się, właśnie my, wskutek organicznych przemian ustrojowych, poprzez syntezę poprzednich poszukiwań, ku równowadze i uspokojeniu. To znak wskazujący, iż wychodzimy z „impasu", który cechował dotychczasową architekturę. A wspomniana przed chwilą „obręcz" wiążąca kompozycję, lecz dopuszczająca w swych ramach swobodną wypowiedź indywidualności — czyż nie jest interpretacją przestrzenną najkapitalniejszego problemu epoki?

Jeśli po tej drodze naprawdę kroczymy, to możemy być spokojni: architektura polska jest gotowa do podjęcia zadań, które przed nią będą postawione.

OSTATNIE SŁOWO

Zreasumujmy.

Musimy się kąpać na przemian w wodzie gorącej i w wodzie zimnej: pracować intensywnie, lecz nie łudzić się, abyśmy — jak na wstępie stwierdziłem — mieli ujrzeć już w tym pokoleniu dojrzałe owoce naszych wysiłków, złoty wiek zarysowującej się epoki. Poważne przyczyny stoją na przeszkodzie rychłemu powstaniu zarówno powszechnej jak i wielkiej architektury.

Jest architektów dwa razy mniej niż przed wojną, zadania zaś wzrosły więcej niż w dwójnasób.

Stąd dla architektów nakaz pracy jak najbardziej wydajnej na odcinkach zasadniczych tam, gdzie architekt jest niezastąpiony. Stąd nakaz zdrowego rozumu i woli realizacji. Nakaz wszechstronnego rozumienia zachodzących przemian i współpracy ze społeczeństwem i innymi grupami zawodowymi, po to, by wnieść we wspólne dzieło właściwy architektowi umysł konstruktora i humanisty zarazem.

Natomiast od społeczeństwa i emanowanego zeń państwa zależy, by najlepsze, nawet choćby najbardziej „życiowe" plany mogły być zrealizowane.

Móc realizować! Oto dramat architekta. Bez tego pomysły jego zwietrzeją, stracą aktualność, a z czasem i sens; same skromne remonty i konserwacje nie wytworzą atmosfery i — albo przygłuszą jednych lub zniechęcą, albo też — skierują najbardziej czujące i myślące jednostki na żałosną drogę bezpłodnego fantazjowania.

Najpierw warunki obiektywne — potem wielka architektura.

lipiec 1947

BOLESŁAW SKARŻYŃSKI

POLONICA W PIŚMIENNICTWIE SZWEDZKIM W CZASIE WOJNY

Ubiegła wojna niewątpliwie zaktualizowała Polskę nie tylko na terenie dziennikarskm świata cywilizowanego. Dała impuls nie tylko do szeregu mniej lub bardziej poważnych źródłowych publikacji na tematy polskie w językach obcych, ale wprowadziła nawet niejednokrotnie Polskę i Polaków do beletrystyki światowej. Szczególnie piśmiennictwo anglosaskie z czasów wojennych daje wielką liczbę pozycji pośrednio lub bezpośrednio odnoszących się do Polski. Prasa na emigracji dosyć dokładnie rejestrowała je i omawiała, nie należy się więc obawiać, aby uległy one przeoczeniu lub zapomnieniu. Mniej natomiast znane są wśród nas oddźwięki spraw polskich w beletrystyce lub literaturze fachowej narodów mniejszych, jakkolwiek bez wątpienia i w tej dziedzinie napotkać możemy na publikacje może nie zawsze szczególnie nas interesujące, niemniej jednak świadczące wymownie o zainteresowaniu obcych naszymi sprawami.

Takimi są wojenne polonica szwedzkie. Naród szwedzki, mało znany u nas — choćby tylko z powodu dzielącej nas od Szwedów trudności ich języka — darzył Polskę zawsze dużym zainteresowaniem. W każdym razie Szwedzi interesowali się nami więcej i znali nas lepiej, niż my znaliśmy ich kraj i kulturę. Polonica w beletrystyce i literaturze fachowej szwedzkiej, może niezbyt liczne i nie zawsze świadczące o gruntownej znajomości problemów polskich, zasługiwałyby jednak stanowczo na poważniejsze opracowanie, szczególnie te, które nagromadziły się w okresie międzywojennym. Niestety opracowań takich brak u nas zupełnie, jak zaś mogą być one pożyteczne nawet wówczas, kiedy ograniczają się tylko do pewnego wycinka, świadczy arcyciekawa praca prof. Stanisława Wędkiewicza „‚Chłopi' Reymonta w Szwecji. Dokoła literackiej nagrody Nobla z. 1924 r.", *Przegląd Współczesny*, 1925, wrzesień, i odbitka.

W niniejszym opracowaniu chodzić nam będzie jedynie o możliwie pełną rejestrację oddźwięków Polski w piśmiennictwie szwedzkim z okresu wojny. Ani pod względem jakościowym, ani też ilościowym nie przedstawiają się one

może w sposób szczególnie zasobny, odzwierciedlają jednakowoż do pewnego stopnia nastawienie Szwedów do naszych zagadnień oraz fluktuację nastrojów wywołaną ogólną sytuacją polityczną, wreszcie uwydatniają kilka postaci piśmiennictwa szwedzkiego, mało albo też w ogóle u nas nieznanych. Z wszystkich tych względów sprawa godna naszej pamięci i przypomnienia.

Kampania wrześniowa w Polsce spowodowała pojawienie się w prasie szwedzkiej dosyć licznych, przeważnie niewielkich rozmiarami artykułów o Polsce, posiadających charakter czysto informacyjny i nie dotykających poważniej kulturalnych lub politycznych zagadnień. Pojawiło się również trochę korespondencji wojennych pióra dziennikarzy szwedzkich przeżywających kampanię po polskiej stronie frontu, oddających hołd postawie społeczeństwa i nie bez złośliwości opisujących chaos na wyższych szczeblach administracji oraz wojskowości polskiej. Jeden z korespondentów, W. Siemiczow, zebrał później swe reportaże w książce pt. „Kraj, który zniknął". Do pewnego stopnia reportażowo-informacyjny charakter posiadała również wydana w zimie 1939—40 pod redakcją K. O. Hedströma zbiorowa obszerna praca, zatytułowana „Czwarty rozbiór Polski", w której oprócz rozdziałów poświęconych wojnie znalazł się także obszerny ustęp traktujący historię Polski, zaopatrzony tytułem „Ptak Feniks".

Ton głosów prasy szwedzkiej z okresu kampanii wrześniowej i bezpośrednio po jej zakończeniu był na ogół dla Polski bardzo życzliwy. Szczególnie cierpienia ludności cywilnej znajdowały żywy odźwięk, jej postawa budziła podziw, ale szybki przebieg walk, prowadzący do niespodziewanie rychłego tragicznego końca, zaskoczył i do pewnego stopnia zastraszył opinię szwedzką. Nie robiono sobie zbyt świetnych nadziei co do przyszłych losów Polski. Znamiennym wyrazem tego nastawienia opinii szwedzkiej było pojawienie się w początkach października 1939 w różnych dziennikach i tygodnikach szwedzkich kilku pięknych wierszy C. Snoilsky'ego, jednego z najznakomitszych liryków szwedzkich ubiegłego stulecia. Snoilsky był entuzjastą powstania 1863 roku i upadek powstania przeżył boleśnie, o czym świadczy kilkanaście utworów poetyckich, będących perłą liryki szwedzkiej. Szczególnie często w 1939 roku był przedrukowywany wiersz Snoilsky'ego zatytułowany „Na grób Polski".

Później w publicystyce szwedzkiej zapanowało dziwne milczenie na temat Polski. Do Szwecji docierały wieści o terrorze niemieckim w Polsce, ale albo nie wierzono im, albo też nie chciano tych spraw publicznie poruszać. Milczenie to było tak znamienne, że w marcu 1940 jeden z wybitnych poetów szwedzkich, zmarły wkrótce potem Eryk Lindorm, zamieścił na łamach jednego z najpoczytniejszych tygodników piękny artykuł, piętnujący ostro trwożliwość opinii szwedzkiej i jej bierność wobec zagadnień Polski. Ale w kilka tygodni potem Niemcy najechali Danię i Norwegię; Szwedzi musieli zająć się bardziej bliskimi im problemami, a upadek Francji do tego stopnia podziałał na nastroje szwedzkie, że jakiekolwiek poruszanie publiczne spraw polskich uważane było za źródło niebezpieczeństwa dla Szwecji. Utworzony w owym czasie Urząd

Informacji (Informationsstyrelse) dbał przezornie o to, ażeby żaden głos w prasie nie wplątał polityki szwedzkiej w kłopotliwą sytuację i nie spowodował konieczności wyjaśnień, dotyczących bardzo życzliwego ustosunkowania się władz szwedzkich do urzędowego przedstawicielstwa Polski w Sztokholmie i do sporej grupy uchodźców polskich znajdujących się na terenie Szwecji.

Dziwnym wyjątkiem w tym ogólnym milczeniu była wydana w owym czasie książka Bogusława Kuczyńskiego „Panik i Polen" [„Panika w Polsce"]. Powieść ta daje obraz kampanii wrześniowej widzianej oczyma zwykłego cywila, jednego z setek tysięcy uciekinierów uchodzących przed posuwającymi się naprzód armiami niemieckimi. Z podtytułu książki można było dowiedzieć się, że została ona przetłumaczona z niemieckiego rękopisu autora. Tymczasem podtytuł ten skrywa mistyfikację, na której nikt z czytelników szwedzkich na pewno się nie wyznał, skoro nawet piszący te słowa dopiero teraz w kraju ją dostrzegł.

Nazwisko Bogusława Kuczyńskiego nie jest obce czytelnikowi obznajomionemu z literaturą polską bezpośrednio przed wojną. Kuczyński wydał wówczas powieść „Kobiety przy drodze". *Twórczość*, r. 1946, n. 4 drukowała jego reportaż „Złe dni włoskiego faszyzmu", a ten rzekomy niemiecki rękopis to poprostu książka Kuczyńskiego „Pobojowisko", wydana na emigracji w kilka miesięcy po kampanii wrześniowej, a tłumaczona również na inne języki, np. na włoski („Il terrore viene dal cielo").

Cel mistyfikacji był jasny: chodziło o to, ażeby urobić i nastraszyć szeroką opinię szwedzką przez wykazanie, co może czekać Szwedów w razie ewentualnego czynnego wystąpienia przeciw Niemcom. Propagandzie niemieckiej trudno było się przyznać, że czyni to za pośrednictwem autora polskiego, za pośrednictwem książki będącej oskarżeniem Niemców, a nie świadectwem zachwiania się pod ich terrorem militarnym. Tego rodzaju chwytami propagandowymi posługiwali się Niemcy w Szwecji niejednokrotnie i jeszcze w 1944 ukazały się po szwedzku wspomnienia rzekomego oficera dywizji kościuszkowskiej, który przeszedł na froncie wschodnim na stronę niemiecką. Liczne błędy w nazwiskach i datach, rażące nieścisłości, naiwny obraz Polski przedwrześniowej nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości co do charakteru i genezy tych „wspomnień", ale na przeciętnym czytelniku szwedzkim książka mogła wywrzeć pewne wrażenie.

Z początkiem roku 1941 ukazała się duża nowela pióra jednego z czołowych pisarzy szwedzkich, Fryderyka Böök a, która ze względu na osobę autora i zawartą w niej tendencję musi nas bardziej zainteresować. Nowela ta, zatytułowana „Hamlet w Polsce", drukowana była naprzód w odcinkach poczytnego tygodnika szwedzkiego, potem ukazała się w wydaniu książkowym w zbiorze pt. „Tancerka z Aleppo". Autor jest profesorem historii literatury na uniwersytecie w Lund, członkiem Szwedzkiej Akademii, czyli jednym z osiemnastu szwedzkich „nieśmiertelnych", doskonałym krytykiem literackim, essayistą i publicystą. Rozgłos zdobył sobie jeszcze przed pierwszą wojną światową dzięki namiętnej polemice ze Strindbergiem; poza mniej lub bardziej

ściśle naukową produkcją zajmuje się z pewnym powodzeniem twórczością beletrystyczną.

Z Polską zetknął się profesor Böök bezpośrednio już w czasie pierwszej wojny światowej, gdy jako korespondent konserwatywnego dziennika sztokholmskiego *Svenska Dagbladet* odwiedził Warszawę, która nie zrobiła na nim przyjemnego wrażenia. Szczególnie zainteresowali Bööka Żydzi polscy; Polskę traktuje on jako typowy kraj ghetta żydowskiego i antysemityzm uważa za jedną z charakterystycznych cech narodowych polskich. Gorący sentyment dla Żydów łączył Böök do ostatnich lat w przedziwny sposób z podziwem dla Trzeciej Rzeszy, wzbudzając tym niejednokrotnie żywe dyskusje w Szwecji. W roku 1921 Böök spędził w Polsce kilka tygodni i wrażenia z tego pobytu zawarł w książce „Podróż do Konstantynopola". Oprócz ustępów pełnych uznania dla kultury polskiej (np. entuzjastyczny rozdział o Krakowie) pełno w tej książce uszczypliwych i krytycznych uwag na temat młodej państwowości polskiej.

To niechętne nastawienie do Polski znajdowało w latach późniejszych coraz częstszy wyraz w produkcji literackiej Bööka; w licznych swych opisach podróży po Europie w latach międzywojennych nie omija żadnej sposobności, aby Polskę przedstawić w niekorzystnym świetle. Np. stojąc przed kolumną pamiątkową w muzeum polskim w Raperswilu rozwodzi się nad krwiożerczością orła białego, myśląc o „uciskanych" przez Polskę Niemcach. Literaturę i kulturę polską Böök zna dobrze, swymi studiami krytycznymi wprowadził do Szwecji „Chłopów" Reymonta i jako członek Szwedzkiej Akademii walnie przyczynił się do przyznania Reymontowi nagrody Nobla.

W latach poprzedzających wojnę coraz wybitniej ujawniał swe gorące uznanie dla Niemiec hitlerowskich i dla niemieckiego totalizmu, a wreszcie w roku 1940 w swej mowie na otwarciu roku uniwersyteckiego w Lund wypowiedział się za przystąpieniem Szwecji do nowej Europy organizowanej pod egidą Niemiec, wzbudzając tym nader burzliwą dyskusję w prasie szwedzkiej.

Utwór Bööka ma formę opowiadania inżyniera szwedzkiego, który spędza jakiś czas w Poznańskim, w pierwszych latach naszej niepodległości, jako fachowy doradca w przemyśle cukrowniczym. Od pierwszej chwili przekroczenia granicy między Gdańskiem a Polską Szwed spotyka się na każdym kroku z objawami niezaradności, braku organizacji, lenistwa i nieuczciwości w drobnostkach. Z uznaniem i podziwem podnosi wyrafinowaną kulturę sfer zamożnych i inteligencji, równocześnie jednak w jaskrawy sposób maluje chorobliwą megalomanię narodową. Wyraża troskę o los wysokiego poziomu gospodarki społecznej, osiągniętego dzięki Niemcom a zagrożonego przez polską dezorganizację. Bohaterem noweli, owym „Hamletem w Polsce", jest syn bogatego właściciela ziemskiego, szczery Polak, wychowany pod wpływem kultury niemieckiej, oficer armii niemieckiej podczas wojny światowej. Rodzina jego i otoczenie są zdecydowanie antyniemieckie i dążą wszelkimi siłami do wytworzenia muru między Niemcami a Polską, podczas gdy on sam obawia się, że odcięcie się Polski od Niemiec jest równoznaczne z odpadnię-

ciem od kultury zachodniej i stanowi groźne dla Polski niebezpieczeństwo. Wewnętrzna walka między skłonnościami bohatera i nastrojem jego otoczenia, któremu ulega, ma być w zrozumieniu Bööka owym hamletowskim problemem, przy czym autor nie ukrywa, jaka jego zdaniem powinna być decyzja bohatera. Jak już zaznaczono powyżej, „Hamlet w Polsce" drukowany był w bardzo poczytnym tygodniku, co łącznie z nazwiskiem autora przyczyniło się niemało do wtłoczenia w umysły wielu Szwedów tak postawionego problemu. Piszący te słowa miał wielokrotnie możność dyskutowania z inteligentnymi Szwedami, pytającymi ze zdumieniem, czy rzeczywiście Polacy mogli zastanawiać się nad takim dylematem.

Jedno z czołowych miejsc we współczesnej beletrystyce szwedzkiej wciąż jeszcze zajmuje dziś już siedemdziesięcioletnia Marika Stjernstedt. W bogatej swej produkcji powieściowej odtwarza ona przede wszystkim życie warstwy szlacheckiej i zamożnego mieszczaństwa szwedzkiego i, jakkolwiek nie zawsze utrzymuje się na odpowiednim poziomie artystycznym, cieszy się w swej ojczyźnie wielkim uznaniem i popularnością, nas zaś musi interesować przede wszystkim z powodu swej łączności z Polską. Marika Stjernstedt jest bowiem pół-krwi Polką. Matka jej, Ciechanowiecka z domu, żona generała szwedzkiego, od dziecka wpajała w nią zainteresowanie Polską i jakkolwiek Marika Stjernstedt nie zna języka polskiego, w wywiadach prasowych i wystąpieniach publicznych zawsze podkreśla, że ma dwie ojczyzny — Szwecję i Polskę. W roku 1916 należała do grupy Szwedów (na których czele stał żarliwy przyjaciel Polski i radykalny działacz społeczny dr Antoni Nyström), którzy słowem i pismem krzewili w Szwecji ideę niepodległej Polski. Również i w czasie ostatniej wojny Marika Stjernstedt brała czynny udział w komitecie pomocy dla uchodźców polskich w Sztokholmie; 3 maja 1943 roku wygłosiła przez radio piękne okolicznościowe przemówienie poświęcone Polsce. W roku 1944 stanęła na czele organizacji mającej na celu pomoc dla dzieci w Polsce, zorganizowała „Tydzień polskiego dziecka" w Sztokholmie i była inicjatorką pierwszego transportu darów wysłanego ze Szwecji dla Polski do Lublina, będącego w tym czasie jeszcze siedzibą rządu.

Jako młoda dziewczyna odwiedzała Marika Stjernstedt rodzinę swej matki, ziemian na Białorusi, co dało jej nieco jednostronny obraz Polski, widziany przez pryzmat zamożnego domu kresowego. Jedna z jej wcześniejszych powieści, wydana w roku 1905 pt. „Serce Janiny", rozgrywa się właśnie w takim polskim środowisku na kresach; poza tym tematy polskie poruszała kilkakrotnie w swych drobniejszych nowelach. W roku 1943 wydała powieść „Zamach w Paryżu" — jeden z literackich przebojów szwedzkich z czasów wojny — przerobioną zresztą potem na film i na sztukę dramatyczną. Akcja powieści rozgrywa się w Paryżu podczas okupacji niemieckiej, a osią akcji jest zastrzelenie oficera niemieckiego na dworcu kolei podziemnej. Wśród występujących w powieści działaczy frontu podziemnego musi nas zainteresować postać Polaka, malarza i oficera, Szczyta. Pod piórem Mariki Stjernstedt Szczyt staje się symbolem bohaterstwa polskiego i nieustannej walki przeciw

Niemcom. W usta jego wkłada autorka mocny opis Polski w czasie katastrofy wrześniowej i obraz tragedii ludności cywilnej, a w opowiadanie jego wplata duży ustęp z „Farysa"*).

W jesieni 1944 r. ukazała się najnowsza powieść Mariki Stjernstedt, przyjęta przez krytykę szwedzką jako hołd złożony przez autorkę ojczyźnie jej matki. Powieść nosi tytuł „Indiansommar 39" — tytuł, dla którego nie ma odpowiednika w języku polskim; co najwyżej dający się spolszczyć jako „Babie lato 39". Ów beztroski, piękny schyłek lata — to katastrofa wrześniowa, oglądana z horyzontu małego dworu polskiego na wschodnim Podkarpaciu. Główną postacią powieści jest młody jeszcze właściciel niedużego majątku ziemskiego, Antoni Skarga, niewiele zresztą interesujący się gospodarką na roli, a za to z zapałem oddający się studiom oceanograficznym. Szczery Polak, ale przede wszystkim Europejczyk, nie zajmuje się wiele zagadnieniami swego kraju, od którego zresztą pozostaje w oddaleniu studiując za granicą albo spędzając długie miesiące na wyprawach badawczych po oceanach. W sierpniu 1939 roku, wracając z takiej rok trwającej wyprawy, podczas której był niemal zupełnie odcięty od wielkich wydarzeń poruszających Europę, styka się Skarga we Francji z ponurą rzeczywistością i widmem zbliżającej się wojny. Wraca do Polski, nie wierząc wciąż jeszcze w możliwość wojny, spotyka się w kraju z pełnym gotowości bojowej nastrojem, ale w zaciszu wiejskim, w małym mająteczku Sielce na wschodnim Podkarpaciu nie dochodzą do jego uszu grzmoty zbliżającej się tragicznej burzy. Życie w tym zakątku biegnie dawnymi torami; chłopi we wiosce, grupka oficjalistów dworskich, mieszkańcy pobliskiego miasteczka Łowcza, zajęci swymi codziennymi troskami i drobnymi radościami, nie chcą zaprzątać zbytnio swych myśli grozą wojny, zdając się na opatrzność boską, nie wierząc, by niszczący huragan mógł kiedyś dotrzeć do zapadłego podgórskiego kąta. Nawet rzeczywisty wybuch wojny, o którym donosi radio, niewiele zmienia ten nastrój. Młodzi idą do wojska, starsi z zatroskanym czołem i ściśniętym sercem słuchają niepomyślnych wieści, które przynosi radio, ale praca w polu lub handel w miasteczku biegnie po dawnemu, a dr Skarga rozpoczyna opracowywanie naukowych materiałów przywiezionych z ostatniej wyprawy. Tylko cieśla wiejski Szamo, uczestnik rewolucji rosyjskiej, obieżyświat i były żołnierz czerwonej Hiszpanii, patrzy inaczej w najbliższą przyszłość. Liczy się z tym, że Niemcy dotrą nawet do zapadłych Sielc, gromadzi koło siebie wyrostków wiejskich, musztruje ich, projektuje partyzantkę i doprowadza do tego, że najzupełniej pokojowo usposobiony Skarga kupuje za własne pieniądze stare karabiny, materiały wybuchowe i z oderwanego nieco od życia naukowca powoli zamienia się w posłusznego, gotowego na wszystko bojowca. I wreszcie pewnego dnia do pobliskiego miasteczka Łowcza przybywają Niemcy — oddział pancerny i funkcjonariusze Gestapo. W ciągu kilkunastu godzin zostają aresztowani najpoważniejsi mieszkańcy, rabin powieszony, a na Sielce wyrusza karna ekspedycja.

*) Powieść „Zamach w Paryżu" ukazała się przed kilkoma miesiącami w tłumaczeniu polskim Edyty Gałuszkowej-Sicińskiej.

Na kilka miesięcy przed wojną leśniczy w Sielcach, Niemiec, zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku, ale niemiecka propaganda już wtenczas ze zdarzenia tego zrobiła skrytobójcze zamordowanie Niemca przez Polaka. Teraz wieś musi ponieść karę. Lecz oddział niemiecki natyka się na partyzantów, którzy bronią dostępu do swej wioski. Oddział regularnego wojska polskiego, oderwany od głównych sił i pragnący walczyć do ostatka, wspomaga uzbrojonych chłopów i osłania ucieczkę kobiet i dzieci wraz z dobytkiem ku pobliskiej granicy węgierskiej. Jako ostatni wycofują się z bronią w ręku walczący żołnierze, ale na placu boju pozostaje martwy dr Antoni Skarga, trafiony kulą niemiecką podczas obsługiwania karabinu maszynowego. Powieść kończy się cytatami z „Ksiąg Pielgrzymstwa" i wyrazem głębokiej wiary w niezłomne siły życiowe nigdy nie kapitulującego narodu polskiego.

„Indiansommar" spotkało się z bardzo przychylnym przyjęciem przez krytykę szwedzką, jakkolwiek bez wątpienia nie należy do najcelniejszych powieści płodnej i niestarzejącej się autorki. Czytelnika polskiego uderzać musi względnie dobra znajomość środowiska polskiego wykazywana przez Marikę Stjernstedt. Oczywiście nie brak pewnych naiwności w opisie życia wiejskiego, wynikających zapewne z przeniesienia doświadczeń zebranych na Białorusi do środowiska wiejskiego w południowej Polsce. Dwór wiejski jest w oczach autorki moralnym ośrodkiem wsi polskiej; stosunek dworu do wsi ma zdecydowanie patriarchalny charakter. Ale Marika Stjernstedt pragnęła odtworzyć literacko jeden tylko proces — chciała pokazać, jak spokojna, konserwatywna, religijna wieś polska przekształca się pod wpływem wypadków w obronną fortecę stawiającą czoło najeźdźcy, jak pracowity, odcięty od świata chłop lub ogólnoeuropejskiego pokroju naukowiec zamienia się w nieustraszonego bojowca. Rozpatrywana z tego punktu widzenia, powieść bez wątpienia jest jednym z lepszych utworów literackich poświęconych Polsce walczącej a pisanych piórem obcym.

Późną jesienią 1945 r. Marika Stjernstedt odwiedziła po raz pierwszy po wielu latach ojczyznę swej matki. Pobyt szwedzkiej autorki w Polsce trwał kilka tygodni. Ograniczył się co prawda do zwiedzenia Warszawy i jednodniowych odwiedzin w Krakowie, ale dał jej możność zetknięcia się z szeregiem wybitnych osobistości ze sfer rządowych, wielu rozmów z przeciętnymi obywatelami i pewnego powierzchownego wglądu w życie codzienne w Polsce w pierwszym roku odzyskanej niepodległości. Owocem tej wyprawy była książka zatytułowana „Polsk Revolution" (Polska rewolucja), będąca właściwie dużym, zajmującym reportażem, przenikniętym głębokim podziwem dla tężyzny narodu polskiego, uznaniem dla reform społecznych, niemal entuzjazmem dla budowniczych nowej Polski i głęboką wdzięcznością za serdeczną gościnność, z jaką spotkała się u nas autorka. Zrozumiałe jest, że krótkotrwały pobyt nie pozwolił znakomitej literatce wniknąć głębiej we wszystkie problemy współczesnej Polski, toteż nie brak ustępów, które polskiemu czytelnikowi wydadzą się nieco naiwne lub powierzchowne, ale cała książka jest nacechowana szczerą chęcią połączenia obiektywizmu z gorącą sympatią dla

naszego kraju. Niewątpliwie jest to jeden z bardziej pozytywnych reportaży, jakie o nowej Polsce napisali cudzoziemcy.

Do bardziej odległej epoki dziejów Polski sięgnęła stosunkowo mniej znana autorka, Py Sörmann, w swej historyczno-powieściowej biografii zatytułowanej „Spelet kring en drottning" (Intrygi dokoła królowej), wydanej w 1943 r. Bohaterką tej barwnej książki jest Katarzyna Jagiellonka, siostra Zygmunta Augusta a żona Jana III szwedzkiego, matka naszego Zygmunta III. Katarzyna Jagiellonka była od dawna postacią darzoną wielką sympatią zarówno przez zawodowych historyków szwedzkich, jak i przez szerszy ogół interesujący się historią własnego narodu. Szczególnie jej cnoty małżeńskie budziły w Szwecji powszechny szacunek; fakt, że mogąc wybrać swobodne życie w dobrobycie dzieliła kilka lat ze swym małżonkiem ciężkie więzienie, czynił z niej dla Szwedów postać niemal symboliczną. Owe cnoty Katarzyny zostały w książce Py Sörmann szczególnie uwydatnione, ale ponadto autorka uczyniła z polskiej księżniczki jak gdyby pionierkę wyższej, zachodniej kultury w na poły prymitywnej jeszcze wówczas Szwecji. Opisując młodość Katarzyny, poświęca Py Sörmann sporo miejsca zobrazowaniu złotego wieku kultury polskiej, przeciwstawiając ją ówczesnej kulturze szwedzkiej, i wykazuje przy tym zadziwiającą znajomość historii polskiej. Bardzo często napotyka się w książce ustępy, w których Polska i Polacy są przedstawieni jako kraj cywilizowanego zachodu w porównaniu z pierwotnością życia Skandynawii, a królewski ród Jagiellonów szczególnie odcina się od domu szwedzkich Wazów, zdradzających w tym porównaniu cechy niemal parweniuszowskie.

W miarę krystalizowania się politycznej sytuacji światowej i wzmagania się poczucia bezpieczeństwa w Szwecji nacisk rządowy na prasę stawał się coraz słabszy i zagadnienia przyszłości krajów okupowanych przez Niemcy coraz częściej pojawiały się na łamach prasy szwedzkiej. Co prawda tylko wyjątkowo można było napotkać opisy warunków życia w Polsce pod okupacją, ale problemy polskie nie były już groźnym tabu. W bogatej prasie szwedzkiej dało się dostrzec całą gamę odcieni uczuć wobec Polski i różne nasilenie zainteresowań.

Najśmielej i najgoręcej orędował w sprawie polskiej radykalny tygodnik *Trots Allt* (Mimo wszystko), redagowany przez doskonałego pisarza i publicystę, dawniej komunistę a potem bezpartyjnego, Ture Nermanna; jedno z niewielu zresztą pism szwedzkich, które w czasie wojny uległo kilkakrotnie konfiskacie i zakazowi kolportażu. Często i bardzo życzliwie pisał o sprawach polskich organ kupiectwa w Göteborgu *Göteborgs Handels-och Sjöfartstidning, enfant terrible* prasy szwedzkiej, którego żarliwie proalianckie stanowisko było przyczyną kilku protestacyjnych not poselstwa niemieckiego. Szczycący się najwyższą cyfrą nakładu w Szwecji liberalny dziennik *Dagens Nyheter* zajmował również bardzo przychylne Polsce stanowisko. Spod pióra redaktora politycznego tego dziennika, jednego z najświetniejszych i najbardziej wpływowych publicystów szwedzkich, Johannesa Wickmanna, wyszło kilka artykułów wstępnych poświęconych specjalnie sprawie polskiej, wzbudza-

jących żywą irytację wśród kół emigracji polskiej, ale świadczących o trzeźwym sądzie i wielkim darze przewidywania ze strony autora. Czołowy konserwatywny dziennik sztokholmski *Svenska Dagbladet* poruszał zagadnienia polskie względnie rzadko, ale życzliwie dla nas; niestety po wojnie zajął wybitnie niechętne stanowisko wobec odrodzonej Polski. Natomiast drugi co do wysokości nakładu dziennik sztokholmski *Stockholms Tidningen*, zajmujący podczas wojny wyraźnie proniemieckie stanowisko, nie omijał sposobności do zgryźliwych i krytycznych uwag w sprawach Polski; szczególnie celował na tym polu popołudniowy dziennik *Aftonbladet*, będący pewnego rodzaju odgałęzieniem *Stockholms Tidningen*. Żarliwość, z jaką wysługiwał się *Aftonbladet* interesom niemieckim, zjednała mu nawet w Sztokholmie przezwisko *Abendbladet*.

Dzienniki szwedzkie rozporządzały w Berlinie sztabem doskonałych korespondentów, którzy, jakkolwiek mieli całkiem dobre informacje o sytuacji w Polsce okupowanej, starannie omijali poruszanie tego zagadnienia w swych korespondencjach. Dopiero gdy mimo okazywanej lojalności byli zmuszeni przez Niemców do opuszczenia Trzeciej Rzeszy, po powrocie do Szwecji przedstawiali w formie książkowej o wiele swobodniej swe wrażenia z pobytu w Niemczech i na terenach okupowanych. Szczególnie poczytna była książka Arvida Fredborga „Poza murem stalowym", która również w tłumaczeniu angielskim uzyskała wielkie powodzenie. W kilku ustępach tej książki Fredborg bez ogródek charakteryzował eksterminacyjną politykę Niemców w Polsce. Korespondent *Aftonbladet* Gunnar Müllern w książce poświęconej podróżom po terenach okupowanych przedstawił obraz ghetta w Warszawie, który — jakkolwiek bardzo retuszowany — zrobił na Szwedach wrażenie. Inny szwedzki korespondent zagraniczny, Bertil Svanström, w książce p. t. „W epoce swastyki" poświęcił kilka rozdziałów odwiedzinom w Polsce; szczególnie znamienny jest w tej książce opis polowania urządzonego przez Greisera w Wielkopolsce oraz opis przyjęcia na Wawelu i koncertu na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Svanström nie cofał się już w swych opisach przed użyciem bardzo jaskrawych barw dla odmalowania reżimu niemieckiego w Polsce.

Chłonność rynku czytelniczego w Szwecji stwarzała widoki powodzenia dla autorów obcych (najczęściej przybywających z krajów okupowanych przez państwa osi), którzy publikowali swe książki w tłumaczeniu szwedzkim wprost z rękopisu. Tak np. dwaj Polacy, Tadeusz Nowacki i Stefan Trębicki, wydali pod pseudonimem „Norwid" swą książkę „Landet utan Quisling" (Kraj bez Quislinga). Książka ta przedstawiająca w formie barwnej i sensacyjnej wspomnienia uciekiniera z Generalnego Gubernatorstwa, terror niemiecki i życie w okupowanej Polsce, była jedną z najpoczytniejszych książek w Szwecji w roku 1944.

O wiele bardziej rzeczowy i wszechstronny obraz Generalnego Gubernatorstwa dała książka S. Szendego pt. „Ostatni Żyd z Polski". Autor, radykalny publicysta i ekonomista węgierski, przebywał w Szwecji jako uchodźca

już od lat przedwojennych i po szwedzku opublikował kilka monografii o charakterze popularno-ekonomicznym lub politycznym. Wyżej wymienioną książkę oparł na autentycznych wspomnieniach Żyda polskiego, jednego z niewielu, którzy uszli z życiem przy likwidacji ghetta we Lwowie, któremu udało się przez Norwegię dotrzeć do Szwecji. Wstrząsające opisy łapanek, życia w ghetcie i ukrywania się przed Niemcami są kanwą, na której autor rozwija swoje poglądy na Polskę przedwrześniową i Polskę podziemną, wykazując przy tym dosyć daleko idącą znajomość stosunków polskich. Polityka rządów sanacyjnych zostaje najostrzej napiętnowana, tarcia wewnętrzne między orientacjami panującymi w Polsce okupowanej, szczególnie między sposobami odnoszenia się do problemu żydowskiego, są przedstawione jaskrawo. Nie szczędzi przy tym jednak autor uznania dla przeciwniemieckiej akcji organizacji podziemnych. Problem stosunków polsko-żydowskich zajmuje wiele miejsca; w ostatecznej konkluzji autor przypisuje w równej mierze Polakom i Żydom winę w powstaniu zajątrzonych stosunków.

Dla studiującego historię Polski w okresie międzywojennym mogą przedstawiać pewną wartość wydane w roku 1943 pamiętniki E. af Wirséna. Autor był bezpośrednio przed wybuchem wojny posłem szwedzkim w Rzymie, a uprzednio przez szereg lat reprezentował Szwecję w Berlinie, i w pamiętnikach jego sporo jest porozrzucanych uwag i wspomnień o dyplomatach polskich i ich działalności. W r. 1921 af Wirsén pełnił przez krótki czas obowiązki sekretarza poselstwa szwedzkiego w Warszawie. Z okresu tego nie wyniósł specjalnie pochlebnych dla nas wspomnień. Szczególnie złośliwie rozpisuje się o braku czystości w Warszawie i o blichtrze życia stolicy. Politykom polskim przypisuje mentalność z osiemnastego wieku i zdumiewające nieuctwo, a politykę polską określa jako lekkomyślną. Piłsudskiego porównuje z Don Quichotem i uważa go za typowego reprezentanta szlachty polskiej, której charakterystycznymi cechami mają być — kłótliwość, bezwzględność i skłonność do życia nad stan. Z uznaniem podnosi osiągnięcia Polski na polu gospodarczym, ale stosunek do mniejszości narodowych piętnuje w mocnych słowach.

Z literatury pamiętnikarskiej mogącej nas obchodzić wymienić jeszcze należy wydane już po wojnie wspomnienia M. Ehrenpreisa „Moje życie między wschodem i zachodem" oraz C. Herslowa „Moskwa — Berlin — Warszawa". Pierwszy z wymienionych autorów był nadrabinem w Szwecji i autorem licznych prac naukowych religiologicznych. Pochodził ze wschodniej Małopolski, studia uniwersyteckie kończył we Lwowie; w swych wspomnieniach poświęca szereg stronic tym czasom. Herslow był konsulem szwedzkim w Warszawie, brał żywy udział w ruchu podziemnym w Polsce, pełniąc funkcję kuriera między Warszawą i Sztokholmem. Aresztowany przez Niemców w roku 1943 siedział półtora roku w więzieniu niemieckim.

Jakkolwiek ten przegląd poloników w Szwecji zajmuje się głównie produkcją literacką o charakterze beletrystycznym, to jednak trudno zupełnie pominąć prace ściśle naukowe, traktujące o zagadnienach polskich. Przede wszystkim kilka zeszytów wydawnictwa *Svio-Polonica*, będącego organem towarzystwa nauko-

wego polsko-szwedzkiego. W *Svio-Polonica*, redagowanych przez lektora Fo'ejewskiego w Sztokholmie, szereg badaczy szwedzkich, zarówno starszych renomowanych uczonych jak i młodszych, pomieścił niemało przyczynków, dotyczących głównie zagadnień historycznych. Wydawnictwo to zasługiwałoby na specjalne omówienie, wykraczające poza ramy niniejszego artykułu. Ponadto interesująca jest pięknie ilustrowana książeczka dra S t e n e b e r g a pt. „Polonica", zawierająca opis szeregu zabytków polskich, znajdujących się w królewskiej zbrojowni w Sztokholmie. Wreszcie zupełnie odrębne stanowisko zajmuje praca doktorska obecnego profesora języków słowiańskich w Lund, dra K. F a l k a, pt. „Wody Wigierskie i Huciańskie". Dwa pokaźne tomy tej pracy wydanej po polsku w Upsali w r. 1941 zawierają nader gruntowne badania lingwistyczne nad pochodzeniem nazw miejscowych na Suwalszczyźnie. Zdaniem specjalistów praca ta ma być szczególnie ważnym dorobkiem d'a toponomastyki i unikatem w studiach slawistycznych nie tylko w Szwecji, ale w świecie naukowym w ogóle.

Przypuszczalnie bibliografie innych narodów wykazują znacznie więcej pozycji wiążących się z zagadnieniami polskimi. Ale jeżeli weźmiemy pod uwagę, jak małym krajem i narodem jest Szwecja, to wówczas lista poloników szwedzkich musi zrobić na nas większe wrażenie. Nie chodzi tu zresztą o ilość, lecz o jakość, i być może, że pod tym względem Szwedzi piszący na tematy polskie przewyższają znacznie analogiczną produkcję literacką w innych krajach. Ujawniają oni nie tylko zainteresowanie Polską i sympatię dla nas, ale również uderzającą znajomość problemów polskich. Podejście ich do tych zagadnień jest o wiele bardziej poważne, aniżeli w innych piśmiennictwach. Polska jest dla nich nie tylko aktualnym i mniej lub bardziej egzotycznym tematem, ale i zagadnieniem wymagającym zgłębienia zarówno umysłem jak i sercem. Zresztą ostatnie lata najlepiej wykazały, że Polska nie jest dla Szwedów tylko pustym pojęciem.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

JOHN STEINBECK — PISARZ ANTYAMERYKAŃSKI

John Steinbeck jest tym pisarzem amerykańskim, który rozgłosu w Europie nie zawdzięcza technice swoich powieści. Jeśliby powieść amerykańską sprowadzić do zagadnienia formalnego, to autor „Gron gniewu" pozostałby daleko poza zasięgem zainteresowania. Tym się też tłumaczy fakt, że do Francji, gdzie powieść amerykańska uważana bywa przede wszystkim za książkę kucharską, w której można znaleźć przepisy na nowe wyszukane potrawy, Steinbeck dotarł stosunkowo późno. A przecież już w 1935 roku „Tortilla Flat" podbiła amerykańską publiczność, a w 1937 roku „Myszy i ludzie" podniosły ich autora do wysokiej rangi pisarskiej.

W karierze Steinbecka Europa niewielką odegrała rolę. Żadna kawiarnia paryska nie uczyniła zeń bożyszcza, a Maurice Coindreau, który na miejscu, w Ameryce, poddaje literaturę Nowego Świata próbie francuskiego smaku, w swoich sądach o Steinbecku jest bardzo powściągliwy.

Wystarczy natomiast zacytować opinię André Gide'a, który nowele Steinbecka ceni „równie wysoko, a nawet wyżej niż opowiadania Czechowa", aby określić miejsce, jakiego się temu Amerykaninowi w Europie nie odmawia. Twórczość Steinbecka nie wyłamuje się z norm tradycji europejskiej prozy. Nie jest ona zaczynem nowego gatunku i dlatego entuzjazmu żadnej awangardy nie budzi.

Chociaż „Pastwiska niebieskie" (1932), „Tortilla Flat" (1935) „Cannery Row" (1945) odbiegają od typowej konstrukcji powieściowej (są to raczej zbiory opowieści), a „Myszy i ludzie" zbudowane są na dialogu, to jednak w pierwszym wypadku dostrzega się niezręczność, a w drugim — szczęśliwy zbieg okoliczności.

Omawiając twórczość Steinbecka wyłącznie z punktu widzenia jej formy, trudno dojść do przeciwnych wniosków. Lecz Steinbeck to przede wszystkim pisarz-żywioł. Elementy żywiołu znajdują się w walce i zaprzeczają sobie. Ażeby tego pisarza dostatecznie określić, trzeba pojęcia, które mają się złożyć na określenie, z różnych pięter pościągać. Sentymentalizm a tuż obok panteizm, pesymizm i humor, optymizm i brutalność, liryzm i realizm.... Chociaż tak

o każdym pisarzu można się wyrazić, to jednak zaryzykuję banalną uwagę, że trudno autora powieści „Nieznanemu Bogu" oraz autora „Myszy i ludzi" przedstawić jako jednego pisarza. Cóż, powie ktoś, między napisaniem jednej a drugiej książki kilka lat upłynęło, dostatecznie wiele czasu na przenicowanie skóry. Ale „Cannery Row" (1945) jest znowu powrotem na stanowisko przed dziesięciu laty napisanej „Tortilla Flat". Czyżby Steinbeckiem rządziły stale prawa ewolucji i reewolucji?

Czyż wśród czytelników „Wielkiej Doliny" znalazł się taki, którego nie zdumiała ostatnia nowela tego zbioru? Po „Chryzantemach", „Białej przepiórce", „Czerwonym kucu", gdzie Steinbeck bardzo poważnie doświadcza swoich bohaterów po to, aby zdobyli strzęp wiedzy o świecie, zjawia się cięta, ostra i całkowicie, bezinteresownie sarkastyczna nowela pod tytułem „Święta Katarzyna Dziewica". Biograf powie, że prababki irlandzkie zagłuszyły wpływ niemieckich pradziadków. Lecz czymże jest humor irlandzki, czymże jest rabelaisowska sprośność wobec tej historii o świni, która z okrutnej maciory pożerającej swój pomiot nawróciła się na łagodną grzesznicę, dobrą bigotkę, aby zostać wreszcie świętą — Dziewicą cudami słynącą.

Trudno inaczej widzieć tego pisarza: jest kilku Steinbecków, kilku autorów, i jedynie należy się zastanowić, który z nich ponad innych się wybija.

Oczywiście bywa, że ci wszyscy się spotykają, pogodzeni, świadczący sobie nawzajem, usłużni. Tak stało się właśnie w „Gronach gniewu". Lecz byłoby niezrozumieniem tego pisarza, gdybyśmy całą jego twórczość sprowadzali do tej epopei i inne jego książki uważali za próbki talentu, ćwiczącego się w stu możliwościach.

Jeśli — zamierzając omówić współczesnych pisarzy amerykańskich — od Steinbecka zaczynam, to mam ku temu powody. Już ten chociażby, że nie potrzebuję mocować się z zagadnieniem techniki powieściowej i tym samym mogę spodziewać się, że nie odstręczę ludzi dobrej woli suchym formalizmem. Jest i drugi powód. Ameryka Steinbecka jest nam, ludziom Europy, bliższa od Ameryki Faulknera czy Dos Passosa. Jest uproszczona. Sprowadza się do zasadniczych konfliktów, do zasadniczych namiętności. Steinbeck pokazuje wszystkie końce Nowego Świata. Ten pisarz podobnie antyamerykański jak Faulkner, Caldwell czy Wright nie ogranicza się do negacji amerykańskiej teraźniejszości. Ukazuje to, co trzeba nazwać Przed-, jak również Po-Ameryką. Twórczość jego jest rewizjonistyczna, rewolucyjna i konstruktywna zarazem.

Autor „Tortilla Flat" i „Cannery Row" to apolog Ameryki minionej. Szuka jej śladów w życiu *paisanos*, tubylczych nędzarzy Kalifornii, wśród tych, którzy „pozbawieni zmysłu handlowego żyją na uboczu od skomplikowanego systemu spraw amerykańskich". Autor „Myszy i ludzi" i „Wielkiej Doliny" — to oskarżyciel amerykańskiej cywilizacji, przyczyny tragicznych powikłań ludzkich. Autor zaś „W niepewnej walce" i „Gron gniewu" — to ten Steinbeck, który wierzy w skuteczność zmagań się o nowy, lepszy świat. To ten, który wizją przyszłej Ameryki natchnie Casy'ego, aby zginął pod pałkami łamistrajków.

„W sercu ludzi grona gniewu wzbierają i dojrzewają, zapowiadając przyszłe winobrania", powie o swoich uczuciach wobec tej Ameryki, w której sam żyje, wobec tego świata amerykańskiego, który jest.

Zaprzeczenie słuszności świata, który jest, prowadzi w konsekwencjach do walki o lepszy. Z walki wynikają albo klęski albo zwycięstwa. Częściej klęski, to prawda. U ludzi Steinbecka w zmaganiu się o realizację „niemożliwych" pragnień nikną iluzje, mętnieją źródła wiary. Ludzie ci giną, lecz jednak nie łamią się. Dojrzewają do mocy. Rosną, olbrzymieją. Jeśli spojrzymy dokoła — w literaturze współczesnej dzieje się inaczej. Mocni tracą siły, a słabi marnieją. Świat maleje do niedużego krajobrazu, którego widnokrąg coraz bardziej kurczy się, ściska serce, że tchu złapać nie można — i pozostaje już tylko przeczucie nieodwołalnej śmierci. Ludzie Steinbecka natomiast umieją nie poddawać się. To nie są naiwni mocni ludzie z książek dla młodzieży, a mimo to podnoszą się z klęsk.

Wkład Steinbecka do współczesnej kultury wydaje mi się większy, wartościowszy, niż wkład innych, bardziej oryginalnych, bardziej doskonałych formalnie Amerykanów. Jest z czego czerpać pomoc do przeżywania spraw ludzkich, gdziekolwiek powstają, także w Europie. I to właśnie wydaje mi się dostatecznym powodem, dla którego Steinbeck winien być w Polsce lepiej poznany nawet przed Faulknerem, który nie jest przecież małym pisarzem.

STEINBECK — PISARZ REGIONALNY

Nie dlatego, oczywiście, trzeba mówić o regionalizmie Steinbecka, że cała jego twórczość korzeniami swoimi tkwi mocno w glebie Kalifornii. Akcja wszystkich powieści (prócz „Złotej czary") i opowieści tego pisarza dzieje się lub zmierza — mówiąc tytułem jego zbioru opowiadań — do „Wielkiej Doliny". To proste. Kalifornia jest ojczyzną jego dzieciństwa. Jest także domem jego wieku męskiego.

Steinbeck urodził się w roku 1900 w Salinas, małym kalifornijskim miasteczku, gdzie jego ojciec był płatnikiem. Salinas, Monterey i okoliczne wsie-przedmieścia, jak Tortilla Flat, jak Cannery Row — występują w wielu jego utworach. Corral de Tierra, dolina ciągnąca się między Salinas i Monterey, to jest owo „pastwisko niebieskie" z powieści pod tym tytułem.

Steinbeck umie na pamięć glebę, sady owocowe, zachody słońca i Góry Olbrzymie rysujące się na horyzoncie wielkiej doliny. Zna ludzi, bo razem z nimi żył. Nie miał życia łatwego. W latach chłopięcych pracował jako robotnik w fermach-ranczach, które potem opisał ze wszystkimi szczegółami. Nabyte pod otwartym niebem młodości zamiłowanie do swobody nie pozwoliło mu ukończyć uniwersytetu w Stanford. Porzuca Kalifornię. Nęci go Nowy York, potem Panama. Uprawia tam różne zawody. Jest murarzem, malarzem pokojowym, gryzipiórkiem i reporterem gazety. Z Panamy wraca do Kalifornii. Nad jeziorem Tahoe w Sierra Nevada powierzono mu pieczę nad domem. W samotni tej powstaje pierwsza jego drukowana książka („Złota

czara", 1929). Potem pracuje w pobliskiej hodowli pstrągów, jakiś czas mieszka w kolonii artystycznej w Carmel nad Pacyfikiem, aż wreszcie osiedla się w Los Gatos w pobliżu San Francisco.

Ażeby wyczerpać powierzchowne dane biograficzne, dodajmy, że ten najbardziej społeczny pisarz amerykański jest samotnikiem. Nie znosi ani wielkich miast, ani literackiej socjety. Ucieka przed zewnętrznymi skutkami sławy, przed popularnością. Istnieje wiele anegdot na temat jego mizantropii. Po sukcesie, jaki odniosła „Tortilla Flat", uciekł przed entuzjazmem publiczności do Meksyku. Meksyk stał się drugim po Kalifornii przychylnym mu miejscem pobytu. W twórczości jego jednak meksykański krajobraz nie jest widoczny. Steinbeck oddaje na miejscu wszystko, co stamtąd czerpie. Jest on bowiem naczelnym scenarzystą meksykańskiej produkcji filmowej. Nagrodzony w roku bieżącym na festiwalu weneckim film meksykański „Perła" jest także oparty na scenariuszu Steinbecka.

Nie zamierzam doszukiwać się w całej twórczości Steinbecka ziemi jego dzieciństwa. Z takim tematem można się zbliżyć do każdego pisarza. Oczywiście Kalifornia Steinbecka występuje w utworach tego pisarza bardziej bezpośrednio niż np. Kieleckie w książkach Żeromskiego. Lecz to nie jest jeszcze dostatecznym dowodem na jego regionalizm. Cała bowiem współczesna literatura amerykańska jest literaturą regionalną. U Faulknera Missisipi, u Caldwella Georgia mają to samo znaczenie co steinbeckowska Kalifornia. Zmieniając w bibliotece jednego pisarza na drugiego zmieniamy krajobrazy, ludzi i sposoby myślenia, a nie tylko style i poglądy na świat autorów. To zróżnicowanie jest jedną z podstaw bogactwa współczesnej literatury amerykańskiej. Zagadnienie regionalizmu ma w tej literaturze szerszy zakres niż w literaturach innych. Określenie „pisarz regionalny" nie oznacza bynajmniej, że pisarz ten nie jest ogólno-amerykański.

Pisząc o Steinbecku jako pisarzu regionalnym nie zamierzam wyczerpać zagadnienia tak, jakby to było możliwe. Wprost przeciwnie, zwężę je do granic najciaśniejszych. Skończę je w tym miejscu, gdzie rozpoczynają się sprawy wychodzące poza region, sprawy powszechne. U Steinbecka trudniej będzie dokonać cięć niż u kogokolwiek innego. Trudno będzie oddzielić tło od spraw wychodzących swoim znaczeniem poza nie. Rozgraniczenie takie, sporne często, jest konieczne. Już w „Pastwiskach niebieskich" waga problemu rozszerza krajobraz doliny Salinas. Jednak „Tortilla Flat" i „Cannery Row" w ramach regionalizmu się mieszczą. Będzie tu regionalizm przestrzenny i czasowy zarazem. W powieściach tych bowiem Steinbeck żyje poza czasem ogólnie obowiązującym. Mówiąc o tych utworach będę mówił o Steinbecku — pisarzu regionalnym.

Jak wspomniałem wyżej, Steinbeck pozostaje w opozycji do amerykańskiej teraźniejszości. Ten robotnik wiejski spod Salinas ze swoim idealizmem życiowym, z potrzebą dotykania żywej ziemi, nie mieści się w amerykańskiej cywilizacji. Usiłuje zbudować obraz innej przyszłości. Chroni się także w przeszłość. Pragnie odgrzebać spod asfaltu, wydłubać spod bruku, odszukać znajdującą

się gdzieś głęboko pod systemem ekonomicznym kapitalizmu Amerykę inną, dawną, przychylniejszą człowiekowi.

Jest to zresztą powszechny pęd amerykańskiej literatury. Rozwój powieści historycznej jest tego objawem. Wojna wyzwoleńcza, a jeszcze bardziej wojna Północy z Południem, to nie jest tylko temat powieści w rodzaju „Przeminęło z wiatrem". Tematykę tę znajdujemy również w twórczości wielkich pisarzy. Twórczość Faulknera może być także rozpatrywana z tego miejsca. U Faulknera nie ma ucieczki w stronę minionego, występuje natomiast koncepcja współistnienia kilku Ameryk nie pogodzonych ze sobą, kilku czasów i sposobów przemijania. Pisarz ten przedstawia nieustabilizowanie kulturalne i moralne Południa. Pierwsza kolonizacja poindyjska splata się z drugą kolonizacją yankesów, tworząc trzęsawisko, na którym powstała ojczyzna rasizmu i kidnaperstwa. Nad teraźniejszością spraw ludzkich ciąży fatalistyczny, faulknerowski czas przeszły. Steinbeck sięga do przeszłości, aby uwyraźnić teraźniejszą zawiłość. Wokół siebie szuka dawnych Ameryk po to, aby głosić ich piękno, świeżość i czystość. Jest współczesnym amerykańskim Janem Jakubem, który oskarża cywilizację mechanistyczną o zniszczenie człowieka.

Bohaterami jego są *paisanos,* których we wstępie do „Tortilla Flat" tak przedstawia: „To produkt mieszaniny krwi hiszpańskiej, indyjskiej, meksykańskiej... Przodkowie *paisanos* mogli żyć w Kalifornii przed 100 albo 200 laty. *Paisano* po angielsku mówi z akcentem *paisano,* a po hiszpańsku — z akcentem *paisano.* Zapytany o rasę uważa się za czystej krwi Hiszpana i zakasuje rękawy, ażeby pokazać niemal doskonałą biel delikatnej skóry pod pachami. Cerę, która przypomina starannie wypaloną fajkę, przypisuje nasłonecznieniu".

Paisano nie należy do amerykańskiej społeczności. Nie przyjął kultury, nie zna amerykańskiej cywilizacji. Żyje jak się da, własną nieumiejętnością przystosowania się wypędzony z ziemi, która do niego należała. Jest pastuchem, fornalem, tragarzem, miejską hołotą i wzorowym włóczęgą. Społeczeństwo kalifornijskie gardzi nim tak samo, jak tymi nędzarzami *okies,* którzy w „Gronach gniewu" przywędrowali z Oklohamy w poszukiwaniu zarobku przy zbiorze owoców i sprzątaniu bawełny.

Dla Steinbecka natomiast *paisano* to żywy jeszcze ślad wielkich czasów, wielkiej przygody i wielkiej wolności. *Paisano* ukazany w świetle zachodzącego słońca na tle Gór Olbrzymich wydaje się rycerzem, który zginie w walce ze smokiem-robotem.

Steinbeck patrzy na *paisano* oczami dziesięcioletniego Jody'ego („Czerwony kuc"). Stary Gitano schodzi z gór, aby umrzeć w dolinie, gdzie żył jego ojciec. Jest jeszcze ziemia, lecz kto inny na niej gospodarzy. Nikt nie chce starego żywić. „Ja chcę pozostać tu do śmierci" — nie błagalne, lecz dumne słowa wydziedziczonego rozpalają wyobraźnię przysłuchującego się malca. Wielkie góry, do których starzec wróci, zabierając z rancza żyjącą na łaskawym sianie, jak on niepotrzebną starą szkapę, zawsze już będą wywoływać go z Ameryki.

„Tortilla Flat" jest właśnie opowieścią o *paisanos.* Steinbeck roztoczył w niej

uroki języka, wyobraźni, dowcipu, i z życia nicponiów, nierobów, włóczęgów i złodziei uczynił nie tylko piękny, lecz także pogodny obrazek.

Danny wróciwszy z wojny dziedziczy po zmarłym w międzyczasie dziadku dwa domy w Tortilla Flat. Wprost z aresztu przeprowadził się nie pod gołe niebo, jak zazwyczaj, lecz pod własny dach nad głową. Zjawili się również przyjaciele. Najpierw jeden, potem drugi, trzeci, czwarty, aż ze starym Piratem pięciu ich było. Pięciu chłopa i pięć psów Pirata żyło z kradzieży, oszustwa, żebractwa, krótko mówiąc — własnym sprytem. Pijaństwom i „bradiażeniu się" nie było końca. Aż wreszcie Danny znudził się tym pod własnym dachem, „mieszczańskim" życiem. Wrócił do pijatyki pod otwartym niebem, do noclegów po rowach i w areszcie. W swojej nienawiści do „mieszczaństwa" posunął się tak daleko, że przyjaciół z kradzionego dobytku okradał. Śmierć Danny'ego po najwspanialszej pijatyce, jaką Tortilla Flat widziała, położyła kres tej „romantyczności". Przyjaciele dom spalili, aby czyjeś małe szczęście rodzinne nie skalało świątyni nadzwyczajnych przygód.

W ramach tej opowieści talent Steinbecka zabłysnął bardzo pięknym blaskiem. Nie darmo „Tortilla Flat" była jego pierwszym *best seller*em. Od pogody i humoru aż się w głowie kręci. Lecz w tym wszystkim jedno przeważa: wszędzie obecne uczucie przyjaźni. Tam przyjaźń umiera dopiero ze śmiercią człowieka.

W „Tortilla Flat", podobnie jak w 10 lat później napisanej powieści „Cannery Row", pragnie Steinbeck dowieść, że ludzie znajdujący się na marginesie społecznym są zdolni do najczystszych uczuć i do najbardziej bezinteresownego życia. Stary Pirat, który po 25 centów dziennie składa na złoty lichtarz dla świętego Franciszka, swoim zaufaniem rozbraja przyjaciół Danny'ego ze skłonności środowiska. Sprowadzili go na wspólne mieszkanie, aby wyśledzić i ukraść mu skarb. Będą jednak jego najpewniejszymi stróżami.

Humor swój czerpie Steinbeck z życzliwego z zewnątrz patrzenia na świat. Jest to śmiech niezatruty jeszcze sarkazmem — potrzebą obrony. To śmiech człowieka niezaangażowanego w walkę. Oto do łez śmieszne starania Danny'ego o serce Sweets Ramirez. Gdy zapragnął prezentem podziękować jej za względy, nie znalazł w sklepie nic bardziej odpowiedniego niż okazyjny odkurzacz elektryczny. Sweets urosła o dziesięć pięter w hierarchii społecznej w Tortilla Flat. Mówiło się o niej „dama z odkurzaczem". Określenie to było równie uroczyste, jak „dama z łasicą" albo „dziewczyna z perłą". „Nosiła głowę wysoko, jak przystoi temu, kto posiada odkurzacz elektryczny". „Każdego dnia, skończywszy porządki, jeździła odkurzaczem po całym domu; oczywiście lepiej byłoby z prądem elektrycznym, ale posiadła już tę mądrość, że wiedziała, iż nie wszystko można mieć".

Steinbeck idzie daleko w swojej przychylności dla wydziedziczonych. Złe uczynki, które popełniają, mógłby, gdyby chciał je usprawiedliwiać, wytłumaczyć warunkami społeczno-ekonomicznymi. Tak postąpi w „Gronach gniewu". W „Tortilla Flat" nie ma grzechów, które wymagałyby rozgrzeszenia — każdy

uczynek jest słuszny. Steinbeck nie narzuca swoim bohaterom obcego im środowiska.

Pilon ściągnie śpiącemu na plaży Big Joemu portki p o t o, aby mieć za co ugasić pragnienie w szynku. Uczyni to jednak d l a t e g o, że chce Big Joego ukarać za kradzież kołdry Danny'ego. Po wypiciu kwaterki Pilon, korzystając z nieuwagi szynkarki, skradnie „założone" dopiero co spodnie Joego p o t o, aby je odnieść śpiącemu. Uczyni to jednak d l a t e g o, że chce ukarać szynkarkę za lichwę. Wdzięcznemu za odnalezienie zguby Big Joemu odpowie sentencją: „Jedyne rzeczy, które posiadają znaczenie, to lekcje udzielane nam przez życie".

Regionalizm Steinbecka sąsiaduje z romantyzmem. Tę drugą cechę zauważono zresztą przede wszystkim. W humorze steinbeckowskim znaleziono wiele elementów i wiele różnych śmiechów. Zestawienie z Don Kichotem i z Kubusiem Fatalistą narzucało się samo. Na własne usprawiedliwienie wytoczono Steinbeckowi zarzut sentymentalizmu. Ameryka nie chciała zgodzić się na prawdę wyrażoną w „Tortilla Flat". Nie chciano widzieć ani nędzarzy, ani przyznawać się do tęsknoty anty-amerykańskiej. „Tortilla Flat" wzruszała rzekomym nieprawdopodobieństwem. Aż Steinbeck się oburzył. W przedmowie do popularnego wydania swojego *best-seller*u wyraził się gwałtownie: „Napisałem te opowieści dlatego, że są to historie prawdziwe i dlatego, że je lubiłem. Lecz swołocz literacka oceniła moich bohaterów z głupotą hrabianek, które to bawią się chłopem, to żałują go. Opowieści te są opublikowane i nie mam na to rady. Lecz już nigdy nie poniżę przez zbliżenie do ludzi porządnych tych dzielnych istot, składających się ze śmiechu i dobroci, z uczciwego erotyzmu i śmiałego spojrzenia, z kurtuazji przewyższającej wszystkie grzeczności". Steinbeck bardzo poważnie traktował swoje powołanie pisarza regionalnego.

Ani niezrozumienie publiczności, ani dane „słowo honoru", ani pisarskie zaagażowanie się Steinbecka w walkę o naprawę Ameryki nie zdołało odwrócić jego uwagi od kalifornijskiego regionu i od prostych ludzi Monterey. Nie zachwiała się również jego romantyczna wiara w wyższość człowieka nietkniętego amerykańską cywilizacją.

Po dziesięciu latach w „Cannery Row" Steinbeck znów powraca do przedmieścia w Monterey. Zaludnia się ono znów nicponiami, dziewczętami publicznymi i urwipołciami. I podobnie jak mieszkańcy Tortilla Flat — tak i ci są przede wszystkim zdolni do szlachetności. Są szczęśliwi w sposób prosty, zgodnie ze steinbeckowską „sentymentalną" zasadą, że nie może być nieszczęśliwy ten, kto ma czyste serce. Prostytutka czuwa przy łożu chorego. Urwipołcie szukający okazji do łobuzerki kochają Doca biologa i od niego uczą się świata. Jest Lee Chong, Chińczyk-sklepikarz, jest Mack, wódz bandy, i Dora, nędzarka-filantropka. Lecz przede wszystkim jest Steinbeck. Ten sam, na pół sentymentalny, na pół brutalny autor „Tortilla Flat". Pod jego piórem w małej kalifornijskiej osadzie kłębi się od życia. Jedno steinbeckowskie zdanie określi tę osadę, złożoność jej spraw, wnikliwiej niż analiza. „Cannery

Row to poemat, rynsztok, szczęk żelastwa, barwa światła, dźwięku, sposób życia, nostalgia, sen".

„Cannery Row" to nie tylko obraz spraw regionalnego miasteczka. To także autentyczna sprawa wyobraźni. Wszystko w niej jest precyzyjne. Precyzja jest w opisie krajobrazu, w analizie ludzkiego serca i w lirycznej wizji. Czy przed zarzutem prostackiego sentymentalizmu nie obroni Steinbecka trudna prostota środków, realizm, z jakim przedstawia ujrzany przez Doca obraz topielicy? „To, co zobaczył, przygwoździło go: patrzyła nań twarz młodej dziewczyny, twarz dziewczyny ładnej, bladej i czarnowłosej. Jej jasne oczy były otwarte, a włosy łagodnie falowały wokół głowy. Ciało było niewidoczne, ukryte w szczelinie skalnej. W lekko uchylonych ustach widać było zęby. Twarz wyrażała ukojenie i spokój. Była tuż pod powierzchnią wody, której przezroczystości zawdzięczała swoje doskonałe piękno. Doc wpatrywał się w nią długie minuty, aż twarz wpisała się rysami z ognia w pamięci jego oczu".

Z regionalnych powieści Steinbecka tylko krok — dokąd? Wszędzie. Bo i do liryzmu powieści „Nieznanemu Bogu", i do realizmu „Wielkiej Doliny", jak również do epopei „Gron Gniewu". Już w tych powieściach regionalnych zapowiedziała się złożoność Steinbecka. Humor „Tortilla Flat" wybuchnął w sarkazmie „Świętej Katarzyny Dziewicy". Liryzm książki „Nieznanemu Bogu" rozlega się w opisach przestrzeni „Gron gniewu". W „Pastwiskach niebieskich", najwcześniejszej z omawianych dotychczas powieści, zapowiedziała się „Wielka Dolina". Oczywiście „Pastwiska niebieskie" znajdują się także w Kalifornii. Lecz sprawy tam przedstawione — nie przestając być sprawami tamtymi — dotyczą losu człowieka w ogóle. W życiu konkretnych mieszkańców Corral de Tierra ujawnia się człowiek, mieszkaniec ziemi. Człowiek, istota tragiczna. O sprawach tego człowieka pisze już inny Steinbeck.

STEINBECK — PISARZ OPTYMISTYCZNY

Przyjęcie, jakiego doznała powieść „Tortilla Flat", nie zadowoliło jej autora. Steinbeck w cytowanej wyżej przedmowie bronił prawdziwości swoich bohaterów. Lecz bardziej jeszcze niż przypisane kwalifikacje romantyczne zabolało go niedostrzeżenie przez krytykę alegorii tej powieści. „Spodziewałem się — pisze do wydawcy — że plan cyklu arturowego zostanie dostrzeżony: zjawienie się Artura, sens mistyczny własności domu, ustanowienie okrągłego stołu, przygody rycerzy..." Monroe K. Spears cytujący to zdanie opatruje je komentarzem: „Steinbeck jest najoczywiściej artystą bardzo świadomym i bardzo dalekim od naiwnego prymitywu, za jakiego uważa go większość krytyków". Steinbeck złożył wiele dowodów świadomości artystycznej. Alegoryczny zamiar jest jednak w „Tortilla Flat" zbyt zarysowany innymi pełniejszymi realizacjami, aby był tak bardzo oczywisty. Romantyczne przygody Danny'ego i „rycerzy" składają się przede wszystkim z postępków bezinteresownych i na tym polega ich prawda artystyczna. Jednak w liście do wydawcy Steinbeck odsłonił bodaj czy nie najistotniejszy sens swojej

sztuki. Sens mityczny. W większości jego utworów sens ten dostrzegalny jest gołym okiem.

Ten sam motyw przewija się w wielu powieściach i nowelach autora „Tortilla Flat". — Człowiek przeciwstawiający się światu. Człowiek zmierzający do ułożenia go według swoich pragnień. Naprzeciw bezkompromisowej woli ludzkiej wychodzi nieżyczliwy los. Konflikt odbywa się w kategoriach ostatecznych. Dobro i zło, siła i niemoc. Idealizm ludzki rozbija się o bezwzględny mur nieserdecznego świata. Robert Burns w poemacie, z którego Steinbeck zaczerpnął tytuł swojej najtragiczniejszej powieści, wypowiedział drogą autorowi „Myszy i ludzi" sentencję: „Najlepiej ułożone plany myszy i ludzi często się nie urzeczywistniają".

Optymizmowi amerykańskiej maszyny przeciwstawił Steinbeck tragedię człowieka, którego ciało podlega prawu ziemskiego ciążenia, w którym bije serce nienasycone. Twórczość jego wyraża brak zaufania do mechanistycznej cywilizacji, do amerykańskiego pojęcia szczęśliwości. Antyamerykanizm leży u podstaw steinbeckowskiej mitologii.

Już w „Złotej czarze", swojej pierwszej drukowanej powieści (1929), powiada, że do osiągnięcia szczęścia nie wystarczą środki mechaniczne. „Złota czara" jest jedyną historyczną powieścią Steinbecka. Jest to uromantyczniona historia Henryka Morgana, szkockiego pirata, który wyruszył w XVII wieku na podbój Panamy („Złota czara" to ówczesna nazwa Panamy). Dzieciństwo Morgana wypełnione marzeniami o niemożliwych przygodach — to zapewne transpozycja idealizmu męskiego wieku Steinbecka. Morgan zaciąga się w służbę na statek, którego kapitan uprawia handel niewolnikami. Zostaje sprzedany. Wyzwala się i na czele awanturników wyrusza na podbój. Wyrywa Panamę Hiszpanom, zdobywa złoto i kadzidło. Zdawało się, że posiadł wszystko. Lecz najistotniejsze jego pragnienie nie zostało spełnione. Marzył o Santa Roi, pięknej, nieznanej dziewczynie. Walczył nie o złoto Panamy, nie o sławę jej zdobywcy, ale o miłość, którą miał tam znaleźć.

Już w pierwszej książce Steinbecka marzenie rozbiło się o rzeczywistość. Pragnienie okazało się niepotrzebne i śmieszne. Santa Roja jest taką samą dziewczyną jak każda inna. Niepowodzenie Morgana — to stare już niepowodzenie kochanka Dulcinei. — W następnych książkach Steinbeck nie będzie już zapożyczał elementów mitycznych.

Autor „Pastwisk niebieskie" (1932) pesymizm swój czerpie z dokoła dziejącego się życia. Z ziemi „przeklętej", która oporna jest ludzkim rękom. Z losów znanych mu ludzi, którzy przegrywają jedną sprawę życia po drugiej.

Bert Munroe próbuje ostatniej szansy na fermie „przeklętej". Nie powiodło mu się w innych zawodach, lecz wierzy, że tym razem powieść się musi. Pracuje — i pech zdaje się ustępować. „Gdy przybyłem tutaj — mówi — wyobrażałem sobie, że ciąży na mnie przekleństwo. Może przekleństwo moje i przekleństwo tej fermy wzięły się za bary i pozabijały się nawzajem". — „Może twoje przekleństwo i przekleństwo fermy — odpowiada Allen — pożeniły się. Może będą miały dzieci". Istotnie, nieszczęście zwa-

ziło się. Los ludzi współczesnych jest niemniej bezwzględny niż los starożytnych.

W tej samej książce („Pastwiska niebieskie" są zbiorem opowieści związanych miejscem akcji) Steinbeck przedstawia klęskę człowieka, który pragnienie szczęścia odizolował od świata. Czytając myślimy: temu powinno się powieść.

Edwardowi Wicksowi największą satysfakcję sprawiało wyobrażenie sąsiadów o jego bogactwie. Budowanie tego wyobrażenia stało się jego życiowym celem. Żyjąc biednie jak każdy z nich, zebrał pokaźny majątek. Był to najlepszy, najmniej podległy ludzkiej chciwości i giełdowym skokom, gdyż u r o j o n y majątek. Wicks zarządzał nim bardzo roztropnie. Prowadził księgi rachunkowe, kupował i sprzedawał na papierze fermy i akcje. Coraz to zwracał się do sąsiadów o radę. Ot, zakłada się właśnie spółka naftowa. — „Rozważyłem to dobrze w głowie. To wygląda na dobry dla mnie interes. Mam w odwodzie przeszło 10.000 dolarów, które nie przynoszą tego, co powinny. Zastanawiam się, czy nie powinienem z bliska przyjrzeć się sprawie".

Oni radzili tak czy inaczej, a on i tak własnym węchem decydował. Skreślał odpowiednią pozycję w jednej książce, aby wpisać ją do drugiej. W gazetach śledził kurs posiadanych akcji, a w wypadku krachu giełdowego antydatował „sprzedaż" zagrożonych papierów. W ten sposób nigdy nie tracił i w opinii sąsiadów oraz własnej miał już pokaźną kwotę 50 000 dolarów.

Cóż mogło grozić jego szczęściu? Mógł gwizdać na skomplikowane stosunki ekonomiczne Ameryki. Steinbeck nie ominął okazji, aby ukazać względną dla ludzkiego szczęścia wartość banków i innych podstawowych instytucji amerykańskiej cywilizacji. Za lat dziesięć, piętnaście, no, dwadzieścia — Wicks byłby bogatszy od Henryka Forda. Bogactwo jego będzie jeszcze bardziej niewzruszone. Lecz diabła tam! Świat wdarł się do życia Wicksa tak samo brutalnie, jak do każdego innego życia. Popadłszy w konflikt z prawem i zmuszony do składania kaucji odpowiednio wysokiej do posiadanego majątku, Wicks stanął w obliczu ruiny. Wszystko, co posiadał, stanowiło znikomą część żądanej sumy 10 000 dolarów.

U Steinbecka nieszczęścia są na ogół bardziej skłonne — jak mówił Allen — do żeniaczki i robienia dzieci, niż do wzajemnego zabijania się. Lecz ten, zdawałoby się skrajny i ostateczny, pesymizm nie przytłacza. Mimo bowiem tragicznych rozwiązań nie klęski, a zmagania się z losem zwracają uwagę. Bert Munroe niejeden raz doznał niepowodzeń, nim przybył do przeklętej fermy. Wicks, który ostatecznie w opinii sąsiadów wzbudził nie podziw, lecz litość, Wicks pozbawiony owocu iluzji wielu lat życia, podnosi się jednak: „Wyjadę wkrótce. Wyjadę, jak tylko będę mógł sprzedać gospodarstwo. Odniosę jeszcze kilka zwycięstw. Powiedzie mi się z pewnością. Jeszcze pokażę ludziom, kim jestem".

Swój pesymizm Steinbeck ustawicznie poddaje próbom życia i świata. Czymże jest bowiem ta skłonność bohaterów do wybierania najtrudniejszych spraw do przeżywania? Tak jakby oni sami wierzyli, że człowiek może za-

żegnać zło ofiarą — i los odwrócić. Steinbeck — wizjoner bezwzględności świata — wierzy głęboko w siły ludzkie. Joseph Wayne, bohater powieści „Nieznanemu Bogu" (1933), otwiera sobie żyły nad wyschniętym źródłem, aby ofiarą krwi zażegnać śmierć natury na trawionej posuchą ziemi. Bogowie ustąpili i na spragnioną glebę zesłali potoki ulewy. W twórczości Steinbecka z pesymizmem walczy nadzieja. Nawet najbardziej wstrząsający (ze wszystkich chyba wskazanych w amerykańskiej literaturze) dramat, jaki się rozgrywa w „Myszach i ludziach" (1937), nadziei nie zabija.

„Myszy i ludzie" to prosta, najprostszymi środkami zrobiona opowieść o niemożliwości urzeczywistnienia małego pragnienia. — Robotnicy dniówkowi George i Lennie wędrują po ranczach kalifornijskich za pracą. George, mały i krępy, Lennie, wysoki i chudy. George opiekuje się niedorozwiniętym Lennim, który rozumu posiada niewiele więcej ponad to, co jest niezbędne do wiązania potrzeb fizjologicznych z odpowiednimi sposobami ich zaspokajania. Wie, że głód można zlikwidować fasolą z pomidorowym sosem, a sen — spaniem. Lennie, nieprawdopodobnie silny, nie ma poczucia swojej siły i zdolny jest do „wszystkiego". Ponadto Lennie obarczony jest nieprawdopodobną wyobraźnią. Bez niej — jako typowy spokojny idiota — mógłby być doskonałą i doskonale wyzyskiwaną siłą w ranczo. Idiota ten jednak ma równą fizycznej siłę pragnienia. Pragnie szczęścia przyszłego. W pogmatwanych zwojach mózgowych brak miejsca na pełny obraz upragnionej przyszłości. Lennie widzi fragment, który jest dlań całością. Przyszłość — to króliki z jedwabną sierścią, które by mógł hodować do pieszczot bez miary. Wierzy, że kiedyś mieć je będzie. I tylko tę pamięć, pamięć swojej wiary posiada. George utrzymuje go w tej wierze (jest on przede wszystkim przyjacielem wyobraźni Lenniego) i w złych chwilach roztacza przed nim wizję, która ma się spełnić. Tych chwil złych jest wiele, gdyż Lennie — nie mogąc doczekać się królików — spazmatycznie, aż do uduszenia, pieści wszystko, co jest gładkie i czułe. Mysz polną znajdzie, na śmierć zapieści.

Spotykamy ich na drodze do rancza, w którym mają być zatrudnieni. Z poprzedniego miejsca pracy musieli uciekać przed linczem, gdyż Lennie o mało nie udusił dziewczyny. W zaroślach rozmawiają właśnie:

— Opowiedz mi to, co zawsze.

— Opowiedzieć ci co?

— O królikach.

George odburknął:

— Znowu mnie naciągasz.

Lennie żebrał:

— George, opowiedz, proszę cię. To co mi zawsze mówiłeś.

— Tak ci się to podoba? Dobra, opowiem ci, a potem do kolacji.

Głos George'a zmienił się. Był poważny. Słowa wymawiał rytmicznie, tak jakby powtarzał je już wiele razy.

— Od takich jak my, co pracują w ranczach, nikt nie jest bardziej sam na świecie. Nie mają rodziny! Nie mają dachu nad głową. Przychodzą do rancza,

zrobią tam trochę grosza, a potem do miasta, tam znów wydadzą wszystko... i znów w innym ranczo naprężają karki. Przyszłości nie ma przed nimi.

Lennie był zachwycony.

— Tak... właśnie, właśnie. A teraz powiedz jak to m y.

George ciągnął:

— My to co innego. My m a m y przyszłość. Mamy się do kogo odezwać. Jest ktoś, kto się o nas troszczy. Nie ma potrzeby przepijać w barze zarobionej forsy dlatego, że nie ma się dokąd iść. Gdy innych wsadzają do ciupy, mogą tam zdychać, to nikogo nie obchodzi. A l e n i e m y.

Lennie przerwał.

— A l e n i e m y! A d l a c z e g o? A b o d l a t e g o, ż e j a, ż e t y s i ę m n ą o p i e k u j e s z, a t y, a j a s i ę t o b ą o p i e k u j ę i t o d l a t e g o.

Zaśmiał się ze szczęścia.

— Mów dalej, George.

— Umiesz to na pamięć. Możesz sam mówić dalej.

— Nie, mów ty. Są zawsze rzeczy, które zapominam. Powiedz jak to będzie.

— Ano, któregoś dnia zbierze się całą forsę i będzie się miało domek, jeden, a może nawet dwa hektary, i krowę, i świnkę, i...

— ...b ę d z i e m y ż y l i j a k r e n t i e r z y, — wrzasnął Lennie. — Będziemy mieli króliki. Dalej, George. Powiedz jak będziemy mieli ogród, i króliki w klatkach, i deszcz w zimie, i piecyk, i śmietankę na mleku tak gęstą, że prawie da się krajać. Powiedz wszystko, George.

— Dlaczego sam tego nie mówisz, wszystko wiesz.

— Nie, powiedz ty. To nie to samo, jak ja mówię. Mów, George, jak ja będę hodował króliki.

— Ano, będziemy mieli warzywnik, i królikarnię, i kurczęta. A zimą, jak będzie padało, powiemy sobie: do dupy z robotą, i zapali się ogień w piecyku, i usiądzie się obok, i będzie się słuchało jak deszcz po dachu wali".

Lennie żył w czasie przyszłym. „Groził przyszłym kotom, które śmiały płoszyć przyszłe króliki", wierzył w to co będzie, nie widząc tego co jest. Aż świat wtargnął i zniszczył czas jego życia. Żona Curleya, gospodarskiego syna, dziwka niezaspokojona, nęciła wszystkich fornali. Nie ominęła wreszcie i Lenniego. Sprowokowała go do pieszczoty, która jak dla myszy, jak dla szczeniaka, którego sobie Lennie wyprosił, skończyła się również śmiertelnie.

Lennie uciekł w zarośla nadrzeczne, które mu George wskazał jako schronienie na wypadek, gdyby mu się coś przytrafiło. Curley na czele parobków ruszył ze zbrojną obławą.

„Najlepiej ułożone plany myszy i ludzi" i tym razem nie zostały zrealizowane. Króliki, ogródek, deszcz, piecyk i gęsta śmietanka, te zamysły tak małe, że aż niemożliwe, by były niemożliwe, zostały zniweczone.

Stary furman, murzyn Crocks, miał jednak rację, gdy nie uwierzył w fermę i króliki Lenniego. „Widziałem setki takich jak wy. Przychodzą, a po skończonej robocie wynoszą się dalej. Każdy z nich ma kawałek ziemi w głowie, ale

żaden go jeszcze nie znalazł. To tak jak raj. Wszyscy pragną skrawka ziemi... Ale nikt nie idzie do nieba i nikomu nie udaje się posiąść ziemi".

Lecz i w tej — tak bardzo, że aż dotkliwie bolącej — książce pesymizm steinbeckowski nie przytłacza. Niewiara Crocksa jest słabością Crocksa. Nam ożywczych sił udziela uczucie przyjaźni, którym George broni Lenniego przed światem. Przyjaźń ta nie ocaliła Lenniego, to prawda. Ale uczyniła bardzo wiele: uchroniła wyobraźnię Lenniego przed dopustem losu. Lennie w tym raju, o którym mówi Crocks, przeżył cały swój czas teraźniejszy. On w r a j u zginął.

George nie pozwolił innym ludziom na zamordowanie wyobraźni Lenniego. Sam go zastrzelił wtedy, gdy tamten był u szczytu zachwycenia.

„— Będzie się miało krowę, będzie się miało świnkę może, a w polu... zagon lucerny...

— Dla królików! — wrzasnął Lennie.

— Dla królików, — powtórzył George.

— I to ja będę chodził za królikami.

— I to ty będziesz chodził za królikami."

Dopiero wówczas padł strzał z rewolweru.

Jeśli powieścią „Tortilla Flat" Steinbeck zwrócił na siebie uwagę Ameryki, to „Myszy i ludzie" wprowadziły go do literatury światowej. Począwszy od tej każda następna książka tego pisarza jest nowym dowodem wzrastania jego wrażliwości na świat ludzki. Jedynie „Bezksiężycowe noce" (1942), powieść na tle niemieckiej okupacji w Norwegii (Steinbeck nie nazywa po imieniu ani kraju, ani najeźdźcy), są napisane na ślepo, na odczucie. I książka ta jest chybiona dlatego, że jej autor wrodzonego sentymentalizmu i idealizmu nie sprawdził własnym przeżyciem. Jest ona dowodem i przestrogą zarazem. Dowodem na to, że świetność literatury amerykańskiej wywodzi się z jej bezpośrednich związków z rzeczywistością. Przestrogą zaś dla amerykańskich pisarzy, aby po fikcję nie oddalali się od swojego świata.

Nowele zebrane w tomie „Wielka Dolina" porównywane są do najlepszych dzieł powstałych w tym gatunku. Steinbecka wymienia się tuż obok Maupassanta i Czechowa.

„Wielka Dolina" pokazuje Steinbecka dojrzałego nie tylko formalnie. Jest to także etap ewolucji jego poglądów na tragizm losu człowieka. Nowele tego zbioru przedstawiają właśnie dorastanie, dojrzewanie ludzi Steinbecka do p e w n e j już walki ze światem. Z doświadczanych spadają iluzje, twardnieje im skóra po to, aby dalej mogli żyć w sposób niełatwy. Ogromnieją do przeżywanego losu.

Steinbeck — pośrednio na przykładach doświadczeń swoich bohaterów — wypowiada pogląd, że mądrość ludzką trzeba zdobyć przeżyciem wielu tragedyj. Jak biolog (jest biologiem-amatorem) uważa, że życie samo dokonuje selekcji. Ale człowiek różni się od zwierzęcia tym, że posiada świadomość, iż na nim dokonywane są doświadczenia. Każdy może i każdy powinien się bronić.

W opowiadaniu „Ucieczka" wzrost dokonał się zbyt gwałtownie. Dziewiętnastoletni Pepe z rana był jeszcze dzieckiem, które matka posyłając do miasta

odgradza od świata licznymi przestrogami. Wieczorem wrócił dojrzałym mężczyzną. Za wyrządzoną mu zniewagę zabił człowieka. W kilkanaście godzin dokonało się przeobrażenie. Dokonało się ono niewspółmiernie szybko. Pepe dla obrony przed światem miał jedynie nóż sprężynowy. Dlatego zginie w dramatycznej ucieczce! Nie będzie miał nawet czasu na ułożenie tych planów, które — jak wiele planów myszy i ludzi — nie zostaną zrealizowane.

Do świata trzeba dojrzewać tak, jak mały Jody z „Czerwonego kuca", trzeba p r z e ż y w a ć duże tragedie. Śmierć ulubionego kuca — to dla kilkuletniego chłopca nie było tylko małe zmartwienie. Steinbeck pokazał rozmiary klęski. Jody wyszedł z tej przygody z pustymi rękami, stracił wiarę we władzę dorosłych nad światem. Fornal Billy Buck, który wszystko mógł, nie umiał wyleczyć kucyka z zołz. Jody zdał sobie sprawę, że w świecie dzieją się rzeczy, którym ani on, ani ojciec, ani nawet Billy Buck nie dadzą rady.

Czas przeszedł, ale tamta sprawa już pozostała. Na źrebaka, który miał być jego źrebakiem, czekał już inaczej niż na wyzdrowienie kucyka. Już wiedział, że może doczekać się łez. Billy Buck robił co mógł, by przywrócić swoją dawną pozycję w oczach Jody'ego. Nawet klacz zabił przy ciężkim porodzie, aby mu dać obiecanego źrebaka. Wszystko się działo na oczach Jody'ego. On sam zobaczył, jak nie łatwo spełniają się nadzieje.

„...Jody wybiegł ze stajni. Na dworze był świt. Bolało go od przełyku do brzucha. Nogi miał sztywne i ciężkie. Usiłował być zadowolony z powodu źrebaka, ale w powietrzu unosiła się przed nim zakrwawiona twarz oraz udręczone oczy Billy Bucka". Do nowych dramatów był już zaprawiony.

Podobnie Eliza w „Chryzantemach". Wędrowny blacharz, chcąc wyprosić naprawę kilku garnków, zainteresował się jej ukochaniem: chryzantemami, które hodowała. Nieproszącemu dała kilka flanc z licznymi przestrogami, jak ma się z roślinami obchodzić, aby je dowieźć do miasta. Była dumna ze swoich kwiatów i z siebie. Czuła się szczęśliwa i mocna.

Gdy w godzinę później jechała z mężem do miasta, zauważyła na szosie czarną plamę. Zrozumiała:

„Mógłby je rzucić dalej, nie na drodze. Nie kosztowałoby go to wiele trudu. Ale zachował doniczkę, wytłumaczyła sobie. Chodziło mu o to, by zachować doniczkę. To dlatego nie mógł rzucić ich gdzie indziej, nie na drogę".

Eliza straciła poczucie siły i szczęścia. Lecz z doświadczenia tego, chociaż ją ono postarzyło, zaczerpie sił do życia wśród ludzi. Jeśli zapragnie szczęścia, to już szczęścia nie w cieplarni.

Steinbeck jest pisarzem tragicznym, bo ukazuje skalę ludzkich dramatów. Przedstawia tragedię ludzkiego losu. Lecz nie jest to tragizm, z którego pesymizm się rodzi. Już dlatego chociażby, że tragizm steinbeckowski d z i e j e s i ę w świecie. Jest to tragizm całego człowieka, a nie jego psychiki tylko. Bohaterzy autora „Wielkiej Doliny" nie zamykają się w zwątpieniu, w przerażeniu wobec świata. D z i a ł a j ą. Dążą do wyzwolenia. Zwątpienie w wartość przeżytych spraw może zachwiać ich przeszłością. Przyszłość stoi otwarta, nieznana, groźna, lecz nie obezwładniająca. Ona pobudza do walki.

Stary dziadek Jody'ego (opowiadanie „Przewodnik") przewodził w swoim wieku męskim tłumom ludzkim w marszu na Zachód. Szli po ziemie Indian, po miasta, po cywilizację. Przez całą starość opowiada o swoim dziele. Nowi ludzie, o kilka pokoleń młodsi, nie rozumieją go już. Nudzą ich Indianie i marsz na Zachód. Aż starzec zwątpił w wartość przeżytego. To zwątpienie jest tragiczne, bo stary n i e m a przyszłości. Ale wnuk pójdzie dalej. Wnuka zwątpienie starego nie zatrzyma.

„— Może ja będę mógł kiedyś prowadzić ludzi — mówi Jody.

Starzec uśmiechnął się.

— Nie ma już dokąd iść. Ocean jest tu, on was zatrzyma. Nad brzegiem oceanu stoi rząd starych ludzi, którzy nienawidzą go, bo ich zatrzymał.

— Na okręcie może bym mógł...

— Nie ma już dokąd iść, Jody. Wszystkie miejsca zajęte. Lecz to, to nie jest jeszcze najgorsze... Ludzie już nie mają w sobie potrzeby marszu na Zachód. Marsz na Zachód już nie jest głodem. To umarło..."

Steinbeck ukaże gdzie indziej inne pochody. Pokaże kierunek i wzbudzi potrzebę marszu, tę potrzebę, która dokona „przeobrażenia masy ludzkiej w jedno wielkie zwierzę pełzające". Będzie to marsz przeciwko dzisiejszej Ameryce. Przeciwko cywilizacji mechanistycznej. Przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu. Z rozpaczy starych, że nie mają dokąd iść, z gniewu młodych, że nie mają gdzie żyć, narodzi się bunt i wola walki. Steinbeck jest pisarzem optymistycznym bo ukazuje wartość ludzkiego czynu. Steinbeck-pisarz społeczny wskaże cele, które czyn ma zrealizować.

Mały Jody będzie miał znów dokąd prowadzić ludzi, tak jak jego dziad.

STEINBECK — PISARZ SPOŁECZNY

W całej bez wyjątku twórczości Steinbecka widoczne są dyspozycje naturalne, które skłonią tego pisarza u szczytu dojrzałości artystycznej do podjęcia konkretnej sprawy człowieka.

Sprawa ludzka rozwija się w jego twórczości równolegle do doskonalenia się formalnego. Kierunek drogi, którą Steinbeck przeszedł od „Tortilla Flat" poprzez „Wielką Dolinę", „Myszy i ludzi" do „Gron gniewu", jest widoczny na każdym etapie.

Naiwna wiara w czystość i dobroć prostaków, wydziedziczonych — wiara, która była pierwszą ideologią Steinbecka — poddana próbie życia i sztuki, mimo wszystko ostała się. Wydaje się, jak gdyby pisząc po wielu latach „Cannery Row", chciał Steinbeck powiedzieć, że doświadczenia Berta Munroe, Wicksa, Lenniego, Pepego, Elizy nie załamały jego pierwszego instynktu człowieka-artysty. Steinbeck — jak mały Jody — nie uległ, lecz dorósł do świata. Próby skomplikowały przeżycia, widzenie świata, sposób przebywania na ziemi, wyostrzyły konflikty konkretne. Wobec tragizmu czasu teraźniejszego coraz bardziej malały sprawy wieczne. Te próby sztuki i życia sprawiły, że pióro autora „W niepewnej walce" i „Gron gniewu" stało się autentycznym „piórem

z ognia". To pióro, które służyło do organizowania serdecznych awantur i miłości Danny'ego, stało się gwałtownym narzędziem walki. U celu tej walki spotkać się mogą jednak wszystkie postacie i wszystkie uczucia Steinbecka. Bo we wszystkich utworach tego pisarza biło przychylne światu i ludziom serce człowieka.

Sentymentalizm, to główne oskarżenie skierowane przeciw Steinbeckowi przez ludzi wychowanych na brutalnej literaturze, w brutalnym świecie, nie jest bynajmniej jakimś łatwym *laisser-aller*. Sentyment, z jakim Steinbeck patrzy na ludzi, jest uczuciem serdecznej przychylności i solidarności. Ma ono niewiele wspólnego z bebechowatością i bezwstydem psychicznym. Steinbeck nie wyciska łez ukazując losy swoich bohaterów. Zmusza natomiast do spojrzenia w głąb spraw ludzkich, tam, gdzie przyzwyczailiśmy się widzieć próżnię serca i umysłu. Steinbeck podważa ułożone starannie i spojone cywilizacją pokłady społeczne. Spod drapaczy chmur, spod wielotonowego posągu Wolności amerykańskiej wyciąga warstwę służącą za fundament. W ostrym świetle XX wieku ukazuje zadawnione, przytłoczone, lecz nie uregulowane sprawy. Pokazuje Ameryce fałsz, krzywdę, na której zbudowała swoją cywilizację. Sentymentalizm? Niech i tak będzie, lecz w tej właściwości Steinbecka tkwią także siły wybuchowe.

Związki ludzkie, miłość człowieka do człowieka, to są te moce, którymi Steinbeck od zarania swej działalności artystycznej broni sprawy ludzkiej przed światem. Gdyby nawet nie powstały nigdy takie książki jak „W niepewnej walce" i „Grona gniewu", społeczna funkcja pisarstwa Steinbecka i tak byłaby niemała. Wspomniane wyżej awantury Danny'ego i jego „rycerzy" odbywały się w świecie czystej przyjaźni. Doc z „Cannery Row" jest czystym sercem brudnej ulicy. A nawet w najtragiczniejszej swojej powieści („Myszy i ludzie") stosunkiem George'a do Lenniego Steinbeck broni wiary w ludzki sens świata.

Ani przedamerykański regionalizm, ani mityczność nie przesłaniają w twórczości Steinbecka sprawy teraźniejszego człowieka i konkretnych warunków, w których on żyje. Tortilla Flat i Cannery Row to są nie tylko przedmieścia Monterey, miasta jego dzieciństwa, to są peryferie Ameryki, gdzie dociera wynaturzony, i przez to tym bardziej przejmujący, szelest banknotów i szczęk wojennego żelaza. W „Pastwiskach niebieskich" w ostateczności amerykanizm przytłacza. Dramat Lenniego, niemożliwość spełnienia małych pragnień, dzieje się w zamkniętym układzie amerykańskiego ustroju społecznego. Wędrujący od rancza do rancza robotnicy dniówkowi do obrony przed krzywdą, przed wyzyskiem mają tylko własne gołe ręce. Uzbrojeniu tych rąk, związaniu ich w potężny uścisk solidarności klasowej poświęci swoją sztukę autor „W niepewnej walce" i, przede wszystkim, „Gron gniewu".

„W niepewnej walce" (1936) jest książką, w której instynkt ludzki Steinbecka prowadzi go na konkretne pole walki z Ameryką. Czas teraźniejszy wyznacza bardziej dramatyczne sprawy niż te, które autor „Tortilla Flat" odczytał ze śladów epoki przedamerykańskiej. Miejsce wydziedziczonych przez anonimową cywilizację Ameryki *paisanos* zajmują skrzywdzeni przez nazwany

po imieniu kapitalizm. Tragicznej rezygnacji starego Gitana, dla którego nie ma już miejsca poza legendą, przeciwstawia Steinbeck wolę życia Mac Leoda, Jima Nolana, którzy o prawo do ziemi, o prawo do życia, będą w a l c z y ć.

Terenem niepewnej walki jest także Kalifornia. Lecz tym razem nie jest to już daleka i święta ziemia dzieciństwa. Kalifornia „Niepewnej walki" to ziemia żyzna krwią i potem wyzyskiwanych robotników. Steinbeck ukazuje sady kalifornijskie w okresie zbioru jabłek. Tłumy nędzarzy rok cały czekający na zarobek przybywają zewsząd. Właściciele-obszarnicy na głodzie i nędzy przybyszy grają jak na giełdzie. Im więcej ich przybędzie, tym robocizna będzie tańsza. Wyzyskiwani staczają się na ten poziom życia, gdzie instynkt społeczny nie działa. Z głodu narodziła się nienawiść. Lecz jest to nienawiść jałowa, bezkierunkowa. Z tej nienawiści trzeba będzie dopiero wykuć wolę walki z wrogiem. Głodujący patrzą na siebie jak na rywali o kawałek chleba. Ze zbiorowości pojedynczych głodów, pojedynczych krzywd trzeba będzie dopiero uczynić tłum zespolony świadomością.

I Steinbeck właśnie ukazuje powstawanie klasy, rodzenie się społeczeństwa świadomego swej siły i celu. Nie łatwo odbywa się ta ewolucja. Wielki talent Steinbecka ujawnia się w ukazywaniu przemiany człowieka-istoty biologicznej w świadomego członka społeczeństwa. „W niepewnej walce" jest właśnie historią zrastania się zbiorowości pojedynczych ludzi w tłum, to „zwierzę pełzające" w jednym określonym kierunku. Nikną indywidualności, umierają anarchiczne egoizmy, z surowej magmy psychik wyłania się wola społeczna.

Walka z obszarnikami, n i e p e w n a walka, kończy się klęską. To prawda. Lecz myliłby się ten, kto by z takiego rozwiązania wnioskował o pesymizmie Steinbecka. Ta nieudana rewolta jest dopiero pierwszą próbą ognia. Po niej nastąpią inne. „W niepewnej walce", jak i gdzie indziej, Steinbeck jest przede wszystkim realistą. Nie zamierza tanim sposobem krzepić serc. Realizm jest niezawodną metodą jego społecznej misji. Czyż obudzenie w tych ludziach świadomości i solidarności klasowej nie jest już wielkim, wyzwalającym optymizm zwycięstwem?

Śledząc pracę Mac Leoda, działacza-komunisty, który powoli wyprowadza z niewiary, z kapitalistycznej niewoli myśli, tych ludzi, skazanych — zdawałoby się na zawsze — na kompleks nic-wartości, nie możemy nie dostrzec steinbeckowskiej idei o dojrzewaniu do życia i świata. Tłumy ludzkie dorastają do męstwa podobnie jak mały Jody dorastał do świata. Doznane niepowodzenia i klęski uodporniają je do dalszej walki, która kiedyś nie będzie już walką n i e p e w n ą.

Również i ta, jak inne książki Steinbecka, spotkała się z oskarżeniem o sentymentalizm. Autorowi jej zarzucono łatwizny programowe. Jemu, który nie starał się być w zgodzie z żadnym programem. Mac Leod jest zarysowany zbyt idealnie. Być może. Nieprawdopodobna wydała się jego wszechwiedza. Szczególnie ironicznie oceniono jego nagłe zdolności akuszerskie (pomaga przy porodzie jednej z nędzarek). Z taką samą ironią przyjęto Jima Nolana, dlatego że był gorliwym uczniem Maca. Ilekolwiek jednak mielibyśmy w sobie nie-

ufności, pewne jest, że ta książka Steinbecka trafiła. A to przecież było jej celem. Metodę swoją dostosował Steinbeck do amerykańskich warunków. Okruchy cudowności przeznaczone były dla tych, których zachwyci „epopeja" „Przeminęło z wiatrem", a tych będzie niemało. „Grona gniewu", następne uderzenie pięścią w stół, wolne są już od tej dopuszczalnej niekiedy dozy nieprawdopodobieństwa.

Pisząc „W niepewnej walce" Steinbeck jest już wyraźnie, w czasie teraźniejszym, po antyamerykańskiej stronie barykady. Tu już jest coś więcej niż ogólny, dostrzegalny zależnie od dobrej woli interpretatora, humanizm. Wyprowadzenie z „Wielkiej Doliny" czy z „Myszy i ludzi" optymizmu może sprawiać wrażenie dowolności. Dowolność ta upada pod argumentacją następnych książek Steinbecka.

Steinbeck daje zresztą bezpośredni komentarz do swojej postawy. W roku 1936 opracowuje dla *San Francisco News* cykl artykułów, które następnie zebrane w broszurze „Ich krew jest mocna" stanowią klucz do powieściowej fikcji „Gron gniewu". W broszurze tej Steinbeck-publicysta stawia zagadnienie oraz ukazuje grozę położenia robotników sezonowych w Kalifornii. Nie darmo dwie jego powieści społeczne mają za temat ten sam problem, w różnych jego fazach. Jasne są przez to dla nas pobudki, które skłoniły Steinbecka do jego podjęcia.

Kalifornia każdej jesieni stawała się najpierw obiecaną, a potem przeklętą ziemią dla nędzarzy całej Ameryki. Obszarnicy, którzy przez cały rok zadowalali się niewielką ilością rąk roboczych, pod koniec lata ogłoszeniami, plakatami i prospektami przyzywali białą nędzę do zbiórki owoców i bawełny. Im więcej ich przybędzie, tym szybciej dokonają się żniwa. Zatrudniony początkowo element nieamerykański, Chińczycy, Malajczycy, Japończycy, Meksykańczycy i rodzimi *paisanos* przez swoją obcość i nieustabilizowanie socjalne stali się plagą Kalifornii. Kradzieże, napaści popełniane przez tych „cyganów", a w następstwie organizowane bunty zażegnywano policyjnymi represjami i wreszcie ekspulsją... Miejsce ich na socjalnym marginesie Kalifornii zająć mieli sprowadzeni zręczną propagandą zrujnowani dzierżawcy rolni ze stanów Oklohama, Kanzas czy Texas. Znęceni wizją krainy słońca i mleka wędrują przez całe Stany Zjednoczone z rodzinami, z nędznym dobytkiem do Kalifornii, gdzie czeka ich rozczarowanie, poniewierka i wzgarda. Rok rocznie przybywający *okies* w liczbie około 150 000 staczają się na skraj człowieczeństwa, do błota przydrożnych rowów, chlewów, i na śmietniki.

W broszurze swojej Steinbeck ukazuje złożoność kalifornijskiego zagadnienia. Omawia położenie farmerów, którzy na skutek zaciąganych w bankach pożyczek tracą niezależność ekonomiczną i chcąc nie chcąc muszą stosować do przybyszów obce ich własnym interesom metody wielkokapitalistyczne. Porusza zagadnienie depresji cywilizacyjnej, jaką stwarzają warunki bytowania. Lecz przede wszystkim ukazuje katastrofę zagrażającą Ameryce ze strony najbardziej amerykańskich instytucji. Banki i trusty całą energię, wszystkie posiadane środki materialne zwracają przeciwko temu kapitałowi, z którego żyją:

przeciwko człowiekowi pracy. Egoizm klasowy prowadzi je do zabijania wiary, radości i woli życia, tkwiących gdzieś jeszcze w zakamarkach świadomości tej białej nędzy. Gdy rząd federacyjny stara się dźwignąć ją z upadku przez zakładanie wzorowych obozów z bieżącą wodą i klozetami, kapitalizm stanowy widzi w tym zamach na swoje interesy. Bo ten, w którym białe ściany i ciepła woda wzbudzą tęsknotę do życia po ludzku, niechętnie będzie zwierzęciem. Sadom kalifornijskim potrzebne są tylko ręce i twardy grzbiet. Każde pragnienie sięgające ponad to, każde żądanie umysłu czy serca, to są już pragnienia i żądania „czerwone". W „Gronach gniewu" Steinbeck niejednokrotnie spoza fikcji artystycznej spogląda wprost na rzeczywistość.

„Towarzystwa i Banki nieświadomie pracowały na własną zgubę. Sady uginały się pod owocami, a drogi pełne były zgłodniałych. Stodoły pękały od żywności, a dzieci biedaków były rachityczne i skóra ich pokrywała się czyrakami. Wielkie przedsiębiorstwa nie zdawały sobie sprawy, że łatwo może pęknąć nić między głodem i gniewem. Zamiast powiększyć zarobki, wydawano pieniądze na kupno granatów łzawiących, rewolwerów, na utrzymywanie nadzorców, sporządzanie czarnych list i ćwiczenie zaimprowizowanych oddziałów. Na gościńcach ludzie błądzili jak mrówki w poszukiwaniu pracy i chleba. I gniew fermentował."

„Grona gniewu" to epopeja bardzo antyamerykańska. Epopeja, gdyż artystyczna argumentacja Steinbecka jest spokojna i wyczerpująca. Steinbeck nie przeoczył żadnej grudki ziemi, którą zaprawił pot wyzyskiwanego człowieka, żadnej łzy. Na bogatej i żyznej ziemi, pod wysokim i rozgwieżdżonym od amerykańskiego sztandaru niebem, w rozległym widnokręgu tysiąca i jednej możliwości, dzieją się bardzo tragiczne sprawy człowieka. Sprawy te obchodzą nas wszystkich. „Grona gniewu" nie są tylko jedną z pozycji współczesnej literatury amerykańskiej. Z fikcji powieściowej wyzwala się głos oskarżenia i hasło do walki słyszane w całym świecie kapitału.

„Grona gniewu" są książką tendencyjną. Lecz czas teraźniejszy wzbudza potrzebę tendencji.

Rodzina Joadów zostaje wypędzona „ze swego" w Oklohamie. Ferma, której kiedyś byli właścicielami a później dzierżawcami, została im zabrana przez Towarzystwo Akcyjne, zamierzające eksploatować ją bardziej rentownie. Traktor zaorywujący pola i przewracający chaty mieszkalne jest tutaj tylko przekleństwem cywilizacji. Ziemia zamieniona zostaje w anonimową materię. Między ziemią a człowiekiem żyjącym z jej płodności wznosi się sterta akcji, dywidend, giełdowych obrachunków i fikcyjnych namiętności. Cywilizacja zrywa więzy utrzymujące równowagę świata. W niedoli farmera obnaża się dramat człowieka i ziemi. Traktor, narzędzie kapitalistycznej mocy, zjawia się na podobieństwo bestii z Apokalipsy.

„Traktory zjawiały się na drogach, wdzierały się w pola. Wielkie płazy poruszające się jak owady, z nieprawdopodobną dla owadów siłą. Czołgały się po glebie, znaczyły ślad, po którym posuwały się tam i na powrót. Motory Diesla, które prychały stojąc, ruszały z piekielnym hałasem, przemieniającym

ię powoli w głuchy warkot. Potwory spłaszczonymi pyskami ryły ziemię, przenierzały pola tnąc je we wszystkich kierunkach. Nie zważając na zagrody, na podwórza, waliły na przełaj przez rowy. Toczyły się nie po ziemi, lecz po swojej własnej drodze. Nie zważały na groble i rowy, na potoki, parkany, domy.

Człowiek na żelaznym siodełku niepodobny był do człowieka. Rękawice, okulary, gumowy ochraniacz na nosie i ustach czyniły go częścią potwora, robotem przy maszynie.

On nie kochał ziemi, tak jak i bank jej nie kochał. On mógł podziwiać traktor... jego gładką powierzchnię, moc jego zrywu, warkot silnika; lecz to nie był jego traktor. Z tyłu za traktorem obracały się błyszczące tarcze, tnąc glebę ostrzami — operacja chirurgiczna a nie orka — odrzucając odciętą ziemię na prawo, gdzie drugi rząd tarcz ciął i odrzucał ją na lewo; ostrza błyszczały wypolerowane przez ciętą ziemię. A już ciągnione za tarczami brony grabiły żelaznymi zębami tak doskonale, że najmniejsze grudki kruszyły się i ziemia stawała się gładka. Za bronami długie siewniki... Szofer przywiązany do żelaznego siodełka dumny był z prostych linii, które naznaczył bez udziału własnej woli, dumny z traktora, którego ani nie posiadał ani nie kochał, dumny z tej potęgi, którą nie mógł rządzić. A kiedy zbiory rosły, kiedy je sprzątano z pól, żaden człowiek nie rozgniótł dłonią ciepłej grudki i nie przesypywał ziemi między palcami. Nikt nie dotknął ziarna, nikt nie błagał serdecznie o jego kiełkowanie. Ludzie spożywali to, czego nie wypracowali sami, nic ich nie łączyło z chlebem. Poród ziemi sprawiało żelazo i żelazo powoli sprowadzało jej śmierć; gdyż ziemia nie była ani kochana ani nienawidzona, nie była przedmiotem modlitwy ani przekleństwa..."

Los rodziny Joadów zespolony był z losem ziemi. Mechaniczny pług służąc anonimowemu kapitałowi wyorał im i c h ziemię spod nóg. Jak drzewa z podciętymi korzeniami zwalili się na drogi. Oni, Joadowie, i tysiące im podobnych. Jakby nagle całą Amerykę rolniczą huragan zmiótł z pola. Drogi napełniły się setkami, tysiącami, dziesiątkami tysięcy starych, ledwo na kołach trzymających się jeszcze gratów. Resztkami kupionej za ostatnie grosze benzyny pędziły na... zachód, do obiecanej im zwodniczo ziemi Kalifornii, gdzie mieli znaleźć pomarańcze, jabłka, mleko i słońce.

W czasie teraźniejszym powtarza się mit Starego Testamentu. Lecz obecnie sama wiara nie zaprowadzi już do ziemi obiecanej. Ileż konkretnych przeszkód, głodów, chorób i śmierci trzeba przejść. Ile razy w wolność amerykańską trzeba zwątpić, aby się jej wreszcie — zaprzeć.

„O, wielka jest Kalifornia.

Nie taka ona wielka. Całe Stany Zjednoczone nie są znowu tak bardzo wielkie. One nie są dostatecznie wielkie. Nie ma dość miejsca dla ciebie i dla mnie, dla ludzi twojego i mojego pokroju, dla bogaczy i dla biedoty zarazem, dla złodziejów i dla porządnych ludzi. Dla głodnych i dla tych, którzy są przekarmieni. Dlaczego nie wracacie, skądeście przybyli?

Jest się ostatecznie w wolnym kraju. Można iść, gdzie się chce.

Wydaje się wam! Czy słyszeliście o inspekcji na granicy Kalifornii? Policja z Los Angelos zatrzymuje was, zasranych kutasów, i każe wam wykonać pół obrotu. Mówią wam: jeśli nie macie za co kupić terenów, to nikt was tam nie potrzebuje. A prawo jazdy macie? Pokażcie no je, mówią. I już go nie ma. Podarte. Nie można przekroczyć granicy bez prawa jazdy, mówią wam.

Jesteśmy w wolnym kraju, było nie było.

No, to szukajcie sobie tej wolności. Jak już któryś powiedział, twoja wolność zależy od tego, czy masz ją za co kupić."

Lecz w położeniu stu tysięcy Joadów szkoła zwątpienia na nic się nie zda. Jadą naprzód, bo tylko na drogach są jeszcze wolni. Obrócić się poza siebie: zaorane pola i zrujnowane domostwa. Gdzieś, coraz bliższa, coraz mniej mityczna, coraz mniej słoneczna, rozciąga się Kalifornia.

Steinbeck związał los rodziny Joadów z ziemią. Połączył ten los z tysiącami losów podobnych, przeżywanych osobno. W „Gronach gniewu" podobnie jak „W niepewnej walce" ukazane są narodziny wspólnoty. Po rowach przydrożnych biwakujące rodziny zawiązują przyjaźnie. Głód, choroba, śmierć jednych jest smutkiem wszystkich. I w umysłach w s z y s t k i c h „grona gniewu wzbierają i dojrzewają, zapowiadając przyszłe winobrania."

Tom Joad nie wybija się ponad tłum sponiewieranych ani szlachetnością, ani energią, ani — później — wolą walki. Poznajemy go, gdy wypuszczony z więzienia, gdzie odsiadywał karę za zabójstwo kolegi w bijatyce, idzie „do siebie". Jeśli za szlachetność i za prawość pokochamy wreszcie tego chłopca, to nie dlatego, że go Steinbeck ucudownił i przesłodził. Steinbeck zbliżył go po prostu do nas bardziej niż innych. Wywołał go z tłumu. Mógł tak samo wywołać kogo innego. Właśnie w tej metodzie pokazania Toma zawarta jest ideologia artystyczna i społeczna Steinbecka. On nie tworzy bohaterów. U niego każdy jest bohaterem. A przede wszystkim bohaterem jest cała społeczność ludzi wydziedziczonych i odartych przez cywilizację z ziemi i nieba.

Steinbeck odsłania sprawny egoizm kapitalizmu. Wszystko służy niszczeniu. Ale s ł u ż y sprawnie. Nim banki Oklohamy wyrzucą z gospodarstw farmerów, poczta zdąży doręczyć im ponętne prospekty wydane przez banki Kalifornii. Żer bowiem musi być dobrze wyzyskany. Tam zorganizowany przez rozliczne nakazy i zakazy przemyślny system policyjny odbierze im poczucie godności ludzkiej. Po takiej kwarantannie będą już zdatni do użycia przy sprzątaniu bawełny za 25, 20, a potem i 15 centów dziennie. Już nie będą mieli tej „czerwonej" nadziei, że zarobią na życie. W Kalifornii obowiązuje praca na głód.

„Grona gniewu dojrzewają powoli". Steinbeck nie narzuca swoim postaciom ideologii. Oni muszą sami, tak jak mały Jody, powoli, korzystając z goryczy klęsk, z głodu, z brudu, dojrzeć do działania. „Grona gniewu wzbierają i dojrzewają zapowiadając przyszłe winobrania". Odbywa się to na wielu, na wszystkich planach. Nie tylko na planie socjalnym. Przeobrażają się również moralność i metafizyka. Obyczaje i umysły tych ludzi przystosowują się do nowych, doskonalszych potrzeb serca. Tłum przeobraża się w świadome społe-

czeństwo. Przed społeczeństwem wyłania się zrazu mglisty, potem wyraźniejący, aby rosnąć, olbrzymieć — wspólny cel życia: rewolucja.

Rewolucja dojrzewa we wszystkich warstwach psychiki. Inaczej dochodzi do świadomości społecznej Tom, przedstawiciel świata pracy i prostego życia. Inaczej dochodzi do niej pastor Casy, przedstawiciel przedamerykańskiej trwającej przewlekle potrzeby mistycyzmu. Spotykają się obaj po tej samej stronie w walce z policją i łamistrajkami.

Steinbeck nie bagatelizuje — podobnie jak nie bagatelizuje ani Faulkner ani Caldwell — potrzeby mistycyzmu u prostego ludu Ameryki. Cywilizacja oszołomiła ich tylko. Purytanizm i naiwna wiara w Boga tkwi w ich życiu codziennym. Modlą się między jedną łyżką zupy a drugą. Modlą się bezsensownie, bezcelowo i śmiesznie. Lecz Steinbeck nie wyśmiewa tej potrzeby. Pastor Casy nie jest obciążony przez *parti pris* autora „Gron gniewu". Powoli, nieśmiało, a potem gwałtownie imię Jezus zastępuje imieniem żywego człowieka.

„Tak bardzo kocham ludzi, że niekiedy to mnie rozsadza. Mówię sobie: A Jezus, czyżbyś go już nie kochał? Obracałem to w głowie na wszystkie strony i w końcu stwierdziłem: Nie, nie znam nikogo, kto by się nazywał Jezus. Znam opowieści, tak, lecz jeśli kocham kogoś, to jedynie ludzi. A niekiedy kocham ich tak, że aż mnie to rozsadza i chciałbym nieba im przychylić..."

Nieporozumieniem byłoby stwierdzenie, że Casy stracił wiarę. Casy, uosobienie potrzeby mistycyzmu, musi wierzyć i wierzyć będzie. Będzie wierzył w człowieka. Tak bardzo będzie chciał ludziom nieba przychylić, że zginie pod pałkami łamistrajków.

Tom Joad swoją konkretną potrzebę walki o nową Amerykę powiększy jeszcze o wiarę Casy'ego. Wygnany ze społeczności, zmuszony do ukrywania się przed policją, będzie niewidocznym fermentem, ładunkiem dynamitu, który może wybuchnąć lada chwila. Będzie przyzywał do siebie wszystkich, którzy, jak mały Jody, wzbudzają w sobie głód prowadzenia ludzi na Zachód, na n o w y Zachód.

„Ja będę zawsze tam, wszędzie, w cieniu. Gdzie tylko obrócisz oczy. Gdziekolwiek wybuchnie bijatyka o to, aby ludzie mieli co jeść, będę tam. Gdzie tylko „glina" będzie okładał człowieka, będę tam... Będę w gniewnych okrzykach ludzi, którzy mają puste brzuchy! Będę w śmiechu głodnych bębnów, spodziewających się zupy! A kiedy nasi będą mieli na stołach to, co sami zasiali i zebrali, kiedy mieszkać będą w domach, które sobie sami zbudowali... będę tam".

„Grona gniewu" kończą się sceną przejmującą. Rosasharn, młodziutka matka nieżywego dziecięcia, wezbraną piersią karmi umierającego z głodu starca.

„Palcami delikatnie głaskała włosy mężczyzny. Podniosła oczy, spuściła je i rozejrzała się wokół, w cieniu stodoły. Wtedy usta jej rozchyliły się w tajemniczym uśmiechu."

Tragizm losu. Tak. Dramat społeczny, który ukazuje Steinbeck, ma wymiary niemal kosmiczne. Lecz jest to dramat życia, dramat p r z e ż y w a n y. Ze śmierci i nieszczęść czasu teraźniejszego narodzi się nowy czas. Nieszczęścia

pożeniły się tu i z pewnością będą miały dzieci. Będą to dzieci gniewu i nadziei zarazem. One doczekają się winobrania. Steinbeck bardzo wyraźnie wypowiada wiarę w winobranie nowej Ameryki. W tajemniczym uśmiechu Rosasharn odbija się mimo wszystko optymizm.

Steinbeck — pisarz społeczny — uczciwymi środkami artystycznymi określa cel antyamerykański. Społeczeństwu swojemu, jak dziecku, pokazuje niemal palcem los, który je czeka, jeśliby miało pozostać w dzisiejszej Ameryce. Pokazuje również drogi, którymi z tej Ameryki wyjść można.

„Grona gniewu" to nie tylko dokument wstrząsający realizmem. To także słowo o nadziei.

Autor „Wielkiej Doliny" jest pisarzem optymistycznym, gdyż ujawnia tkwiącą w człowieku siłę niepodległości wobec świata. Autor „Gron gniewu" jest pisarzem krzepiącym, gdyż ujawnia budzenie się w człowieku pragnienia wolności.

KILKA UWAG O TECHNICE STEINBECKA

Chcąc być konsekwentnym można by zaryzykować pochwałę, że w technice Steinbecka wyraża się również antyamerykanizm. Ale — po pierwsze — pochwała ta miałaby wartość zbyt względną (amerykanizm techniki literackiej nie jest ani klęską, ani dopustem), a po drugie byłaby naciągana. Oczywiście, jak już zaznaczyłem we wstępie, technika Steinbecka wobec wynalazków Hemingwaya, Dos Passosa i Faulknera jest zastosowaniem sznurka i kilku drążków stylistycznych. Proza autora „Myszy i ludzi" oraz „Gron gniewu" mieści się w łożysku prozy europejskiej. Nie skłoni do entuzjazmu żadnej awangardy. To wszystko prawda. Lecz sztuka Steinbecka zbyt jest zespolona z życiem, z amerykańską rzeczywistością, aby mogła być po europejsku poprawna. Jego rzemiosło nie uformowało się na doskonałych wzorach. Steinbeck sięgał tu i tam, a przede wszystkim porał się, jak mu instynkt nakazywał, ze złożonością spraw przez siebie ożywianych.

Pierwszą uderzającą cechą powieści Steinbecka jest brak kompozycji. Powieści te rozłażą się na wszystkie strony, przelewają się przez główny nurt akcji. Sto zdarzeń dzieje się obok. Postacie scharakteryzowane niekiedy szczegółowo nie mają co robić. „Tortilla Flat", „Pastwiska niebieskie", „Cannery Row" — są to raczej zbiory opowiadań zespolonych jednością miejsca.

Nie trudno dopatrzeć się nieumiejętności komponowania. Steinbeck opisuje po prostu świat dookolny sposobem najprostszym, jaki ma pod ręką. Zdarzenie po zdarzeniu, widok po widoku, przesuwają się przed oczami. To są oczywiście braki tego pisarza. Lecz technika ta, tak samo jak ma swoją genealogię, ma również swoje uroki. Genealogią jest właśnie to życie dookolne. Steinbeck chwyta je żywcem. Skutek ten, że fikcję powieściową czytamy jak reportaż. Z dziennikarską sumiennością opisuje krajobrazy, twarze i namiętności. Powstaje niezasłużona może, bo mimowolna, świeżość. Lecz czyż nie wszystko jedno, jakie jest źródło tej świeżości?

Niedoskonałość kompozycji sprawia, że powieść Steinbecka można porównać do rzeki. Nie jest to powieść-rzeka w tym sensie, w jakim przyzwyczailiśmy się to określenie rozumieć. Akcja nie ciągnie się u Steinbecka przez trzy pokolenia i dwa tysiące stronic. Płynie ona szeroko, spokojnie. Niekiedy rozleje się na równinie, zostawi nieco swego nurtu w jakiejś kotlince, lecz jednak popłynie dalej, do ujścia, które zawsze w porę nastąpi. W takich „Gronach gniewu" szerokość i rozlewność stwarzają spokój epicki i braki kompozycyjne są niedostrzegalne. Dzieło to jest jeszcze zaimprowizowane, jeszcze samorodne, lecz już doskonałe.

Uwierzy mi kto lub nie — lecz dla „Gron gniewu" znajduję tylko jedno porównanie: „Wojnę i pokój". W tej społecznej epopei o czasie teraźniejszym Ameryki jest podobnie szeroki jak u Tołstoja oddech, podobna majestatyczność i spokojna ważność zdarzeń.

W „Gronach gniewu" Steinbeck zastosował metodę Dos Passosa: unaocznianie sensu fikcji powieściowej przez bezpośrednie wiązanie jej z rzeczywistością. W akcję wplecione są rozdziały uogólniające losy przedstawianych postaci. Wydziedziczenie, pielgrzymka i szukanie pracy Joadów zapowiedziane są publicystycznym wprowadzeniem w sens społeczny tych zjawisk. Nie pozbawiając cech indywidualnych tego dopustu, który spadł na Joadów, Steinbeck ukazuje powszechność ich sprawy.

Nieumiejętność komponowania powieści równoważy Steinbeck doskonałością małej syntezy. Doskonałość tę osiągnął Steinbeck bezspornie. W uprawianym gatunku prozy nowelistycznej zbliżył się (A. Gide uważa, że nawet je przewyższył) do największych wzorów. „Wielka Dolina" jest zbiorem małych arcydzieł. Nowele Steinbecka są zwarte, zamknięte i wstrzemięźliwe.

Już od dłuższego czasu apeluję, by mi uwierzono na słowo. Może chociaż jednego wydawcę przekonam, a wówczas i moja osobista odpowiedzialność się zmniejszy. Drukowana w nr 39 *Kuźnicy* nowela Steinbecka „Johnny Niedźwiedź" może służyć za przykład oczywistej dla mnie doskonałości. Tylko pośpiech i przyzwyczajenie do stawiania kropek kazały Kazimierzowi Brandysowi oskarżyć Steinbecka o nijakość ideologiczną i abstrakcjonizm społeczny (w „Komentarzu" opublikowanym w tymże numerze *Kuźnicy*). Steinbeck nie jeden raz i nie dwa razy podał klucz ideologiczny do przedstawianych przez siebie ludzkich dramatów. Umieszczona na wstępie do „Wielkiej Doliny" „Obława" jest już dostatecznym „komentarzem".

„Johnny Niedźwiedź" natomiast zaskakuje właśnie wynalazczością formalną. Steinbeck (odsyłam ciekawych do nr 39 *Kuźnicy*) przewleka wątek ukazanego dramatu przez mózg idioty, którego obdarzył nieprawdopodobną zdolnością pamiętania nierozumianych przez niego dźwięków. Jest on idealnie beznamiętnym świadkiem konfliktu. Relacja jego nie wypacza obiektywnej prawdziwości zdarzeń. Dramat rozłożony jest na etapy, tak jakby się działa na scenie. I stara jak świat miłość dwojga ludzi z różnych poziomów socjalnych ż y j e. Tu właśnie wstrzemięźliwość i niedopowiedzenie stanowią zasadnicze narzędzia konstrukcji.

Skłonności naturalne Steinbecka, jak ów wypominany mu stugębnie sentymentalizm, ujawniają się w jego stylu. Właśnie w stylu Steinbeck daje upust potrzebie swego serca. Jest to styl liryczny. Myślę jednak, że porozrzucane po stronicach artykułu cytaty z dzieł tego pisarza świadczą z a tym liryzmem. Jest to liryzm świadomie spontaniczny. Steinbeck operuje bardzo śmiałymi kontrastami (jak np. w zdaniu charakteryzującym Cannery Row), metaforyzuje, odświeża za pomocą słowa wygląd opisywanych rzeczy, zjawisk i stanów psychicznych.

A poza tym nie można nie zauważyć szerokiej zastosowalności steinbeckowskiego języka. Ten sam liryzm przekształca się w zależności od sprawy, do nazwania której służy. W panteistycznym hymnie „Do Nieznanego Boga" doznania przyrody, świata przelewają się przez słowa. Wydaje się wówczas, że Steinbeck traci się, że nie panuje nad sobą. W „Gronach gniewu" znowu, gdzie krajobrazy zajmują bardzo wiele miejsca, liryzm jest zdyscyplinowany psychiką ludzi, którzy w tych krajobrazach głodują i umierają.

Oczywiście technika Steinbecka podlega zmianom równolegle do jego ideologicznej ewolucji. Różne etapy jego przeobrażeń wyciskają swoje znamię na stylu. Etap ostrego widzenia dramatu człowieka i świata u Steinbecka uwidocznia się po prostu w graficznym układzie jego książek. Powieści mają graficzny wygląd dramatów. Dramat Lenniego w „Myszach i ludziach" jest wyrażony dialogiem.

Dialog we współczesnej powieści amerykańskiej ma z tych samych powodów, co u Steinbecka, szerokie zastosowanie. W powietrzu amerykańskiej sztuki jest coś, co skłania do wyboru techniki. Steinbeck, mimo niewielkiej stosunkowo wynalazczości formalnej, mieści się w „amerykańskim zagadnieniu". Jego żywiołowość jest świadoma.

Na zakończenie tych rozważań wypada raz jeszcze powtórzyć:

Siłę swojej sztuki czerpie Steinbeck — jak i inni Amerykanie — z życia, z rzeczywistości, w której tkwi sercem i umysłem. Ani żywiołowość, ani świadomość artystyczna nie są gwarancjami ostatecznymi. Nie ustrzegą go one od klęski, jeśliby się oderwał od spraw s w o j e j ziemi. „Bezksiężycowe noce" — mimo że dramat obowiązku i uczucia został tam wyrażony odpowiednio doskonałą techniką dialogu — to książka chybiona. Fikcję można tworzyć na podobieństwo p r z e ż y t e j rzeczywistości. To wydaje się najistotniejszą lekcją, której nam Steinbeck w swojej twórczości udziela.

SPRAWY I TROSKI

DYSKUSJE I ZJAZDY

I

Jesień bieżącego roku upływa pod znakiem podwójnym: dyskusyj i zjazdów. Mobilizacja życia kulturalnego i literackiego dokonuje się na razie w tych dwóch wstępnych formach. Dlatego na razie i dlatego wstępnych, ponieważ rozwiązanie postawionych na zjazdach i w dyskusjach problemów nie odbędzie się w ramach jedynie — zjazdów i dyskusyj.

Dlaczego dyskusje i dlaczego zjazdy, jako podwójny znak sezonu kulturalnego? Znajdujemy się w sytuacji zewnętrznie dosyć podobnej do tej, jaka przed rozpoczęciem ruchu wydawniczego znamionowała r. 1945. W oczekiwaniu na książki wymieniano wówczas postulaty na temat, jak te książki wyglądać powinny. Jedynym, jak dotąd, książkowym świadectwem owej wymiany postulatów pozostał tom „szkiców i zaczepek" Jana Kotta „Po prostu" (Książka, 1946). Ongiś rubryka „Odrodzenia" pod tym nagłówkiem. I kiedy zbiór Kotta otworzyć na pierwszych stronicach, a czynność to dogodniejsza, aniżeli kartkowanie opasłego rocznika, widać jasno... — to zdanie dokończymy niżej.

Zatem wielka dyskusja o realizmie, dyskusja, którą nawet świadek z boku patrzący nazwał z przysługującej mu perspektywy historyka literatury jedną z podstawowych dyskusyj całej literatury polskiej (J. Kleiner: „Z rozważań nad drogami literatury współczesnej", „Tygodnik Powszechny", 1945, nr 35), ta dyskusja przypada na rok 1945. Zamiera zaś z chwilą, kiedy pierwsze tomy prozy powojennej pojawiły się w księgarniach. Już dwa lata mijają, jak rozchwytywaliście „Dymy nad Birkenau" Szmaglewskiej i „Droga wiodła przez Narvik" Pruszyńskiego!

Analogia zaś obecnej jesieni z tamtym rokiem polega na tym, że wówczas otwierało się nawias przed mającym się ujawnić dorobkiem pisarzy, obecnie ten nawias się zamyka. Cały już zasób książek napisanych w latach wojny i tuż przed wojną został czytelnikowi udostępniony, tak że nadeszła pora konfrontacji, zestawienia. Zestawienia podwójnego: najpierw — z tezami i żądaniami dyskusji o realizmie; po drugie — z potrzebami nowego czytelnika Polski ludowej, ze zgłaszanym przez niego zamówieniem społecznym.

Rozbieżność praktyki pisarskiej z tezami sprzed dwóch lat nie powinna dziwić z tego najprostszego względu: książki powojenne są książkami powojennymi tylko w sposób formalny. Tylko w datach wydania do tych lat należą, w istocie mieszczą się w głębi okupacji, wśród doświadczeń jeszcze nieuporządkowanych i dalekich od wyraźnego ideologicznie obrazu przyszłości. Natomiast dyskusja o realizmie i merytorycznie i według dat rozgrywała się w rzeczywistości polskiej już określonej ideologicznie i wyznaczającej swoje żądania wobec pisarzy. Pod względem zaś formalnym i arty-

stycznym dorobek dotąd ujawniony mieści się jeszcze głębiej: w tradycjach dwudziestolecia, szczególnie w klimacie prozatorskim jego przedwojennego schyłku.

Więc nie ta rozbieżność jest istotna i nie tylko od strony wspomnianej konfrontacji jesień obecna zamyka nawias za dorobkiem lat 1946—1947. Bo ten zamykany nawias jest równocześnie czymś w rodzaju otwarcia nowej, ale tym razem już dokładnie opracowanej rubryki, do której w najbliższych latach winny się wpisać posunięcia organizacyjne w dziedzinie kultury, a w konsekwencji utwory pisarzy. Jak ta rubryka powinna wyglądać — zapowiadają dyskusje, roztrząsają zjazdy. Dlatego się rozmnożyły.

Że tym razem rubryka zostanie otwarta w sposób, który nie dopuści do powtórzenia się porażek dwóch minionych lat, pewność taką zapowiada uczestnictwo w jej otwarciu najwyższych czynników państwowych. Mowa Prezydenta Rzeczypospolitej na uroczystości otwarcia radiostacji wrocławskiej, drugie (nie podane już do prasy w dokładnym brzmieniu, a równie istotne) przemówienie w czasie przyjęcia po inauguracji — oto oznaki owego uczestnictwa. Z ust Prezydenta Rzeczypospolitej usłyszeliśmy zarówno wyrzuty i postulaty skierowane pod adresem artystów, jak przede wszystkim zapowiedź konkretnych posunięć leczniczych. Posunięć typu organizacyjnego i planowego:

„Konieczna jest na całym froncie kulturalnym ofensywa w kierunku upowszechnienia i udostępnienia kultury dla całego narodu; trzeba, by przy wysokim poziomie artystycznym książka była tania i dobra i dostępna dla najszerszych mas. Trzeba, aby teatr, dążąc do jak najwyższego poziomu artystycznego, był tani i nastawiony swoją treścią nie na elitę, lecz na szerokie masy. Trzeba, aby filmy były tanie i dostępne dla wszystkich. Trzeba, aby najlepszych utworów muzycznych mógł słuchać w salach koncertowych chłop i robotnik.

Dlatego konieczna jest przede wszystkim planowa praca w tej dziedzinie. Musimy, tak jak we wszystkich innych dziedzinach naszego życia, przejść do planowania także w dziedzinie kultury i sztuki.

Konieczny jest plan wydawnictw, plan repertuarowy teatrów, podobnie jak istnieje plan radiofonizacji kraju czy kinofikacji. Jest również rzeczą konieczną, aby przy szczupłych środkach, jakimi rozporządzamy, nie rozproszkowywać naszych sił, lecz koncentrować je na najważniejszych zagadnieniach. To znowu pociąga za sobą konieczność większego niż dotychczas organizacyjnego scalenia i usprawnienia pracy na odcinku kulturalnym".

W okres planowej mobilizacji sił kulturalnych wkraczamy bowiem bogatsi o doświadczenia, a przede wszystkim — porażki dwóch minionych lat. Te porażki nie dotyczą mniejszej niż to przypuszczali optymiści wagi prozy powojennej — i mniejszej aniżeli nawet u wielu pisarzy międzywojennych gwarancji, że przekroczy ona krąg czytelnika inteligenckiego i dotrze do czytelnika masowego. Bo tę gwarancję zdawały się zapowiadać wysokie nakłady pierwszych wydanych powieści. Nakłady te były jednak złudzeniem, jeśliby według ich skali chcieć mierzyć poszerzenie kręgu czytelników. Wynikały z mizernej ilości nowych wydawnictw, które nałożone na istniejący głód książki dawały w rezultacie wyższy aniżeli przed wojną nakład. Kiedy jednak książki poczęły się ukazywać w większej liczbie nowych tytułów, nakłady zaczęły proporcjonalnie spadać i proces ten, jeżeli chodzi o bieżącą produkcję beletrystyczną, trwa nadal.

Porażki nie dotyczą fatalnej sytuacji najmłodszej poezji, która — nie-

czytana i pozbawiona wybitnych talentów — zacieśnia się do koła przyjaciół poety i przyjaciół jego przyjaciół. Nie dotyczą również nowego narybku krytycznego, jakiego — poza świeżymi nazwiskami w tygodniku „Wieś" — jak nie widać, tak nie widać. Porażki nie dotyczą tych poszczególnych dziedzin działalności literackiej dlatego, ponieważ żadna z nich nie może być traktowana w sposób rozłączny. Sprawa młodej poezji nie jest tylko autonomiczną sprawą tej poezji. Sprawa krytyki podobnie. Porażki są wspólne, są głównie typu organizacyjnego i lekarstwo na nie może być tylko typu organizacyjnego.

Twierdzenie takie sprawdźmy na jednym bodaj, ale za to skończenie dobitnym przykładzie. W miarę jak globalna cyfra produkcji wydawniczej osiągnęła poziom przedwojenny, a stało się to już w drugim kwartale mijającego roku, nakłady również zaczęły się do tamtego poziomu zbliżać. O ile pierwsza część powyższego zdania zawiera świadectwo chluby dla naszych zdolności organizacyjnych i dla tempa odbudowy książki, to w jego części drugiej mieści się groźne niebezpieczeństwo. Bo część ta mówi: przedwojenny krąg czytelnika inteligenckiego nie został dotąd poszerzony, a porażka wyjęta z zamkniętego już nawiasu dwóch ostatnich lat stoi przed organizatorami czytelnictwa oraz rynku wydawniczego już nie jako porażka do zarejestrowania, ale jako zadanie, które musi być rozwiązane.

Krąg nie został poszerzony, ponieważ głównym wrogiem książki polskiej jest jej cena. Cena, która sprawia, że spółdzielnie wydawnicze mogą wprawdzie nastawiać swoją produkcję na czytelnika z mas ludowych, do którego pragnęłyby dotrzeć, ale docierają konkretnie do tego, kogo stać na kupno książki. „Któż może zakupić książkę za 700 czy 600 złotych? Chyba wzbogacone gburstwo, szabrownicy — słowem ludzie, którym najmniej zależy na książce" — gorzko stwierdza Jerzy Borejsza („Na rogatkach kultury polskiej", „Czytelnik", 1947, str. 23).

Pomiędzy ceną książki a jej nakładem zachodzi prosta relacja. Cena spada, kiedy nakład rośnie, a koszta produkcyjne książki rozkładają się na większą liczbę egzemplarzy. Cena rośnie, kiedy nakład spada. W tej prostej relacji jest jednak coś z błędnego koła — ale tylko przy kapitalistycznym systemie podaży i popytu, przy braku interwencji włączającej się planowo w zasięg tego koła. Doświadczenie mówi — przekazuję tutaj doświadczenie nie moje, lecz otrzaskanego organizatora rynku wydawniczego, Zofii Dembińskiej („Książka może być tania", „Odrodzenie" 1947, nr 38) — że w obecnej chwili książka może potanieć tylko na jednym odcinku swoich kosztów kalkulacyjnych: na procencie księgarskim, wynoszącym około 30% ceny sprzedażnej egzemplarza. Ani koszta papieru, ani zarobki drukarskie, ani procent autorski obniżyć się nie dają, ani — co ważniejsze — nie odgrywają w kalkulacji książki tej roli, co procent pobierany przez księgarza. Ten zaś procent odpaść może tylko wówczas, kiedy książka do odbiorcy docierać będzie wprost. Jak to wprost? — pytacie. Książek nie kupuje się w księgarniach?

Instytucja, która to pytanie rozwiązuje, jest dosyć prosta i istnieje w wielu krajach: kluby książki. Obecnie pierwsze dwa kluby książki, klub „Odrodzenia" (organizacja klubu, jego autorzy, por. „Odrodzenie", 1947, nr 46, 47) i Klub Dobrej Książki (por. „Przekrój", nr 139) organizują się w Polsce. Piszę organizują się, ponieważ zasięg liczebny tych klubów (a powinien sięgnąć kilkudziesięciu tysięcy uczestników!) zależy przede wszystkim od czytelnika, który zrozumie dwie prawdy. Jedna dotyczy jego własnej kiesze-

ni, druga interesu ogólnego. Książki danego klubu będą najtańszymi na rynku księgarskim — interes kieszeni. Ich taniość pozwalająca na wysoki nakład stanie się pierwszym krokiem w walce z głównym wrogiem książki, jej ceną obecną — interes ogólny. Wreszcie interes ciekawości czytelniczej, tej, która każdego z nas popycha do nowej książki: powieści klubu dostępne będą tylko jego członkom, a nieobecne na witrynach księgarń.

Naturalnie kluby książki nie rozwiążą wszystkich zadań czytelnictwa masowego. Dopiero urzeczywistnienie ustawy bibliotecznej, kapitały dane samorządom do ręki na przeprowadzenie przewidzianej nią sieci bibliotek, zdołają tego dokonać. Kluby ukazują drogę, a zarazem — jeśli uważnie spojrzeć na układ autorów klubu „Odrodzenia" — jeden z palących problemów naszego życia kulturalnego. Na sześciu autorów jest dwóch Polaków — Nałkowska i Dygat — poza tym jeden obywatel Związku Radzieckiego, po jednym Czechu, Amerykaninie i Francuzie. Reprezentują oni książki nowe, w większości pochodzące z ostatnich lat, ale gdybyż tak było na każdej wystawie księgarskiej!

Powróćmy do nawiasu, o którym pisaliśmy, że się zamyka za dorobkiem okupacyjnym. Zapasy rękopisów z szuflad wszystkich pisarzy wyszły na witryny księgarskie. Produkcja literacka lat powojennych dopiero się rozpoczyna. Wydawcy pozbawieni są dzisiaj interesującego materiału literackiego krajowego pochodzenia. Pisarze nasi nigdy, również przed wojną, nie byli w stanie obsłużyć nawet tak wąskiego rynku czytelniczego jak w Polsce. Jeszcze w sferze literatury elitarnej szło to jako tako, ale w dziedzinie czytelnictwa masowego pleniła się najgorsza tandeta i szmira, głównie tłumaczeniowa.

Dzisiaj możliwość obsłużenia zapotrzebowań czytelniczych przez garstkę naprawdę liczących się prozaików jest zadaniem niewykonalnym. Niewykonalnym nawet w dotychczasowym zasięgu czytelnictwa, a jego poszerzenie, zdobycie dla literatury nowych odbiorców przy pomocy tej jedynie garstki, równa się kwadraturze koła. Nie twierdzę, ażeby wobec tego zdobycie dla literatury nowych odbiorców było w ogóle mrzonką. Jak może się dokonać, o tym w następnych zeszytach „Twórczości", kiedy rozpatrywany będzie problem czytelnictwa masowego.

Jedno jest pewne: nowego czytelnika zdobędziemy raczej przez udostępnienie mu klasyków powieści polskiej i europejskiej, raczej przez planowy ich wybór, aniżeli poprzez prozaików dzisiejszych. Również nowego czytelnika poezji zdobędziemy przede wszystkim dzięki rozumnie udostępnionym klasykom. Dlaczego?

Chodzi „o ugruntowanie podstaw kultury literackiej u nowej, wrażliwej, ale surowej kulturalnie inteligencji, która szeroką ławą wychodzi z klasy robotniczej i chłopstwa. Nowej inteligencji nie można kształcić na wzorach piśmienniczych z okresu nasilenia wewnętrznych sprzeczności w kulturze, z okresu imperializmu i walki rewolucyjnej... U nas podobne zagadnienie staje już dziś przed generacją pisarzy chłopskich i będzie nabierało coraz większej powagi" — przepisuję słowa Adama Ważyka („Niedobry klimat", „Kuźnica", 1947, nr 42).

Wydawcy zatem oczekują rękopisów, pisarze zbyt mało ich dostarczają. Straty personalne, widoczne i utajone — bo w milionach zamordowanych i poległych byli na pewno przyszli, a jeszcze nieujawnieni pisarze! — teraz dopiero zaczynają ciążyć. Jest nas zbyt mało. Zbyt mało prozaików, zbyt mało dramaturgów, zbyt mało poetów. Pisarzy w Polsce jest za mało i zbyt wolno rosną ich szeregi.

W tej sytuacji wydawcy poszli na tłumaczenia; przewidywało się, że pójdą z konieczności. Ale że na takie tłumaczenia i że po takiej linii najmniejszego oporu — tego nie przewidywali nawet najgorsi pesymiści. Jesteśmy bowiem świadkami zalewu przekładów przedwojennych, zalewu kierowanego wyłącznie pamięcią o sukcesach rozsprzedaży z tamtych lat, jak gdyby nic na świecie się nie zmieniło, jak gdyby paniusia w nylonach, grymasząca w wypożyczalni przed ekspedientkami, była ostatnią instancją i regulatorem, co wydawać.

Kiedy staję przed wystawami księgarń, doznaję wrażenia, że dziesięć lat zdjęto mi z ramion. Niestety, to odmłodzenie nie łączy się z radością, bo znajome zza szyby tomy jeszcze przed wojną wyrzucało się z własnej biblioteki, A dzisiaj powstawać z nich mają nowe biblioteki, dla ludowego czytelnika! Człowiek, który by według stanu dzisiejszego, z grudnia 1947, przeprowadził analizę przeciętnej witryny księgarskiej założonej beletrystyką i tę analizę narzucił na obraz witryny z roku 1937, oddałby sprawie kultury usługę wysokiej miary, a redaktor „Twórczości" służy mu miejscem najbardziej honorowym. Radzę mu jednak, ażeby nie poprzestał na okładkach. Niech zajrzy na odwrotną kartę strony tytułowej, tam gdzie oznacza się wysokość nakładu. Przekona się wówczas, że kiedy nakład powieści polskiej dosięga przedwojennego pułapu, a raczej podłogi, Londona bije się w 20 000 egzemplarzy. Oto klasyk dla ludowego czytelnika!

To jest tło dla dyskusyj, jakie zreferujemy, i zjazdów, z jakich podamy sprawozdania. Można by to tło poszerzyć o niejedno palące zjawisko — wystarczy jednak przedstawionych, by dowieść, że jest nad czym dyskutować i jest czemu zaradzać.

Wypada jeszcze dokończyć zdanie o zbiorze Kotta. Kiedy go otworzyć na pierwszych stronach, widać jasno, że stoimy przed tymi samymi zagadnieniami — twarzą w twarz — co w roku 1945. Planowa organizacja kultury, nożyce kulturalne, upowszechnienie kultury, plan wydawniczy, sprawa książki. To są problemy dzisiejsze, a zarazem tytuły sprzed dwóch lat. Nawias z obecnej jesieni otwiera się — z wyglądu — podobnie jak wówczas. Ale otwiera się tym razem nie dla dyskusji, lecz dla realizacji.

II

Na omówionym tle — dyskusje. Toczyły się i toczą tej jesieni cztery zasadnicze dyskusje. Nie w tym sensie cztery, ażeby dla każdej z nich można wymienić odrębny zespół artykułów ogłoszonych w tygodnikach — w tym natomiast, że cztery łatwo dające się wyodrębnić tematy przewijają się w wystąpieniach, jakie niżej odnotujemy. Temat prozy. Temat krytyki. Temat poezji. Temat organizacji życia kulturalnego.

Temat prozy wyniknął pierwszy, dlatego zapewne, ponieważ przed krytykiem prozy materiał książek staje w postaci już zamkniętej. Nawias za dorobkiem okupacyjnym, tutaj najwidoczniejszy, sprowokował Jana Kotta do próby bilansu nazwanej „Zoil, albo o powieści współczesnej" („Odrodzenie", 1947, nr 35). Szkic Kotta miał charakter wyraźnie zaczepny, daleki był od wyczerpania materiału dowodowego, co natychmiast i słusznie podchwycił Żółkiewski. Wiele zjawisk istotnych Kott pominął lub sklasyfikował gorączkowo i doraźnie, z typową u niego niecierpliwością sformułowań, a przecież — przecież po wielu tygodniach na nowo odczytany szkic Kotta daje znacznie więcej, aniżeli tylko zaczepkę.

Kott stwierdza fakty nieodparte: „Postulaty realizmu rzucane były na wyrost! na ciemno! Wyrastały z doświadczeń intelektualnych, moral-

nych i społecznych sześciu lat wojny. Były wyrazem niezadowolenia z literatury przedwojennej, formułowały pretensje i żądania: artystyczne, polityczne, moralne. Pierwsze próby realistycznej prozy zawiodły, nie wyrosła ponad plotkę obyczajową, nie dała nawet konstrukcji losu ludzkiego, zawierała tylko okruchy publicystyki, błyszczące jak szkiełka w piasku. Czyż wobec dziesięciu złych powieści należy zrezygnować z walki o nową literaturę? Obrona jest przyznaniem się do klęski i rezygnacją".

Dlaczego tak się stało? Winowajcę dostrzegał Kott w braku związków tematycznych z aktualną rzeczywistością, w wąskości wiedzy o świecie u prozaików współczesnych, wreszcie w kurczowej obronie rzemiosła jako głównej legitymacji pisarza wobec epoki. Inaczej Stefan Żółkiewski, który natychmiast odpowiedział obszerną rozprawą „O literaturze współczesnej" („Kuźnica", 1947, nr 37). Inaczej w tym znaczeniu, że Żółkiewski — w znacznie większej niż Kott zgodzie z faktami — przyczyny niedostatków prozy współczesnej nie doszukuje się w rozdźwięku tematycznym pomiędzy pisarzami a rzeczywistością. „Literatura nasza jest jak nigdy, nad podziw, czujna na każde drgnienie współczesności" — stwierdza Żółkiewski w założeniu swej rozprawy.

Przyczyna braków spoczywa gdzie indziej. „Nie fikcyjne odwracanie się od tematów współczesnych, jak przypuszcza Kott — ale konkretne, żywe tradycje artystyczno-ideowe powodują, że obraz współczesności w naszej prozie nie ma tej użyteczności społecznej, której byśmy oczekiwali... Nikt chyba nie zaprzeczy, że to tradycje sienkiewiczowskie w naszej literaturze i tradycje jaskrawego ograniczenia realizmu — czy to na rzecz „snu i drwiny", czy to na rzecz „tajemnic jaźni" — są tymi najbardziej rzucającymi się w oczy zakałami naszej prozy".

Winowajcą są zatem odziedziczone i niełatwe do przezwyciężenia konwencje literackie. Żółkiewski układa je w cztery poetyki, z którymi walczyć zaleca: poetyka drobnomieszczańskiej trywialności (np. Pruszyński, Żukrowski), poetyka próżni psychologicznej (np. Zawieyski), poetyka epigonów ekspresjonizmu (np. Kwiatkowski, Buczkowski), poetyka małego realizmu (np. Gojawiczyńska, Boguszewska).

Jak przezwyciężać, jak zwalczać? Tutaj strategiczny program Żółkiewskiego staje się programem postępowania krytycznego. Programem — dodajmy to od razu, nim szerzej do tej sprawy i na własnym przykładzie „Twórczości" powrócimy — najbardziej realnym, cierpliwym i długofalowym. By go realizować, nie wystarczy jeden typ krytyki i jedno pismo.

„Literaturę przyszłą stworzą pisarze dzisiejsi. Z tym trzeba się liczyć. Środki działania naszej polityki kulturalnej nie są dostatecznie, naukowo opracowane. Cóż nam pozostaje? Współpracować z pisarzami. Analizować szczegółowo każdą książkę, znać szczegółowo twórczość każdego z nich. I w każdym wypadku postępować inaczej, indywidualnie. Jak dobry pedagog. Talenty pisarskie to nasz punkt wyjścia, budulec. Akceptować z tego jak najwięcej, wszystko co się tylko da pogodzić z dążeniami i celami, ideologią rewolucji kulturalnej w Polsce. Akceptować wszystko, co jest materiałem dającym się choć w przyszłości wykształcić na modłę społecznie użyteczną w nowej rzeczywistości".

Z tego pierwszego starcia jedno z ubocznych, ale całkiem istotnych twierdzeń Kotta wyszło nienaruszone. Proza współczesna nie daje ani w części tak postępowej i szerokiej orientacji w zagadnieniach czasu, co nauka i publicystyka.

„Czyż z piśmiennictwa powojennego trzechlecia — pytał Kott — nie mają większej racji przetrwania od

kilkudziesięciu powieści — książki Dembowskiego i Assorodobraj, niewielka broszura Chałasińskiego o genealogii inteligencji, publicystyka Króla i Osmańczyka?... Powiecie, że to nie literatura! Zgadzam się. Ale dla współczesnych nie był literaturą i Mochnacki. Co było a co nie było literaturą, widać dopiero po upływie kilkudziesięciu lat. I jeszcze jedno: doświadczenie historyczne uczy, że w okresach przełomowych nowy styl i nowe treści prozy artystycznej zaczynały się niejednokrotnie od publicystyki i popularyzacji zdobyczy naukowych".

Kott ma słuszność. Nie zaczepiał tej słuszności Żółkiewski. Nad jej powodami mogła była i może nadal rozwinąć się odrębna dyskusja. Rzeczywisty bowiem spór poszedł w innym kierunku: ku zagadnieniom rzemiosła pisarskiego, zaatakowanym przez Kotta. Kropkę nad i postawił dawno milczący Wincenty Bednarczuk w artykule „Kompleks zachodni i nożyce" (Kuźnica", 1947, nr 41). Wskazał bowiem źródła kultu dla dobrego rzemiosła zawarte w „kompleksie zachodnim" naszej literatury, kompleksie szczególnie widocznym w dwudziestoleciu, objawiającym się — zdaniem Bednarczuka — w nadmiernym nawiązywaniu do „aktualnych podówczas na zachodzie wzorów twórczych". Wniosek:

„Kompleks zachodni literatury międzywojennej w rezultacie izolował naszą twórczość w kraju i nie zdobył nam zagranicy. Twórczość międzywojenna, najogólniej biorąc, zbyt daleka była realnym potrzebom i realnym możliwościom kulturalnym już nie tylko mas ludowych, ale nawet przeciętnej inteligencji polskiej. Zagranicy nie mogła sobie zdobyć właśnie dzięki temu, że się wzorowała na zachodzie". Jerzy Putrament w rozmowie ze Stanisławem Wygodzkim sformułował tę kwestię jeszcze jaśniej: „Pierwszym warunkiem tego, aby Francja zaczęła nas czytać, oglądać i słuchać, jest powstanie dzieł, które by się różniły od stylu i kierunków francuskich. Jeśli liczymy na to, że naśladując Francuzów, potrafimy u nich wzbudzić szacunek, to łudzimy się bardzo" („Odrodzenie", 1947, nr 43).

Drugą, już całkiem definitywną kropkę w sprawie rzemiosła, poziomu i wzorów zachodnich, kładzie Adam Ważyk w artykule „Niedobry klimat" („Kuźnica", 1947, nr 42). Rozważając teoretycznie przed dwoma laty, jak ma wyglądać przyszły realizm, wszyscy przerzucaliśmy pomiędzy sobą wielkie nazwiska: Balzac, Tołstoj, Szołochow. Tymczasem praktyka powieściowa nie wydała na powierzchnię podobnych nazwisk w Polsce, wydać nie mogła w tak krótkim czasie. I ze stanowiska tzw. poziomu, ze stanowiska bezbłędnego rzemiosła pisarskiego, nie trudno zganić współczesne utwory realistyczne.

Ważyk nazywa to zjawisko z kłopotliwą dla pisarzy lapidarnością: „Główna czarownica zgorszyła się, że z kotła, w którym warzyła przepisy na wielki realizm, zamiast ducha Balzaca czy polskiego Szołochowa wyjrzeli Putrament i Andrzejewski... Niedowład rzemiosła u poszczególnych pisarzy przy zmianie ideowej albo przy nowej tematyce jest tylko szczególnym przykładem ogólnego prawa przełomów... Bądźmy więc konsekwentni i strzeżmy się złudzeń: rachuba na łagodny rozwój od konstrukcji niesprawdzalnej do konstrukcji realistycznej bez zatraty inwentarza jest oszukańczą rachubą. Nie ma przejścia bez wstrząsu od „kulturalnej psychologii" do metod realistycznych, do głównego nurtu prozy powieściowej, a walka o literaturę postępową traci połowę ostrości i roli społecznej, jeżeli nie odbywa się w głównym nurcie".

Sądzę, że podobnie jak słuszność Kotta o zwężeniu wiedzy pisarza współczesnego w porównaniu z wiedzą naukowca otwiera całkiem nowy temat dyskusji, tak surowa za-

powiedź Ważyka czyni to również. Byłoby dobrze, ażeby przypomniane przez niego prawo przełomów nasza krytyka marksistowska dokładnie objaśniła. Przede wszystkim i za wszelką cenę — ślepym zwolennikom rzemiosła. Za cenę głuchych słuchaczy, za cenę własnej samotności.

Dalszym zagadnieniem głównym artykułu Bednarczuka był problem „nożyc kulturalnych", rozziewu pomiędzy tandetną pseudosztuką dla mas a twórczością elitarną, rozziewu, jaki w sztuce kapitalistycznej jest nie do usunięcia. „Istotną cechą rozwoju sztuki w okresie, z grubsza biorąc, kapitalistycznym jest coraz bardziej postępująca polaryzacja sztuki na dwie tendencje, nazwijmy je „hermetyczną" i „bulwarową". Ta ostatnia opiera się na zaspokajaniu najprymitywniejszych potrzeb kulturalnych odbiorcy. Dąży ona do tego, by dać odbiorcy to, co mu się „podoba". W warunkach rozwoju społecznego na zachodzie nieuniknioną koniecznością jest produkowanie coraz większej tandety. Odbywa się wielki wyścig w dół".

To zagadnienie nożyc kulturalnych, konieczność i realna możliwość, powtarzam — możliwość ich zwarcia w Polsce, jest bodaj że centralnym punktem całej dyskusji. Centralnym nie dla dyskusji jedynie, lecz dla konkretnego działania. Przypominam witrynę księgarską z grudnia 1947 a 1937. Przypominam cenę książki, która kładzie się kamieniem na ramieniu nożyc oznaczającym twórczość.

Kto ma zewrzeć nożyce? Według Bednarczuka przede wszystkim — krytyka. „Pierwszym krokiem w tym kierunku jest wychowanie krytyków. Pora przejść na krytykę normatywną, postulującą. Jeśli pisarz ulegający psychologizmowi zachodu, nie mogący się wyleczyć z Prousta, jest zjawiskiem w naszym okresie naturalnym, choć niepożądanym — krytyk, który zajmuje takie samo stanowisko, jest już społecznym szkodnikiem. Formalizm, tak hojnie reprezentowany wśród naszych nielicznych młodych krytyków, jest zjawiskiem, które może nam zarazić całe pokolenie startujących dziś literatów".

Poważnego krytyka, który by zalecał dzisiaj Prousta jako wzór, nie widzę na horyzoncie. Jeden zaś zwrot z artykułu Kotta, że Proust to szczyt rzemiosła pisarskiego, jeszcze chyba nie dyskwalifikuje jego pozostałej działalności krytycznej. O młodych formalistach za chwilę.

Napisałem, że nie tyle cztery odrębne dyskusje się toczą, ile cztery odrębne tematy przechodzą w siebie nawzajem i kolejno wynikają z każdego z poruszanych zagadnień. Z tematu prozy wynika pod piórem Bednarczuka temat krytyki. Wynikał już wcześniej — w ogłoszonej równocześnie z rozprawą Żółkiewskiego „Rozmowie o literaturze" Mieczysława Jastruna („Kuźnica", 1947, nr 37). „Jeżeli inteligentny krytyk — czytamy u Jastruna — pisząc o prozie polskiej pomija milczeniem „Medaliony" Nałkowskiej, jeżeli nie ma nic do powiedzenia o dawnej prozie Dąbrowskiej i nowej Rudnickiego, jeżeli o wierszach współczesnych poetów nie ma nic do powiedzenia, mogę tylko tyle stwierdzić, że krytyka polska przeżywa stan apatii i znużenia. Jeżeli kogo należałoby atakować ze wszystkich sił, to — krytykę bieżącą, gnuśną i frazeologiczną. Jeśli szukać winnych — to tam".

W całej dyskusji na temat krytyki najdobitniej skreślił rzecz wspomniany już „Niedobry klimat" Ważyka. Odpowiedzialność za obecny stan literatury rozkłada Ważyk pomiędzy twórców a publicystów w sposób nierównomierny. „Jeden czy dwa utwory powieściowe, w których uświadomienie społeczne nie wykracza poza fatalizm, albo opowieści inteligenta mieszczańskiego o swoim nawróceniu, nie shańbią obozu postępu. Inaczej trzeba trakto-

wać publicystykę". Inaczej, czyli dużo ostrzej.

Podjęty przez Ważyka ton niecierpliwej i we wszystkich sumarycznie niedobitków krytyki wymierzonej zaczepki, całkiem podobny do tonu, jakim Kott przemawia do prozaików, jest być może potrzebny jako szok leczniczy. „Żaden kraj nie miał, nie ma i mieć nie będzie takich krytyków w obozie postępu, na jakich stać naszą demokrację ludową" — oto diagnoza. Medycyna współczesna zna leczenie za pomocą szoku. Ale równie często zna wypadki, że wstrząs zastosowany do ciała pacjenta był zbyt gwałtowny. Przeskoczył tkanki, jakie winien uleczyć, a pacjent z kuracji wychodził jeszcze bardziej połamany. Obawiam się, że wystąpienia Ważyka mogą mieć podobny skutek. Oszałamiają — ale co dalej?

Dlatego skargom na krytykę obecną spróbujmy się przyjrzeć spokojniej. Tym bardziej, że — mówiąc prosto — główne zarzuty sprowadzają się do typu krytyki i recenzji uprawianej na łamach „Twórczości". Najpierw niewątpliwa racja wszystkich wygłaszających skargi: jest źle i bardzo ubogo w naszej krytyce. Coraz więcej krytyków dezerteruje ku publicystyce historyczno-literackiej i Jastrun słusznie woła pod ich adresem: „Zdarzało mi się czytać nieraz interesujące studia o Prusie, o romantyzmie i o Conradzie, natomiast o bieżącej literaturze nie mają nic do powiedzenia ci dezerterzy krytyki na rzecz publicystyki historycznej". Słusznie, ale skoro założyliśmy, że na klasykach będziemy wychowywać nowego czytelnika, taka dezercja jest faktem nieuchronnym i raczej szerzyć się będzie aniżeli kurczyć.

Jest źle, ale mimo to chęć zwalenia już teraz odpowiedzialności za stan prozy i poezji na krytykę jest grubym ułatwieniem zadania, jest przesunięciem odpowiedzialności na miejsce niewłaściwe, jest pójściem po linii najmniejszego oporu. Bo dlaczego Stawar ma odpowiadać za to, co w latach okupacji pisał Dygat, a Kubacki za to, co czynił Pruszyński — nie pojmuję. Krytycy zasiedli po wojnie do stołu już gotowego, przy którego nakrywaniu i przyrządzaniu nie byli obecni. Złego humoru dzisiejszych biesiadników nie należy ładować im do plecaków.

Inaczej z odpowiedzialnością przyszłą. „Nie możemy sobie pozwolić na to, aby zmarnować takie wybitne talenty twórcze jak Żukrowski, Dygat i inni. Brak jednak poczucia odpowiedzialności u naszych recenzentów z prawej i lewej grozi niewątpliwie zmanierowaniem młodej generacji twórczej" — powiada Putrament. Arcysłusznie. Ale jeśli udowadniam Gołubiewowi, że powinien zerwać ze swoim panbiologizmem, uleczyć styl, a ten nie zerwie; jeżeli dowodziłem Żukrowskiemu, że jego krzepa zmysłowa prowadzi do małej konstrukcji, a nie do realizmu, a ten dalej będzie robił krzepę; jeżeli dowiodę Gałajowi, że kupa materiału pod budowę powieści, to nie realizm, a ten dalej będzie zwoził cegłę pod budowę Mystkowic — wtedy co? Za rok, za dwa, kto będzie winien, skoro postulaty krytyki z trudem przerabiają wyobraźnię pisarzy, a jakże często w ogóle jej nie zdołają przerobić. Nie pójdę tak daleko jak Jastrun, kiedy pisze, że twórcy „nie wolno narzucać typu wyobraźni i co za tym idzie formy". Trzeba próbować, ale trzeba znać granice, a przede wszystkim odpowiedzialność na wypadek porażki. By narodowa zgoda we wspólnym ataku na krytyków nie rozdeptała tych kilku, co jeszcze nie zrezygnowali z obowiązku bardziej nawet niewdzięcznego niż samo wysłuchiwanie kazań, jakie periodycznie na nich spadają. Już czas najwyższy, ażeby za swoje porażki zaczęli odpowiadać sami pisarze, sami prozaicy, sami poeci, a nie bezsilni często świadkowie.

Sprawa krytyki formalistycznej, czyli o własnym podwórku „Twór-

czości". Kiedy bowiem przyjdzie się zastanowić, gdzie to się umiejscowił upiór formalizmu, który wszyscy zgodnie egzorcyzmują, to nie trudno odgadnąć, że widziano go chyba tutaj. Bo ani w grupie „Kuźnicy", ani „Wsi", ani w dorywczych recenzjach „Odrodzenia" czy nawet w krytyce katolickiej, bardzo ideologicznej, nigdy formalistycznej, ten upiór nie straszy. Krążący po Polsce termin „krakowska szkoła krytyków" może mieć zastosowanie tylko do „Twórczości". I dlatego zapytajmy, o co chodzi?

Czy formalizm był w Polsce kiedykolwiek, a już szczególnie dzisiaj, niebezpieczną epidemią, czy tylko odrą? (por. M. Żmigrodzka „Rozwój wiedzy o literaturze", Wieś, 1947, nr 44). Na pewno odrą, a oznaki zainteresowania jego tezami po wojnie wśród młodzieży posiadają niewątpliwie pewne podłoże ideologiczne, łatwe do zdrenowania we właściwym kierunku (pisze o tym niżej H. Markiewicz). W istocie zaś rzeczy jest to recydywa zjawiska, które przed wojną powinno było dobiec kresu, recydywa przynależna do kręgu częstych u nas opóźnionych przebiegów rozwojowych. Ale twierdzenia formalistów nie są ani odrą ani epidemią, lecz narzędziem użytkowym, którego nie pozbędzie się krytyk współczesny. Nie pozbędzie się, lecz na nim nie poprzestanie. Bez podstawowych twierdzeń formalistów socjologiczna interpretacja utworu literackiego byłaby zawsze interpretacją niepełną, przechodzącą ponad tym, co stanowi o specyficzności i budowie utworu.

Zatem narzędzie użytkowe. Należy zaś najpierw dokładnie ustalić zakres działania krytyki, by zrozumieć, dlaczego narzędzie bywa pochopnie i niesłusznie brane za cel sam w sobie, chociaż nie jest nim dla tego, kto po nie sięgnął. Trzy są, najgrubiej biorąc, adresy krytyki: adres do czytelnika, adres do problematyki epoki, adres do pisarza. Mało który z krytyków te trzy adresy łączy w swoich wystąpieniach.

Adres do czytelnika wyodrębnić najłatwiej. Spełnia go, a raczej spełniać powinna bieżąca recenzja. Najgorzej reprezentowana w obecnej chwili. Recenzja wszakże swój adres do czytelnika wypełniać może tylko w warunkach, kiedy język krytyczny pomiędzy krytykiem a czytelnikiem jest mniej więcej ustalony. Jesteśmy dzisiaj daleko od takiego stanu. Zasób zasadniczych pojęć literackich, terminów i wiadomości jest u nowego odbiorcy tak nikły, że normalna recenzja, z konieczności operująca tymi terminami, przeważnie uderza w próżnię. Normalna, z żargonem krytycznym równie trudnym u recenzentów „Wsi" co „Odrodzenia". Chociaż pierwsi mówią o masach za swoimi plecami, a drudzy są skromniejsi.

W obecnej sytuacji problem recenzji jest przede wszystkim zagadnieniem pedagogicznym. Nie rozwiążemy go przez apel do literackiego doświadczenia nowych odbiorców, lecz przez apel do ich doświadczenia społecznego, życiowego i ludzkiego. Ten szerszy od czysto literackiego, humanistyczny i życiowy apel sprawia, że nowa — na literackim placu wciąż nieobecna — recenzja objąć powinna znaczną część adresu skierowanego do problematyki epoki. Porównanie ze znanym recenzentowi, podobnym formalnie czy treściowo dziełem, nic temu czytelnikowi nie powie, porównanie z jego zasobem przeżyć, umiejscowienie utworu wśród nabytych doświadczeń — powie wszystko.

Rozumieją to dobrze, chociaż znacznie gorzej stosują praktycznie, w grupie krytycznej „Wsi". „Słuszność socjologicznej interpretacji literatury dyktuje nie olimpijska metodologia beznamiętności wobec przemian życia kulturalnego, lecz sam bieg życia, dla którego coraz istotniejsza staje się zawartość poznaw-

cza, wychowawcza i ideologiczna literatury pięknej, szczególnie dla podniesionych do udziału w kulturze narodowej całych klas społecznych. Wybierając metodę socjologiczną, stwierdzamy tylko związek swój ze współczesnością, którą opanować pragniemy zrozumieniem" — wyznaje jedna z najzdolniejszych w tym zespole, Anna Kamieńska („Szkoły metodologiczne i szkoły", „Wieś", 1947, nr 44).

Adres drugi krytyki spełnia bowiem przede wszystkim krytyka postulatywna, która odczytuje tendencje epoki, formułuje wymagania i żąda. O tego rodzaju krytykę chodzi przy socjologicznym typie krytyki stosowanej do dzieł współczesnych, do dorobku aktualnie narastającego. Celem jest krytyka, która nie od dzieł literackich wychodzi, lecz od zagadnień społecznych czasu, która umieściwszy pośród nich utwór stara się natychmiast odczytać sens zawartego w nim doświadczenia społecznego.

Jednakowoż wszystkie te zagadnienia, interpretacje i postulaty, jeżeli nie mają się skończyć żonglerką wymagań ponad czaszkami rzeczywistych pisarzy, muszą być doprowadzone do ich dzieł. Trzeci adres krytyki jest bowiem adresem do pisarza i w moim przekonaniu dla każdego rasowego krytyka jest to adres główny. Miejsce najważniejsze — u boku pisarza, ściślej — u boku jego dzieła.

Bo postulaty chociażby najsłuszniejsze, wymagania chociażby najbardziej aktualne rozejdą się bez śladu, jeżeli zabraknie tego ostatniego ogniwa procesu krytycznego. Ogniwa, na jakim postulaty sprowadza się na teren dzieła i na jego terenie ukazuje pisarzowi, co w jego utworze jest nie do przyjęcia, co godne rozwoju, co martwe, a co postępowe. Na tym ogniwie krytyk bywa czymś w rodzaju dwustronnego pełnomocnika. Rzeczywistość reprezentuje wobec pisarza, ale reprezentuje w materiale jemu najbliższym, poddającym się jego interwencji sprawczej. Wobec rzeczywistości reprezentuje jednak i pisarza, reprezentuje interes oraz granice jego wyobraźni. Wie, że domagając się od Żukrowskiego intelektu i postawy społecznej, a od Brandysa zmysłowego uroku świata, domagać się musi z możliwie wysokim taktem. Bo jeżeli on zawoła w próżnię, nie zawoła już do pisarza i nie nawróci go nikt.

I tutaj nareszcie jesteśmy przy pozornym formalizmie, a w istocie rzeczy przy formalizmie jako narzędziu użytkowym. Powtarzam: krytyk jest tą ostatnią stacją przekaźnikową, przez którą postulaty przenikają w twórczość. A że fazy niewłaściwie włączonego prądu palą przewody, wiedzą o tym elektrotechnicy. Postulaty przenikną zaś dzieło tylko wówczas, kiedy krytyk się w nie włączy możliwie najskrupulatniej, włączy w jego kształt artystyczny i w jego sens społeczny pod kształtem ukryty. Takie zaś postępowanie wymaga uważnego opisu utworu, stwierdzenia jego wyglądu, przyrodzonych możliwości wyobraźni pisarza, jej ograniczeń i niedostatków. Wymaga zatem opisu, który, stanowiąc wstępne kategorie przyszłej oceny socjologicznej, nie może obchodzić się z utworem jak ze składanką z klocków: wystarczy zaproponować postulaty, a pisarz pozmienia, poprzestawia, poprzerabia.

Powie ktoś jednak, że tak pojęta krytyka przeistacza się w dialog dwóch samotników: krytyka i pisarza. Nieprawda! Przede wszystkim lektura książki jest też dialogiem, dialogiem pomiędzy pisarzem a czytelnikiem, dialogiem powtarzającym się wiele tysięcy razy, a krytyk, który należycie stanął u boku dzieła, włącza się w ten proces społeczny złożony z tysięcy procesów indywidualnych. Każdy czytelnik jest na swoją rękę krytykiem, a krytyk, poj-

mujący — tak jak to określamy — swoje obowiązki, porządkuje czytelnikowi materiał utworu, porządkuje od strony najważniejszej — od strony dzieła. Dobrze napisane omówienie krytyczne, chociaż zasadniczo skierowane do pisarza, staje się instruktywne dla każdego czytelnika. Adres krytyczny do pisarza nie jest adresem ekskluzywnym, jeżeli sam pisarz nim nie jest.

Sprawę tę tylko punktujemy szkicowo, w doraźnym zarysie. Wymagać będzie szerszego uzasadnienia, lub przynajmniej otwiera się ona jako nowy i trzeci kolejno w niniejszym przeglądzie temat do dyskusji.

Taką krytykę starała się dotąd i będzie się starała nadal uprawiać „Twórczość". Czy zawsze trafnie? Czy nie było przerostów opisu dających złudzenie formalizmu? Na pewno były. Być może nawet, że przy zasadniczo innym programie krytycznym miesięcznika przerosty takie jeszcze się powtórzą, ale nie w tym istota sprawy. W tym natomiast, że jeden typ krytyki, jeden tylko zespół krytyczny nie ugładzi dróg przed naszą literaturą. Zadaniem tygodników literackich jest uprawiać krytykę jako rozmowę z czytelnikiem, każdy z tygodników powinien ją prowadzić inaczej, ale zadanie miesięcznika literackiego może i powinno być odmienne. Pracować musimy w kilka zespołów, byle założenia drugiego zespołu chcieć zrozumieć, a nie uciekać się do formuły wygodnej i usuwającej spod dyskusji sprawę jako potępioną z góry.

Bo konkretna kaligrafia zdań, które raz jeszcze przepiszę, nie może wyglądać inaczej: „Cóż nam pozostaje? Współpracować z pisarzami. Analizować szczegółowo każdą książkę, znać szczegółowo twórczość każdego z nich. I w każdym wypadku postępować inaczej, indywidualnie. Jak dobry pedagog".

III

Tylko dwa z czterech wyodrębnionych tematów dyskusji zdołaliśmy omówić. Tematowi organizacji życia kulturalnego, na dwóch zwłaszcza odcinkach — czytelnictwo masowe oraz organizacja kultury i piśmiennictwa na wsi — poświęcone będą w najbliższych zeszytach „Twórczości" odrębne rozważania (Anieli Mikuckiej i Mieczysława Grada).

Na razie, poczynając od lata, notujemy główne pozycje bibliograficzne, związane z tym zagadnieniem: W. Sokorski „Zagadnienie walki o nową kulturę", „Odrodzenie", nr 32; J. A. Król „Rodowód inteligencji chłopskiej", „Wieś", nr 25; J. A. Król „Inteligenckie getto chłopskie", „Wieś", nr 27, 28; J. A. Król „Dla kogo piszemy?", „Wieś", nr 36; J. A. Król „Kapitalizm na wsi", „Wieś", nr 37; artykuł zbiorowy „Kolportaż kultury", „Wieś", nr 35; numer specjalny poświęcony sprawom organizacji kultury, „Wieś", nr 37; S. Żółkiewski „Kilka praktycznych propozycji", „Kuźnica", nr 41; J. Kott „Caeterum censeo", „Kuźnica", nr 41; kjw. „Ostatnie plany", „Odrodzenie", nr 43; J. Turowicz „Kultura i plan", „Tygodnik Powszechny", nr 46.

Temat wreszcie poezji tak nikłym płynie strumykiem, że zaczekamy aż nieco wzbierze. Ale płynie! Kolejno: R. Matuszewski „Kryzys liryki", „Nowiny Literackie", nr 19; A. Kamieńska „Idealizowana dyskusja o poezji", „Wieś", nr 32; J. Dobraczyński „Poeta przemilczeń", „Dziś i Jutro", nr. 36; M. Jastrun „Przemiany Juliana Tuwima", „Kuźnica", nr 42; J. Zawieyski „Poezja niepokoju", „Odrodzenie", nr 42; trzy „Szkoły krytyków": „Zmęczona poezja", „Źródła poezji", „Źródło i adres", „Odrodzenie", nr 35, 44 i 45.

Tyle o sporach. Powrócimy do nich, kiedy znów nabrzmieją. O głównych zjazdach — sprawozdania poniżej.

Kazimierz Wyka

PRAWO PISARZA I PRAWO NARODU

(Trzeci Zjazd ZZLP we Wrocławiu, 17—20 XI 1947)

Pisarze polscy i obserwatorzy, uczestnicy wrocławskiego, trzeciego po wojnie, Walnego Zjazdu Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich przyznają zgodnie, iż w porównaniu ze zjazdem krakowskim (1945) i łódzkim (1946) był on bardziej ważki, a stojące na wysokim poziomie obrady posiadały niezaprzeczalnie doniosłe znaczenie. Na fakt ten złożyło się wiele czynników. Państwo weszło zdecydowanie na drogę stabilizacji gospodarczej, minął pierwszy, najtrudniejszy okres tworzenia podstaw i form rozwoju gospodarczo-społecznego, stosunki polityczne wykrystalizowały się ostatecznie. Fronty tej dziedziny życia narodowego ustaliły się jasno, jedynie wobec zagadnień kultury stanowisko jej twórców, organizatorów oraz kierowników życia społecznego było nieokreślone i nieuzgodnione.

Zjazd literatów poprzedziła jednak wielka dyskusja, dotycząca zarówno podstawowych spraw z zakresu organizacji kultury, jak i jej założeń ideowych oraz oceny dorobku międzyi powojennego literatury polskiej.

Dzięki tej dyskusji i krytyce możliwa była szczera i rzeczowa konfrontacja wymagań stawianych pisarzom przez krytykę ideologiczną nie tylko z osiągnięciami okresu powojennego, ale przede wszystkim z postawą samych twórców, z ich poglądami i doświadczeniami artystycznymi. Konfrontacja ta zaś umożliwiła obiektywną i otwartą ocenę możliwości rozwojowych polskiej literatury oraz rozpatrzenie problemu wzajemnego stosunku pisarza i społeczeństwa.

O RÓWNOMIERNY ROZWÓJ CZŁOWIEKA

Polemika prasowa i publiczna dyskusja nad postulatami przeobrażenia oblicza ideowego naszej literatury i metod organizacji życia kulturalnego w Polsce znalazła ukoronowanie w znamiennym przemówieniu Prezydenta Rzeczypospolitej, wygłoszonym na otwarciu radiostacji wrocławskiej. Niepodobna traktować zjazdu pisarzy i jego wyników bez uwzględnienia tej mowy, tak ściśle łączącej się z całokształtem przedzjazdowej dyskusji i z obradami wrocławskimi.

Prezydent w swym przemówieniu zwrócił uwagę na „rozdźwięk między dynamiką osiągnięć gospodarczych a niezaspokojonymi postulatami życia umysłowego", stwierdzając, że „nowe warunki życia społecznego Polski Odrodzonej wymagają usunięcia wszelkich nierównomierności w rozwoju człowieka", będących spuścizną ustroju kapitalistycznego, niosącego wraz z upośledzeniem ekonomicznym również zacofanie kulturalne mas; spuścizną tym tragiczniejszą, iż okres okupacji doprowadził psychikę ludzką do stanu wynaturzenia, schorzenia. Prezydent podkreślił mocno, iż tylko równomierna odbudowa gospodarcza i duchowa odrodzi kraj i naród. Równomierna, albowiem „jednostronne ujmowanie zadań i problemów zarówno gospodarki jak i kultury ogólnonarodowej", od którego nie są wolni ani nasi kierownicy życia gospodarczego, ani twórcy kultury, należy również do spadku kapitalistycznego.

TWÓRCA I SPOŁECZEŃSTWO

„Twórca musi zdawać sobie przede wszystkim sprawę, że podstawowym źródłem jego twórczości jest ciężka praca robotnika i chłopa, codzienny, mozolny wysiłek ludu pracującego, który go żywi i karmi, wobec którego jest on moralnie zobowiązany". „Obowiązkiem twórcy, kształtującego

duchową dziedzinę życia narodu, jest wczuć się w tętno pracy mas ludowych, w ich tęsknotę i potrzeby, z ich wzruszeń i przeżyć czerpać natchnienie twórcze do własnego wysiłku, którego celem głównym i podstawowym winno być podniesienie i uszlachetnienie poziomu życia tych mas. Twórczość oderwana od tego celu, sztuka dla sztuki, wynika z pobudek aspołecznych. „Twórczość artystyczna winna być odzwierciedleniem wielkiego przełomu, jaki naród przeżywa".

Cechą znamienną obecnego okresu jest bowiem fakt wejścia milionów najprostszych ludzi na scenę życia publicznego, jako świadomego, twórczego czynnika dziejowego. „Tęsknoty duchowe i przeżycia wzruszeniowe ludzi pracy szukają z reguły ujścia w głęboko etycznych, społeczno-wyzwoleńczych ideach i obrazach". „Potrzeby psychiczne mas ludowych mają głęboki podkład społeczny, którego źródłem jest poczucie krzywdy, upośledzenia, nierówności, paląca tęsknota ku lepszym, szlachetniejszym i sprawiedliwszym ideałom i formom życia społecznego. Coraz bardziej bowiem dojrzewa w nich świadomość tego, że reprezentują siły postępu kulturalnego, w przeciwieństwie do skostniałych czy zaśniedziałych starych form kulturalnych tych warstw, które schodzą już z widowni dziejowej. Czynna, twarda i głęboko etyczna postawa duchowa, wysoko uspołeczniony i ofiarny patriotyzm — oto te cechy psychiczne, które kształtują się pod wpływem warunków pracy i bytu mas ludowych" — oto te cechy, do których — zdaniem Prezydenta — nawiązywać winien pisarz polski czerpiąc treści z tych samych źródeł, z jakich czerpie je cały naród.

Naród ma prawo stawiać wymagania twórcom, albowiem istnieje współzależność pomiędzy jednostką a społeczeństwem. „Jednym z podstawowych wymagań jest, aby głębszy nurt utworu, jego cel, jego zamierzenia odpowiadały potrzebom ogółu, by nie budziły zwątpienia, gdy potrzeba zapału i wiary w zwycięstwo, by nie apoteozowały depresji, gdy naród chce żyć i działać". Tymczasem „twórczość kulturalna nie nadąża za szybkim i potężnym nurtem dzisiejszego życia".

Prezydent precyzuje wyraźnie charakter postulowanej twórczości literackiej: jej znaczenie wychowawcze, optymizm, związanie z przeobrażeniami społecznymi, odbijanie rzeczywistości i równocześnie kształtowanie jej, wysoki artyzm i powszechność wielkiej literatury dla zwykłego człowieka.

O WARTOŚCI ARTYSTYCZNE

Takimi akcentami rozpoczął się zjazd literatów we Wrocławiu. Akcenty te zostały jeszcze wzmocnione przez powitalne przemówienie ministra Dybowskiego i posła Sokorskiego, którzy krytykowali zbyt słabe związki literatury polskiej z życiem współczesnym. Minister Kultury i Sztuki stwierdził słusznie, że zadaniem jego resortu jest pomóc artystom w zrozumieniu, w poznaniu nowych zadań stojących przed nowym człowiekiem w Polsce. Dlaczego tak wolno reaguje literatura na procesy zachodzące wewnątrz społeczeństwa — zapytywał Sokorski — i dał trafną odpowiedź, iż zachodzi tu trudny proces formowania się nowego człowieka, nowego twórcy i nowego czytelnika. O ile rewolucje społeczne są ogromnym skokiem naprzód, to rewolucje kulturalne są długim i żmudnym procesem. Rzecz znamienna: Prezydent R. P., Minister Kultury i Sztuki, czołowy ideolog ruchu zawodowego — Sokorski, najwybitniejszy krytyk marksistowski— Żółkiewski: wszyscy zgodnie przestrzegali przed niebezpieczeń-

stwem spłycenia literatury, domagając się jak najwyższego jej poziomu, odgradzając się od jakichkolwiek prób tworzenia czysto użytkowej, konformistycznej tandety artystycznej, lecz jednocześnie przyznając, iż masy nowych odbiorców nie są jeszcze przygotowane do przyjęcia wszystkich wartości nowoczesnej sztuki.

Ten konflikt współczesnej kultury, polegający na wielkim zróżnicowaniu poziomów kulturalnych, konflikt pomiędzy postulatem wysokiego artyzmu a powszechności dzieła literackiego nie był dostatecznie przedyskutowany na zjeździe, tak samo zresztą jak konflikt drugi, zarysowujący się w przemówieniach i referacie zasadniczym Żółkiewskiego: konflikt pomiędzy postulatem realizmu, odbijania rzeczywistości przez literaturę, a kształtowaniem tej rzeczywistości przez artystę.

Żółkiewski w swym referacie „Zasadnicze problemy współczesnej literatury"[1], napisanym jako podstawa do dyskusji ideowo-artystycznej i ujętym ze stanowiska marksistowskiego, bardzo mocno bronił pojęcia jednej, istotnie ogólnonarodowej kultury, kultury powszechnej, w której nowatorska pasja artystyczna rozbiłaby skorupę drobnomieszczańskich przyzwyczajeń, panujących również w klasie robotniczej, zastąpiła prymitywizm treści przeznaczonych dla konsumentów „z mas" wielkimi osiągnięciami twórczymi. Równie jednak niebezpieczne jak wulgaryzacja zadań literatury jest stanowisko elitarvzmu. Nad tvm zagadnieniem rozwinęła się żywa dyskusja (Zawieyski, Wyka, Hołuj, Król, Miklaszewski), której rezultat można by ująć w tezę kulturalnego równania w górę. Postulat wielkiej sztuki dla ludu przyjęty został jednomyślnie, przy czym zwrócono uwagę na potrzebę istnienia tak zwanej literatury drugiej klasy o równie wysokim poziomie artystycznym i całkowitego wyeliminowania — jak to określił Prezydent — „sztuki dla maluczkich", wulgarnej i prostackiej.

[1] Por. „Kuźnica", 1947, nr 49.

OCENA TRADYCJI LITERACKIEJ

Centralny dzień zjazdu poświęcono referatowi Stefana Żółkiewskiego i dyskusji nad nim, w której zabierało głos 20 delegatów. Referent, chcąc określić stanowisko współczesnej literatury polskiej, poddał głębokiej analizie stosunek do światowej i polskiej literatury, wyróżniając w literaturze obcej dwa zasadnicze nurty: pesymizmu i ludowego optymizmu, rozchodzące się definitywnie od drugiej połowy wieku XIX, dając niezbyt szczęśliwy przykład Bakunina jako reprezentanta anarchistycznej rozpaczy i Hercena jako przedstawiciela optymizmu ludowego, proletariackiego. Ten pesymistyczny nurt literatury uzasadnia Żółkiewski rozpaczą inteligenta, który nie widzi wyjścia z sytuacji, w jakiej znalazł się świat, nie rozumie go. Jest to bez wątpienia drobnomieszczańskie kapitulanctwo, ale za nim kryje się coś więcej; ten pesymizm i tę rozpacz wykorzystują ściśle określone siły imperialistyczne zmierzające do duchowego podbicia i opanowania narodów.

Nurt ludowego optymizmu wzmacnia natomiast wolę obrony człowieka, wolę przeobrażenia świata i zaufanie do rozumu kształtującego świat. Spadkobiercy Romain Rollanda — czy będą to pisarze radzieccy, czy też Caldwell i Steinbeck — reprezentują różne odgałęzienia demokratycznego nurtu literatury światowej. Literatura ta na Zachodzie jest gorzka i naturalistyczna, bo gorzki jest świat, w którym tworzą pisarze, lecz tej goryczy i naturalizmu nie należy się ani obawiać, ani przenosić ją na nasz teren.

Żółkiewski uzasadnia konieczność modyfikacji stosunku do polskiej tradycji literackiej, klasowo i ideologicznie fałszowanej w ubiegłych okresach. Dzisiaj muszą być wydobyte wszystkie żywotne postępowe jej elementy. To wydobycie postępowego nurtu jest obowiązkiem badaczy literatury dbających o ciągłość kultury polskiej, pełnych pietyzmu dla niej, ale równocześnie umiejących wyróżnić w niej pierwiastki postępowe i wsteczne. Wyroki klasowe — powiada Żółkiewski — decydowały w wieku XIX o charakterze twórczości i prawach jej bytu, nadszedł czas aby je zrewidować nie przeceniając samej tradycji artystycznej. W tym celu proponuje referent podjęcie badań socjologicznych naszej literatury i zerwanie z czystym formalizmem, uprawianym nadal przez większość badaczy. Ich zadaniem jest uwypuklenie stosunku twórcy do życia, ujęcie tematu jako zwierciadła przemian, rozwoju literatury polskiej jako rozwoju świadomości postępu.

Literatura dwudziestolecia — zdaniem Żółkiewskiego — stała, zwłaszcza u schyłku tego okresu, pod znakiem tendencyj postekspresjonistycznych, hołdowała zasadzie deformacji i nadużywała nonsensu jako środka artystycznego. Powodowało to pustkę ideową i oderwanie się od rzeczywistości. Poszukiwanie nowych form wyrazu wysunęło na plan pierwszy wartości techniczne, stylistyczne, odsuwając realizm na plan dalszy.

ZDOBYCZE I NIEDOSTATKI

Pierwszą zdobycz literatury powojennej upatruje referent w przesunięciu akcentów tej twórczości ku nurtowi realistycznemu, drugą w tendencji do przezwyciężenia maniery konstruowania losu ludzkiego w duchu izolacji od społeczeństwa i historii, w wyczerpaniu się czystego biologizmu i psychologizmu oraz w pierwszych próbach socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego. Dalsze zdobycze najnowszej literatury polskiej, to — wedle Żółkiewskiego — jej niewątpliwe upolitycznienie, poszerzenie zainteresowań i dbałość o wysoki artyzm.

Rzeczowa krytyka niedostatków naszej twórczości literackiej uzupełniła ogólnikowe i trochę niepotrzebnie powtarzane zarzuty pod adresem pisarzy polskich. Żółkiewski, analizując literaturę powojenną w Polsce, stwierdza słusznie jej typową inteligenckość, uważając za spadek złych tradycyj ograniczanie się do opisywania tylko środowiska inteligenckiego i to bez powiązania go z innymi środowiskami. Pisarze skłonni są do izolowania swoich bohaterów i środowisk. Nawet jeśli opisują np. ich przemiany ideowe, nie widzą centralnych zagadnień i problemów, wychwytując tylko oderwane wycinki rzeczywistości, jak na przykład typowe dla współczesnej prozy zrywanie inteligenta z przeszłością.

Winę ponosi tu brak wiedzy o społeczeństwie i prawach kierujących jego rozwojem, zacieśnienie zainteresowań, brak perspektywy. Błędy te spotyka się w utworach zarówno pisarzy lewicowych jak i katolickich.

Pisarze nie przezwyciężyli rzekomego, fałszywego humanizmu, zasadzającego się na fałszowaniu przeszłości, idealizowaniu jej, odwróceniu się od gorzkich jej prawd. To przenoszenie ideału ludzkości w czasy przeszłe, w średniowiecze jako symbol rzekomej harmonii społecznej i zmyślony złoty wiek — łączy się z tendencją pokazywania człowieka w niewoli grzechu, uwarunkowanego matafizycznie, a nie społecznie. Ów fałszywy humanizm prowadzi do pesymizmu w guście Malraux, szukania nieistotnych przeciwieństw między ludźmi, niewiary w przyszłość naszej kultury i cywilizacji. Ten fałszywy huma-

nizm — powiada dalej Żółkiewski — sprzyja tendencjom imperializmu amerykańskiego bez względu na to, czy leży to w intencjach pisarzy, czy nie. Obowiązkiem każdego artysty jest wiara i walka o pokój, zrozumienie, że prawdziwy humanizm reprezentują młode, dynamiczne warstwy społeczne, bo do nich należy przyszłość, a one kochają kulturę i pokój.

SPÓR O GENERALIA

Ta część referatu Żółkiewskiego wywołała wielką dyskusję o rzadko, niestety, spotykanej równoczesności pogłębienia ideowego i obiektywizmu. Los ludzki nie jest do pomyślenia bez uwarunkowania społecznego, historycznego — mówił Zawieyski, ale to jest tylko część prawdy.

Pełną prawdę o losie ludzkim posiada — jego zdaniem — tylko humanizm chrześcijański, katolicki.

Świetne, pełne swady przemówienie Zawieyskiego dotyczyło sprawy zasadniczej: wzajemnej tolerancji pomiędzy marksistami a katolikami, tolerancji i współpracy wyznawców zarówno humanizmu marksistowskiego jak i katolickiego na zasadzie uznania za czynnik kształtujący przyszłości naszego narodu — udziału w nim mas ludowych. Jerzy Turowicz i Jan Dobraczyński mówili o katolickiej koncepcji losu ludzkiego, odpierając zarzuty „fałszywego humanizmu" oraz usiłując wykazać, iż pokazywanie człowieka w niewoli grzechu nie jest sprzeczne z ukazywaniem zródeł grzechu w warunkach społecznych; że każde zło społeczne jest grzechem. Żółkiewski, odpowiadając na tę część polemiki, oświadczył wyraźnie, iż jeśli pisarz katolicki nie ogranicza się do metafizycznego uwarunkowania działań ludzkich, lecz konkretnie pokazuje palcem źródło zła tkwiące w warunkach ziemskich, pokazuje wroga nazywając go po imieniu — wówczas taka koncepcja „grzechu" i „szatana" jest do przyjęcia, stwarza wspólną platformę z pisarzami lewicy społecznej. Pozbawienie człowieka ludzkich kryteriów oceny i zdanie go wyłącznie na wyroki metafizyczne — jest właśnie fałszywym humanizmem prowadzącym do zaciemnienia obrazu świata i niemożliwości określenia miejsca, jakie zajmuje w nim działanie człowieka.

Otwinowski, broniąc prawa pisarzy lewicowych do używania pojęcia losu, wiąże go z materiałem życia, z realnością doświadczeń społecznych, stawiając szeroki termin humanizmu społecznego, w którym mieszczą się pisarze różnych kierunków.

Zaczął się spór o generalia — jak to słusznie zauważył Wat. Związek pisarzy skupia przecież ludzi o różnych przekonaniach politycznych, przeciwstawnych poglądach na świat. Jego zwartość ideowa, siła oddziaływania zależy od uzgodnienia wzajemnego stosunku poszczególnych grup. Ta troska przebijała we wszystkich przemówieniach (Zawieyski, Turowicz, Hołuj, Otwinowski), znajdując w najciekawszym na zjeździe przemówieniu Wata głęboki oddźwięk. Należałoby sądzić — mówił Wat — iż po straszliwym doświadczeniu, jakim była ostatnia wojna, w literaturze polskiej znajdzie czytelnik odpowiedź na zasadnicze pytanie: jak doszło do tej katastrofy, jak doszło mimo tylu wieków europejskiej cywilizacji, jak te wielkie sprawy załamują się w człowieku. Pisarze nie widzą wielkich spraw i podstawowych prawd, nauczeni patrzyć na człowieka przez „miełkoskop" rozbijający go na najmniejsze cząstki, zamiłowani w technicyzmie artystycznym. Spór o generalia jest istotny i potrzebny, gdyż największe niebezpieczeństwo dla cywilizowanego

świata, niebezpieczeństwo zagrażające mu ze strony pisarzy, polega na utracie komórki wyboru, na eklektyzmie artystyczno-moralnym, na pietyzmie bez ideowego wartościowania sztuki. Wat podjął zagadnienie zasadnicze: błahości dyskusji artystowskich wobec centralnego problemu istnienia kultury w ogóle, zagadnienie wielkości literatury.

Dyskusja na temat realizmu, jaka wywiązała się po referacie Żółkiewskiego, byłaby czczą gadaniną, gdyby nie mocne i gorzkie słowa Wata.

JAKI REALIZM?

W dyskusji tej (Promiński, Wyka, Kisielewski, Kubacki, Natanson, Czernik, Polewka, Hołuj) podkreślono, iż realizm jako metoda artystyczna nie jest jednoznaczny z postępem, że metodą tą posługiwali się nieraz pisarze skrajnie reakcyjni. Wielu dyskutantów domagało się prawa do innych sposobów artystycznych aniżeli realizm, motywując to bądź to niewystarczalnością tej metody do oddania wielkiego zakresu przeżyć, zwłaszcza ostatniego okresu dziejów (Natanson, Promiński), bądź to wysuwając „zasadnicze" prawa literatury do eksperymentu artystycznego, buntu, zaostrzania narzędzi w kierunku psychologizmu, prawa do komplikacji i walki ze schematem. Prostowano również twierdzenia Żółkiewskiego odnoszące się do jego oceny literatury dwudziestolecia międzywojennego, przypominając iż najwybitniejsze jej pozycje były właśnie realistyczne. Niecierpliwość krytyki postulującej wielką, realistyczną literaturę łagodzono również (Wyka, Czernik) stwierdzeniem, iż książki, jakie ukazały się po wojnie, są dorobkiem w o j e n n y m, oraz iż kilka lat życia nowego społeczeństwa i twórczości artystycznej jest zbyt krótkim okresem, aby wytworzyć dzieła na miarę klasyków XIX wieku.

W tym kontekście przemówienie Kisielewskiego, nie pozbawione pewnej słuszności jeśli idzie o prognozę dla nowej, przyszłej literatury Polski, było zbyt charakterystyczne, aby go nie wspomnieć. Kisielewski twierdził, iż kampania lewicy o realizm w literaturze oparta jest na nieporozumieniu. Realizm jest wedle niego pojęciem sztucznie, mechanicznie przeniesionym z epoki kapitalistycznej i dzisiaj nie może mieć miejsca. To, co lewica nazywa realizmem, jest raczej idealizmem, gdyż chodzi o przedstawienie świata nie takim, jaki jest, ale takim, jaki ma być. Jeśli słuszne są słowa Prezydenta o cechach wychowawczych, optymistycznych literatury, to, zdaniem Kisielewskiego, który zgadza się, że nie można przeszkadzać młodemu organizmowi państwowemu w jego życiu, postulowanie realizmu jest fałszem intelektualnym. Dla realistów bowiem pewne kwantum realiów musi być wspólne i niezaprzeczalne, jeśli zaś tego kwantum nie można opisywać z przyczyn natury pozaartystycznej — niemożliwy jest wobec tego prawdziwy realizm.

Zwrócono Kisielewskiemu uwagę (Polewka, Hołuj), iż pomieszał on pojęcie realizmu jako metody artystycznej, która nie jest postulatem ostatecznym, z realizmem społecznym, politycznym, wymaganym od pisarzy.

ZIEMIE ZACHODNIE

Oddział krakowski zgłosił dobrze opracowany wniosek zorganizowania w roku 1948 akcji czasowego, przymusowego pobytu pisarzy na Ziemiach Odzyskanych; niestety wniosek ten upadł. Zastąpiono go niewiele mówiącą rezolucją. A przecież zarówno referat Hierowskiego o problemach kulturalnych tych ziem, jak i wspaniałe przemówienie kierownika biura odbudowy Wrocławia inż. J. Ptaszyckiego unaoczniły wszystkim pilną potrzebę podjęcia natychmiastowej akcji, całkowicie dotychczas zaniedbanej.

„Osadnictwo" literatów na Zachodzie — jak dotąd nie powiodło się, a jeśli było, nie spotkało się z dostateczną opieką tak zwanych czynni-

ków miarodajnych (Łoś). Zamiast partyzanckiej próby podboju tych ziem przez literaturę polską trzeba koniecznie przystąpić do planowego oddziaływania. Przestraszono się jednak śmiałego projektu, niesłusznie poprzestano na deklaracji.

PISARZ I JEGO DOLA

Sytuacja materialna pisarza pogorszyła się znacznie od ostatniego zjazdu. Sam związek pozbawiony jest bazy materialnej, a garstka pisarzy polskich traktowana jest niejednokrotnie jako grupa ludzi niezbyt społeczeństwu potrzebnych.

Brzechwa w swym pełnym swady referacie o solidarności zawodowej dopatrywał się winy obniżenia zaufania społeczeństwa do literatów w nich samych. To oni sprowokowali niewidzialny front lekceważenia dyskusjami prasowymi odmawiającymi współczesnej twórczości prawa do bytu, to oni przez wzajemne napaście, chociażby nawet ideologiczne, zniechęcili społeczeństwo do siebie. Nie dając w swych wypowiedziach nawet minimum obiektywizmu, sami pozwolili się wciągnąć do antykulturalnego frontu. Objawy lekceważenia literatury i literatów są zbyt dobrze znane, aby je przytaczać — traktowanie pisarza jako milionera, porównywanie jego zarobków do zarobków lekarzy czy adwokatów, odmawianie mu praw człowieka pracy stoją w jaskrawej sprzeczności z wypowiedziami i zapowiedziami kierowników naszego życia społecznego — oto słuszne skargi Brzechwy.

Polewka dyskutując z Brzechwą dawał przykłady mające uzasadnić tezę, iż brak autorytetu pisarza wyniknął z przedwojennej tradycji, tradycji sanacyjnej, z błędów politycznych, jakimi obarczeni byli polscy pisarze przed wojną. Stanowisko pisarza zależne jest bowiem nie tylko od jego artyzmu, ale i od jego postawy społecznej, politycznej.

Tym niemniej dyskusja wykazała cały szereg bolączek, uniemożliwiających normalną twórczość i spokojną pracę. Pisarzom odmawia się nadal zniżek kolejowych, nie mówiąc już o biletach wolnego przejazdu, przydział papieru na książki ciągnie się miesiącami, niezałatwione są ubezpieczenia, ruchem wydawniczym rządzi nadal kapitalistyczne prawo opłacalności. Stanowisko kierownika literackiego w teatrach bojkotowane jest z reguły i napotyka na jednolity front niechęci ze strony aktorów, uważających teatr za wyłączną domenę swej działalności (Polewka, Otwinowski, Rusinek). Budżet kierowników literackich rozgłośni radiowych na prowincji został tak obcięty, iż niemożliwością jest praca literata w radio. Film Polski bagatelizuje całkowicie współpracę literatów, składa oświadczenia, a mało je realizuje. Coraz droższa książka powoduje spadek nakładów, a co za tym idzie — spadek zarobków pisarzy; co gorsza, ZZLP nie ma prawie żadnego wpływu na politykę wydawniczą. Sprawa przekładów (ma być rozpatrzona przez przyszły Instytut Przekładów przy Ministerstwie Kultury i Sztuki) utrudniona jest przez przepisy dewizowe, cło na książki i chaos kompetencyjny.

PLANOWANIE KULTURY

Znany i obszernie przed Zjazdem dyskutowany temat planu kulturalnego naświetlony został raz jeszcze na Zjeździe zarówno w przemówieniu Prezydenta jak i w toku obrad. Prezydent Rzeczypospolitej i poseł Sokorski podkreślali z naciskiem, iż najważniejszym czynnikiem potrzebnym dla zmiany oblicza naszej literatury jest własne przeżycie artysty. Plan kulturalny, który by przechodził do porządku nad tym postulatem, nie spełni swoich zadań. Ażeby umożliwić pisarzom to przeżycie, projektuje się zakrojoną na szeroką skalę, przy współudziale kilku ministerstw, akcję udostępnienia pisarzom nieznanych im środowisk.

Z dalszych spraw związanych z pla-

nowaniem kultury zasługuje na podkreślenie zapowiedź ministra Dybowskiego, iż ustawa biblioteczna, która radykalnie rozwiązałaby zagadnienie upowszechnienia literatury i zabezpieczenia bytu materialnego pisarzy, będzie wreszcie zrealizowana. Delegaci domagali się zagwarantowania określonego parytetu w tych bibliotekach dla literatury współczesnej. Inną bardzo ważną sprawę parytetu poruszył dyr. Michalski. Zapowiedział mianowicie, że w planie wydawniczym dla współczesnej beletrystyki ustalony zostanie ściśle określony procent dozwolonych przydziałów, podobnie jak jest on ustalony przy planowaniu repertuaru.

WNIOSKI I DEZYDERATY

Wyniki Zjazdu mają się streścić praktycznie w dwóch poniższych zdaniach: pisarze nie mogą się zgodzić, aby jakakolwiek dziedzina działalności kulturowej obywała się bez ich udziału i poza plecami Związku. Pisarze wiedzą, że ich wzmożone uczestnictwo i odpowiedzialność w tych kwestiach wymagać będą żywszego ideologicznie i bardziej uspołecznionego trybu pracy zarówno w oddziałach Związku jak w Zarządzie Głównym. O ile w roku ubiegłym prace Związku koncentrowały się, nie zawsze z pomyślnym wynikiem, na sprawie zabezpieczenia podstaw bytu materialnego pisarzy, to w roku bieżącym akcent pada na udział Związku w ogólnej mobilizacji sił kulturalnych.

Dlatego najważniejsze z uchwalonych wniosków dotyczyły uczestnictwa Związku w konkretnych problemach tej mobilizacji. Pisarze zażądali:

1. Urzeczywistnienia planu wydawniczego, w którym odpowiednio reprezentowana byłaby współczesna twórczość polska.

2. Udziału w sprawach związanych z gospodarką papieru.

3. Przyspieszenia lub rewizji wykonania ustawy o dwunastu autorach.

4. Udziału członków Związku w Komitecie Ortograficznym przy Ministerstwie Oświaty celem zapobieżenia nieprzemyślanym i szkodliwym dla kultury poczynaniom.

5. Wpływu na polityczne regulowanie rynku wydawniczego.

6. Udziału w zamierzonych przedsięwzięciach z zakresu wymiany kulturalnej z zagranicą, szczególnie w dziedzinie przekładów.

7. Obsady stanowisk kierowników literackich wydawnictw, radia i teatru przez członków Związku.

Wierzymy, że zdając po roku sprawę z następnego Zjazdu będziemy mogli napisać, że postulaty wyżej wymienione zostały zrealizowane. Bo interes i troska pisarzy pokrywa się w nich z interesem kultury polskiej w ogóle.

Tadeusz Hołuj

ZJAZD ZWIĄZKU KÓŁ POLONISTYCZNYCH

W dniach od 31 października do 3 listopada obradował w Krakowie II Zjazd powojenny Związku Kół Polonistycznych Polskiej Młodzieży Akademickiej[1]. Ten „Sejmik polonistyczny", sprawnie przygotowany przez Zarząd Związku, zgromadził przeszło 100 delegatów z siedmiu ośrodków uniwersyteckich (Warszawa, Łódź, Poznań, Toruń, Wrocław, Lublin, Kraków). Zjazd stał się jednak zdarzeniem godnym uwagi dla kręgu daleko szerszego niż bezpośredni jego uczestnicy. Znamiennym tego do-

[1]) Związek Kół polonistycznych P. M. A. został reaktywowany w Krakowie 31 października 1946 roku jako pierwszy po wojnie Związek kół naukowych w Polsce. Skupia on w tej chwili około 1.500 studentów polonistyki. Celem Związku — jak głosi statut — jest:
utrzymanie stałej łączności między Kołami

wodem była obecność przedstawiciela Ministerstwa Oświaty i Związku Zawodowego Literatów Polskich, uczestnictwo w obradach, nieraz czynne, wielu wybitnych naukowców, publicystów i polityków kultury starszego i średniego pokolenia. Szerokość i intensywność tego zainteresowania zrozumieć łatwo: zjazd dawał jedyną w swoim rodzaju możliwość bliższego zaznajomienia się z obecną sytuacją i perspektywami młodzieży polonistycznej — przyszłych nauczycieli, oświatowców, badaczy naukowych, publicystów, słowem ludzi, którym już w krótkim czasie przypadną doniosłe funkcje w kształtowaniu ideologii społeczeństwa.

Obserwacje zjazdowe pozwalają stwierdzić, że chociaż mamy pewną grupę młodych polonistów, posiadających solidne przygotowanie i opanowaną technikę postępowania badawczego, to na ogół biorąc prace naukowe w środowisku akademickim przedstawiają się słabo. W kołach polonistycznych najżywotniejsze są sekcje samopomocowe (chodzi o samopomoc w studiach uniwersyteckich), teatralne, imprezowe itp.; samodzielne badania literackie prowadziła właściwie tylko Łódź. Przyczyn należy szukać oczywiście w następstwach wojny i okupacji: zniszczenie bibliotek, opóźnienie w studiach roczników starszych, braki w przygotowaniu do uniwersytetu u roczników młodszych, powszechne trudności materialne i konieczność pracy zarobkowej — wszystko to nie sprzyja badaniom naukowym.

Jest też i inna przyczyna. Nie przypadkowo z ust jednej z delegatek padło zdanie, że koło polonistyczne powinno uzupełniać uniwersytet, a nie — zastępować go. Wypowiedź ta, pod którą podpisałaby się duża część uczestników zjazdu, oznacza zasadniczą zgodę młodzieży na obecny kierunek i charakter studiów polonistycznych na wyższych uczelniach. Konflikt pokoleń w poglądach na cele i metody badań, na zasady wartościowania literatury, powtarzający się na uniwersytetach od czasów (przykładowo) Pilata i Tarnowskiego — jeszcze nie istnieje. Wyjątek stanowi tu sytuacja na wszechnicy łódzkiej; tu zwolennicy kierunku socjologicznego znajdują inspirację i oparcie w ośrodku pozauniwersyteckim — w zespole „Kuźnicy".

Zjazd poświęcony był zasadniczo pozytywizmowi polskiemu, w szczególności twórczości Bolesława Prusa; wbrew intencjom projektodawców i oczekiwaniom, sprawy te jednak zostały odsunięte na dalszy plan. Można w tym dostrzec symptom zjawiska ogólniejszego: braku poważniejszych zainteresowań o charakterze historyczno-literackim, i niedostatecznego zrozumienia dla hierarchii badań wynikającej z aktualnych potrzeb społecznych. Nawoływania wybitnych polityków kultury, przede wszystkim Stefana Żółkiewskiego, o to, by „odczytać na nowo, na nowo pokazać zawartość ideową naszej narodowej literatury, pokazać w niej to, co istotnie może być chlebem codziennym dzisiejszego człowieka pracującego w Polsce" („Nowe Drogi", 1947, zeszyt 2, str. 210). — nie wywołały dotąd żywszego echa. W gruncie rzeczy nawet dla Łodzi *na obecnym etapie* wybór tego czy innego zagadnienia jest przede wszystkim zależny od jego przydatności dla rozwiązywania określonych problemów teoretycznych.

Polonistycznymi wszystkich ośrodków uniwersyteckich w Polsce;
koordynowanie działalności naukowej młodzieży studiującej filologię polską;
ustalanie potrzeb studiów polonistycznych na wyższych uczelniach Polski;
zaspokajanie potrzeb Kół wchodzących w skład Związku, szczególnie w zakresie sekcji wydawniczej;
reprezentowanie młodzieży polonistycznej, zrzeszonej w Kołach, wobec władz państwowych i uniwersyteckich.

Dotychczasową działalność Związku traktować należy jako okres wstępny. Zarząd Związku przeprowadził jego legalizację i zapewnił mu podstawy materialne. Ponadto rozpoczęto prace nad bibliografią czasopism polskich za lata 1945 i 1946 oraz przygotowano do druku tom pierwszy „Rocznika polonistycznego", który obejmuje prace naukowe z okresu okupacji (m. i. studium Ludwika Frydego o Mickiewiczu), omówienie konspiracyjnych studiów polonistycznych w latach 1939—1945 oraz kronikę powojenną.

Na zjeździe dominowały więc problemy teorii literatury i metody badań literackich, niespokojne pogranicze ontologii i teorii poznania, socjologii i estetyki. Jest to zresztą zjawisko zupełnie prawidłowe i oczekiwane w okresie istotnych, głęboko sięgających procesów przemian ideologicznych wśród inteligencji i młodzieży akademickiej. Ponadto przejście przez „piekło teoretyczne" — jak obrazowo wyraziła się jedna z uczestniczek zjazdu — będzie na pewno z korzyścią dla późniejszych samodzielnych badań historyczno-literackich.

Przebieg zjazdu zaświadczył dobitnie, że w chwili obecnej istnieją tylko dwa zasadnicze nastawienia teoretyczne w dziedzinie nauki o literaturze: formalizm i metoda socjologiczna. Żywotność psychologizmu w niektórych ośrodkach daje się wytłumaczyć osobistym autorytetem wybitnych uczonych. Jeden zaś z referatów, oparty na metodzie filologicznej w jej najprymitywniejszym, „wpływologicznym" zastosowaniu, można traktować jako odosobniony relikt zamkniętej przeszłości; uczestnicy zjazdu — bez różnicy przekonań — skwitowali go ironicznymi oklaskami.

Zjawiskiem niezaprzeczalnym jest natomiast druga młodość formalizmu. Przed rokiem 1939 formalizm w Polsce bynajmniej się nie przeżył: w gruncie rzeczy nie wyszedł prawie poza etap „burzy i naporu", formułowania swych deklaracji i postulatów. „Ogólny bilans „stanu badań" nad kwestiami ściśle literackimi przedstawia się (u nas) stosunkowo nikle" — te słowa Kridla z jego „Wstępu" można dziś po przeszło 10 latach powtórzyć. Toteż nic dziwnego, że badania formalistyczne, poparte w dodatku silnymi wpływami i świetnymi wzorami profesorów, w dalszym ciągu mogą nęcić młodych polonistów.

Wymieniłem te przyczyny, by uniknąć zarzutu jednostronności, ale tym mocniej chcę podkreślić, że nie wydają mi się one przyczynami zasadniczymi. Te tkwią głębiej. Formalizm, traktujący literaturę jako autonomiczny, niezależny od innych szereg kulturalny, jest w obecnej sytuacji doskonałym odpowiednikiem metodologicznym pewnej postawy ideologicznej, którą najogólniej i najspokojniej można by określić jako absenteizm, niechętne odsunięcie się od spraw dzisiejszej rzeczywistości, wyobcowanie się z niej. Taka postawa wciąż jeszcze istnieje wśród pewnej części młodzieży akademickiej. (Drobnym lecz charakterystycznym jej przejawem jest choćby to, że poloniści jednego z uniwersytetów pogłębiają dziś swą wiedzę przez studia nad dziełami — Papiniego, Carrela i Spenglera).

Postawa ta tłumaczy uczuciowy podkład afirmacji, z jaką znaczna część uczestników zjazdu przyjęła referaty Zofii Lubońskiej i Krystyny Szałkowskiej (Poznań) o „Dzieciach" Prusa jako powieści tendencyjnej i Kazimierza Bartoszyńskiego (Kraków) o „Problemach nowelistyki Prusa". Były one zresztą przykładami dobrej, precyzyjnej roboty opartej o metodę, która wiedzie do rezultatów istotnych i sprawdzalnych na terenie morfologii dzieła literackiego, ale w sposób nieunikniony zubaża i wyjaławia problematykę nauki o literaturze.

Kierunek socjologiczny był reprezentowany na zjeździe przez część koła łódzkiego (w kole tym istnieją dwa zespoły: marksistowski i katolicki, pracujące na zasadach współzawodnictwa naukowego). Łodzianie przystąpili do ofensywy przeciw formalizmowi doskonale przygotowani i z przemyślanym planem. Trzy referaty zjazdowe, jakkolwiek pozornie poświęcone zagadnieniom szczegółowym powieści realistycznej, oświetliły zasadnicze problemy literatury ze stanowiska metody socjologicznej i stosunek jej do formalizmu. Referat pierwszy, o „Zagadnieniu fikcji literackiej" Marii Janion i Tadeusza Drewnowskiego, umieścił

literaturę w rzędzie ideologii i określił ją jako specyficzną formę świadomości społecznej, jako indywidualne, społecznie uwarunkowane odbicie obiektywnej rzeczywistości; tym samym została zaatakowana formalistyczna teza o fikcji jako elemencie konstytuującym dzieło literackie i o nieporównywalności rzeczywistości literackiej z rzeczywistością konkretną. (Referat ten ukaże się w jednym z najbliższych zeszytów „Twórczości").

Łączący się z poprzednim referat Marii Żmigrodzkiej o „Zagadnieniu tendencji w powieści realistycznej" udowadniał, że w dziele literackim postawa poznawcza nierozerwalnie łączy się z wartościującą, a więc teza czy ideologia jest jego integralnym składnikiem; różnice pod tym względem między poszczególnymi utworami mają charakter tylko ilościowy a nie jakościowy. W ten sposób przeciwstawiono się formalistycznemu traktowaniu dzieła literackiego wyłącznie pod kątem widzenia jego „literackości" i negowaniu wartości wychowawczych. Wreszcie ostatni z referatów (praca zbiorowa M. Buczkówny, W. Kiwilszo, A. Pogonowskiej) na przykładzie „Dzieci" Prusa omawiał zależność literatury jako formy społecznej świadomości od społecznego bytu, implicite wykazując niesłuszność formalistycznej izolacji dzieła literackiego od rzeczywistości obiektywnej. Referat ten był stosunkowo najsłabszy; w ogóle prace łodzian, bardzo wartościowe w części teoretycznej, zawodziły przy konkretnej analizie, przeprowadzonej gorzej niż należało tego oczekiwać, chociaż zadanie było ułatwione przez to, że omawiane utwory z intencji autorskich spełniały założenia metody.

Oceniając wyniki pracy koła łódzkiego trzeba uwzględnić jej pionierski u nas charakter oraz dodatkową trudność wynikającą z braku opracowań dziejów gospodarczo-społecznych Polski, odpowiadających współczesnym wymaganiom naukowym. Aby wyświetlić społeczne uwarunkowanie zjawisk literackich, poloniści muszą podejmować się roli historyków. Poloniści łódzcy doskonale rozumieją, że metoda ich daje się na razie zastosować tylko do niektórych fragmentów problematyki literackiej, że socjologiczna synteza literatury przerasta ich możliwości. Doceniając przydatność formalizmu dla celów opisowych, wysiłki swe skupiają na badaniach genezy społecznej utworów literackich i socjologicznej interpretacji sfery ich sensów. Jest to kierunek reprezentowany przez Lukacsa, u nas przez Andrzeja Stawara i Jana Kotta. W przyszłości — idąc śladami Dawida Hopensztanda — Łódź zamierza uzupełnić socjologiczną interpretację sensów — socjologiczną interpretacją sfery kształtów dzieła literackiego.

Tak więc problematyka badań została w porównaniu z formalizmem rozszerzona przede wszystkim o zagadnienia genetyczne i analizę tego, co można nazwać za Plechanowem socjologicznym ekwivalentem danego utworu literackiego. W dalszym ciągu jednak nie traci ważności i poozstaje otwarte zagadnienie inne, węzłowe dla nauki o literaturze, która jest przecież ideologią specyficzną, która jest — sztuką. „Trudność leży nie w tym — pisał Karol Marx — by zrozumieć, że sztuka i epos grecki są związane z określonymi społecznymi formami rozwoju. Trudność leży w zrozumieniu tego, że wciąż dają nam one rozkosz artystyczną i w pewnym sensie zachowują znaczenie normy i niedoścignionego wzoru" („Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej"). W przyszłości badania kierunku socjologicznego zwrócą się niewątpliwie i do problematyki tego typu.

Ofensywę swą — wspartą walnie referatem Stefana Żółkiewskiego o „Aktualnych zagadnieniach badań literackich" i wystąpieniami Jana Kotta — przeprowadziła grupa łódzka spokojnie i konsekwentnie —

w warunkach jednak dość trudnych. Łodzianie chcieli przekonywać, a tu trzeba było — jak pokazała dyskusja — zacząć od informowania. Metoda socjologiczna wciąż jest — z niezbyt licznymi wyjątkami — dziedziną nieznaną polonistom, i to niezupełnie z ich winy. W najlepszym wypadku wiedzą o niej tyle, ile zrozumieli z paru zawiłych przez swą zwięzłość stronic w pracy Budzyka o stylistyce teoretycznej w Polsce oraz ile wywnioskowali (nie zawsze trafnie) z rozpraw Hopensztanda, Kotta i Stawara. Oczywiście grupa łódzka nie mogła temu złu zaradzić, ale — jak widać — nie dość się z nim liczyła i nie zatroszczyła się o przystępność swych wywodów. Argumentacja jej przy tym walczyć musiała nie tyle z kontrargumentami, co z jawnymi i ukrytymi uprzedzeniami ideologicznymi i oporami emocjonalnymi. „Ja osobiście nie lubię metody socjologicznej" — oto jedna z autentycznych wypowiedzi zjazdowych.

Jakież wyniki? Otóż bezwzględnym sukcesem łodzian jest przekonanie przeciwników o związku literatury z rzeczywistością społeczną, o konieczności interpretacji socjologicznej dla zrozumienia dynamiki literatury. Mit formalistyczny o jej autonomiczności został rozbity. Oczywiście, nie oznacza to bynajmniej przejścia młodzieży polonistycznej na pozycje materializmu historycznego; od tego odżegnywano się w dyskusji z naciskiem. Pochopny konsens na badania genetyczne trzeba przyjąć z ostrożnością tym większą, że niektórzy z uczestników zrozumieli je zupełnie opacznie. Jeden z nich np. w dobrej wierze szukał relacji między literaturą a jakąś rzeczywistością „biopsychiczną". Czy to przypadkiem nie naturalizm, który wyrzucony ongiś przez antypozytywistyczne drzwi, próbuje teraz powrócić oknem pseudosocjologii?

Trudniej jeszcze o porozumienie w dziedzinie zasad wartościowania utworów literackich, co wynika naturalnie z odmienności założeń ontologicznych (utwór literacki jako „przedmiot estetyczny" czy wypowiedź specyficznego typu na temat rzeczywistości). Sformułowana z polemiczną ostrożnością i — jednostronnością teza, że „rzeczywista i prawdziwa wartość literatury to jej wartość poznawcza i wychowawcza" spotkała się z gorącym sprzeciwem formalistów. To zresztą nie przeszkodziło tym samym uczestnikom zjazdu solidaryzować się z wypowiedziami publicystów katolickich, postulujących właśnie cele poznawczo-wychowawcze literatury i podkreślających społeczną odpowiedzialność pisarza za jego twórczość. Widoczna niekonsekwencja jest jeszcze jednym dowodem słuszności wyżej wysuniętej tezy o rodowodzie dzisiejszego formalizmu.

Przy tych tak wielostronnych zastrzeżeniach należy przecież ocenić zjazd pozytywnie. Przyczynił się on w znacznym stopniu do wyjaśnienia stanowisk i usunięcia wielu zbędnych nieporozumień, które wynikały — z niezrozumienia się. Pobudził do przemyślenia wielu spraw i w ogóle ożywił zainteresowania teoretyczne. Przede wszystkim zaś w dyskusjach zjazdowych zaznaczył się początek przełomu w naszej najmłodszej polonistyce: przezwyciężenie jednostronności i ciasnoty formalizmu, zwrot do zagadnień genetycznych, do usytuowania twórczości literackiej w rzeczywistości społecznej.

Jest w tym niewątpliwie duża zasługa zespołu łódzkiego, którego dynamiczna, odważna postawa i rzetelna, dobrze zorganizowana praca kolektywna budzą szacunek również wśród przeciwników ideologicznych. W jednogłośnym wyborze Łodzi na siedzibę Związku w roku 1948 wolno widzieć nie tylko dowód uznania dla dorobku organizacyjnego i naukowego tamtejszego ośrodka, lecz także zewnętrzny odpowiednik zaznaczonego powyżej zwrotu. Dobrą wróżbę na przyszłość.

Henryk Markiewicz

„CZYTELNIK" ZNOSI ROGATKI KULTURALNE

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" święciła w październiku br. trzechlecie swego istnienia i działalności wydawniczej oraz oświatowo-kulturalnej. Jako nowy zupełnie i nie spotykany nigdzie model spółdzielni, został „Czytelnik" zorganizowany dla dokonania w naszym życiu kulturalnym „łagodnej rewolucji". Najważniejsze cele, jakie przyświecały organizatorom, były następujące:

a) upowszechnić książkę, udostępnić ją każdemu, a przez to podnieść kulturalnie ogół społeczeństwa; wyrwać handel książką z rąk prywatnego kapitalisty, nie liczącego się często zupełnie z kulturalnym i oświatowym posłannictwem książki. Dążeniem Spółdzielni było i jest, by książka była dobra, piękna i tania, by przestała być artykułem „zbytku" dostępnym tylko dla nielicznej grupy „wybranych";

b) zorganizować jak najliczniejsze zastępy ludzi pracy w szeregach członków Spółdzielni i dostarczyć im książki i czasopisma w ramach Centrali Bibliotek Ruchomych, co ma na celu zainteresowanie sprawami oświaty i kultury jak najszerszych mas społeczeństwa;

c) zbliżyć wzajemnie pisarza i czytelnika tak, by „szary człowiek" nie był tylko biernym odbiorcą literatury, ale by miał możność wpływać na to, co się pisze i jak się pisze i przez to stał się niejako współtwórcą książki, która stanowić ma jego pokarm duchowy. W tym celu Inspektoraty Kulturalno-Oświatowe Spółdzielni organizują „Wieczory autorskie" pod hasłem „Pisarze wśród swoich czytelników", cieszące się wielkim powodzeniem szczególnie u starszej młodzieży szkolnej.

Trzyletnie istnienie i stały rozwój Spółdzielni świadczy wymownie o tym, że została ona oparta na słusznych założeniach i — co ważniejsza — że była w naszej nowej rzeczywistości powojennej bardzo potrzebna, ponosząc znaczną część trudu nad odbudową i rozbudową boleśnie przez wojnę doświadczonego życia kulturalnego, oraz przygotowując nowe koncepcje i nowe drogi prowadzące najszybciej i najskuteczniej do prawdziwego upowszechnienia kultury i oświaty wśród dosłownie pojętych mas społeczeństwa.

Czy i o ile, oraz w jakich rozmiarach udało się Spółdzielni zrealizować w ciągu trzechlecia jej istnienia i działalności te założenia i ambicje? Jaka jest postawa społeczeństwa wobec Spółdzielni i jak ocenia ono dorobek i dotychczasową jej działalność? Najlepszą i najbardziej miarodajną odpowiedź dały zjazdy, które niedawno odbyły się w Warszawie, a mianowicie: w dniu 14 września br. Krajowy Zjazd Pełnomocników Powiatowych Spółdzielni oraz 26 października br. Walny Doroczny Zjazd Delegatów Kół „Czytelnika".

O każdym z tych zjazdów pomówimy osobno, gdyż zarówno ich charakter jak i ludzie biorący w nich udział stanowią w znacznym stopniu różne elementy sprawy. Zjazd Pełnomocników Powiatowych miał charakter organizacyjny i w pewnym sensie opiniodawczy, jeśli chodzi o przegląd dotychczasowej działalności Spółdzielni i przedyskutowanie, a także ustalenie planu pracy na nadchodzący okres jesienno-zimowy w zakresie organizacyjnym i kulturalno-oświatowym. Drugi Zjazd był zebraniem dorocznym, statutowym i zawierał wszystkie elementy tego rodzaju zjazdów.

Jeśli chodzi o uczestników obydwu zjazdów, to pod tym względem także różniły się one zasadniczo. Zjazd Pełnomocników Powiatowych był zjazdem czynnych oświatowców zawodowych, Inspektorów Szkolnych lub Podinspektorów oświaty i kultury dla dorosłych z poszczególnych Inspektoratów Szkolnych. Drugi Zjazd reprezentował rzesze członków „Czytelnika" z terenu całej Rzeczypospolitej. Wśród delegatów poszczególnych Kół

Członków byli ludzie najrozmaitszych zawodów: byli robotnicy, chłopi, rzemieślnicy, kupcy, nauczyciele wszelkich typów szkół, studenci i uczniowie szkół średnich. Można śmiało powiedzieć, że wszystkie tzw. warstwy społeczne i wszystkie zawody były reprezentowane na Walnym Zjeździe Delegatów, brali w nim udział 18-letni uczniowie i sędziwi starcy. Jest to nie podlegający dyskusji dowód, że Spółdzielnia w myśl swych założeń służy całemu społeczeństwu i skupia w swoich szeregach coraz szersze jego masy. I to stanowi jej siłę i nadaje wielką wagę jej poczynaniom, które nie mogą nie zaważyć wybitnie na odradzającej się i upowszechniającej kulturze polskiej. Dla każdego, kto choćby tylko obserwował Zjazdy, staje się to sprawą najzupełniej oczywistą.

Zacznijmy od przeglądu Zjazdu Pełnomocników Powiatowych. Jedna z sal Sejmu RP zapełniła się w dniu 14 września br. Pełnomocnikami Powiatowymi, którzy reprezentowali ponad 200 powiatów z terenu całej Polski. Olbrzymią większość stanowili ludzie, którzy mają już w swoim dorobku całe lata działalności oświatowej przed wojną i za okupacji — w walce i oświacie podziemnej, ludzi, którzy w Polsce wyzwolonej pierwsi stanęli do ciężkiej pracy nad wskrzeszeniem i odbudową wyniszczonego materialnie i moralnie szkolnictwa polskiego.

Obrady Zjazdu poprzedziła audycja wykonana przez warszawski „zespół żywego słowa". Z wykonanych utworów najwięcej momentów emocjonalnych dostarczył zebranym wiersz Juliana Tuwima „Budowali biały dom..." Zjazd otworzył dyrektor Instytutu Kulturalno-Oświatowego, prof. Stanisław Tazbir. W krótkich słowach przypomniał mówca zebranym cele i zadania Instytutu oraz wagę, jaką przywiązuje on do pracy Pełnomocników Powiatowych, działających w terenie i znających najlepiej jego potrzeby w zakresie kulturalno-oświatowym. Na zakończenie prof. Tazbir zwrócił się do zebranych z prośbą, by w dyskusji odnieśli się rzeczowo i obiektywnie do będących na porządku dziennym Zjazdu spraw, aby nie ograniczali się do pochwał tego czy innego osiągnięcia Spółdzielni, lecz również zwracali uwagę na niedociągnięcia oraz starali się podsuwać istotne i ważne dla terenu korektury w dotychczasowej działalności „Czytelnika". Wyjdzie to na pożytek samej instytucji i tym wszystkim, którym pragnie ona służyć.

Następnie przewodniczący udzielił głosu prezesowi Spółdzielni, ob. Jerzemu Borejszy, który wygłosił dłuższy referat, obejmujący trafne uwagi o kształtowaniu się nowej rzeczywistości polskiej: o przemianach socjalnych, społecznych i politycznych oraz o miejscu, jakie wśród tych przemian zająć ma życie kulturalne naszego narodu; o zagadnieniach dotyczących naszej literatury współczesnej i jej roli w kształtowaniu światopoglądu społecznego, o budowaniu i upowszechnianiu kultury wśród najszerszych mas społeczeństwa — tych mas, które dotychczas stanowiły świat odrębny, bo dobra kulturalne nie były dla nich dostępne, bo mimo swą liczebność i znaczenie gospodarcze nie były dopuszczone do należytego udziału w tworzeniu się i rozwoju kultury. To stworzenie sztucznych „rogatek" między wsią i miastem, między poszczególnymi „warstwami" narodu przyniosło w konsekwencji przeświadczenie, jakoby istniały odrębne „kultury": chłopska, robotnicza, inteligencka... W konsekwencji aptekarze zaczną mówić o „kulturze aptekarskiej", rzemieślnicy o „rzemieślniczej", a lekarze i weterynarze — nie chcąc pozostać w tyle — upomną się o swoje kultury. Karykaturalny paradoks!

„To operowanie sztucznymi, z kierunkiem naturalnego rozwoju sprzecznymi koncepcjami regionalizmu albo środowiskowości musi być obce tym, którzy współtworzą nowy typ kultury, jednej kultury narodo-

wej. Nie ma w Związku Radzieckim, nie ma we Francji, nie ma nawet w Anglii i nie ma w żadnym kraju, który przebył jakieś etapy rozwoju, oddzielnej literatury chłopskiej, ani oddzielnej literatury robotniczej, czy odrębnych literatur innych środowisk. Jest jedna kultura narodowa. Czy ona już u nas powstała, to jest zagadnienie odrębne" (Jerzy Borejsza: „Na rogatkach kultury polskiej", wyd. „Czytelnik", 1947, str. 14). Dalej mówca rozprawia się z tymi, którzy usiłują przekreślić dotychczasowy dorobek kulturalny Polski i tworzyć jakąś zupełnie nową kulturę i nową oświatę: „Słyszymy nieraz, jak ludzie młodzi, bez dostatecznej znajomości dziejów tej pracy w naszym kraju, w czambuł potępiają wszystko, co było przed nimi, i odżegnywują się od wszystkiego bez wyjątku, co w tej dziedzinie zdziałano w okresie przedwojennym. Skłonni są oni nawet z tą właściwą młodzieży pewnością siebie utrzymywać, że przed nimi nie było absolutnie nic i że dopiero od nich rozpoczyna się nowa era i nowy świat". — Nie będziemy jednak streszczać w całości słusznych wywodów mówcy, tym bardziej, że zostały one zawarte w cytowanej broszurze, wydanej drukiem właśnie na skutek jednogłośnie wyrażonego życzenia Pełnomocników: w dyskusji nad referatem wyłoniła się bowiem myśl, podjęta z wielkim aplauzem przez wszystkich zebranych, aby cenne jego sformułowania udostępnić nie tylko członkom Spółdzielni, ale i szerszym kręgom społeczeństwa. „Na rogatkach kultury polskiej", wydane na podstawie stenogramu odczytu przez Zarząd Główny Spółdzielni w październiku br., przeczyta każdy, komu zagadnienia kulturalne Polski nie są obojętne.

Znaczną część swego referatu poświęcił prezes Borejsza sprawie książki i czasopisma w działalności kulturalno-oświatowej, oraz roli, jaką „Czytelnik" pragnie odegrać w tym kluczowym zagadnieniu obudzenia oraz zaspokojenia potrzeb kulturalnych mas. „Czytelnik" — jako nowy i nieznany gdzie indziej model Spółdzielni — popełniał przez pierwsze trzy lata swej działalności błędy, ale z tych błędów starał się dobywać naukę na przyszłość. Obecnie, w trzecią rocznicę istnienia, „Czytelnik" może swoim członkom ofiarować książkę nie z 10%, ale z 30% rabatem, a czasopisma z 25% zniżką. Spółdzielnia pragnie bowiem skupić w swoich szeregach całe społeczeństwo i wciągnąć je do aktywnego udziału w wytwarzaniu dóbr kulturalnych przez kontakty z pisarzami, przez wymianę myśli z nimi na temat ich dzieł wykonanych i zamierzonych tak, aby książka dana do ręki czytelnika nie była przypadkiem i przygodną strawą duchową, lecz by wyrosła z istotnych potrzeb całego społeczeństwa. Nasze pisma literackie muszą wyzbyć się elitaryzmu, muszą pisać językiem zrozumiałym dla każdego — dla chłopa i robotnika, a nie tylko dla inteligenta, i to nawet nie każdego. Pod adresem czasopism literackich i pisarzy pada z ust mówcy kilka cierpkich uwag na ten temat. Że uwagi te — choć gorzkie, były jednak prawdziwe, świadczy żywa reakcja sali, która w tym momencie nagrodziła mówcę oklaskami.

Nie sposób w krótkim sprawozdaniu omówić w całości bogatą problematykę referatu. Pragnę jeszcze tylko kilka słów poświęcić jednej sprawie. Nie mamy w Polsce — stwierdził mówca — żadnego planu kulturalnego; są plany w różnych dziedzinach życia, brak przecież planu kulturalnego; niektórzy usiłują tłumaczyć to tym, że „życie kulturalne nie podlega prawom", bo „*spiritus flat, ubi vult*"; nie może to być jednak argumentem sankcjonującym przypadkowość i bezplanowość. Taka postawa wobec spraw kultury naraża nas na marnotrawstwo energii i środków, na „deptanie sobie po piętach", na kramarską „konkurencję" w pracy oświatowo-kulturalnej lub zakusy na monopolistyczne dysponowanie

„kulturą" przez różne wydziały i departamenty. Plan kulturalny pozwoli skonsolidować ludzi i środki, zsynchronizować działanie, skierować strumień intensywnego oddziaływania na wieś i do środowisk robotniczych, pozwoli raz na zawsze znieść owe „rogatki kultury" i wszelkie zapory hamujące rozwój i postęp kulturalny.

Jak poprzednie tezy mówcy, tak i ta została nagrodzona żywymi oklaskami zebranych.

Na temat referatu rozwinęła się bardzo żywa dyskusja, w której zabierali głos niemal wszyscy Pełnomocnicy, pokreślając zgodność oświatowców polskich ze stanowiskiem prezesa. Stworzenie wielkiego planu przebudowy kulturalnej kraju jest potrzebą naglącą. Plan taki, jako ogólnopaństwowy, winien być opracowany przy współudziale wszystkich sił w państwie, które trudzą się obecnie — każda na swój sposób i z osobna — nad odbudową i przebudową naszej kultury.

W dalszym ciągu ciekawej dyskusji podkreślano z naciskiem doniosłość powziętych przez Zarząd Główny decyzji w sprawie rozpowszechniania żywego i drukowanego słowa przez Spółdzielnię. Domagano się przez przedstawicieli Ziem Odzyskanych i powiatów Polski centralnej jeszcze większego wysiłku w pracy kulturalnej na tych ziemiach, by szybciej i nierozerwalnie związać je z Macierzą, a także przyspieszyć proces repolonizacji autochtonów. Podkreślono równocześnie wielki dotychczasowy wkład pracy „Czytelnika" w dzieło odbudowy kulturalnej Ziem Odzyskanych.

Wielu mówców podnosiło wielkie znaczenie kulturalne wydawnictwa „Wiedza Powszechna", zaliczając je do bardzo ważnych wydarzeń kulturalnych. Wydawnictwo wypełnia lukę, która bardzo dotkliwie dawała się odczuwać w pracy oświatowej, a w szczególności w pracy samokształceniowej.

W długiej i szczegółowej dyskusji omówiono wszystkie zagadnienia związane z dotychczasową działalnością oraz wysunięto postulaty, które Zarząd Główny winien wziąć pod uwagę przy planowaniu pracy na dalszy okres.

W szczególności domagali się Pełnomocnicy wydatnego zwiększenia ilości kompletów książek Centrali Bibliotek Ruchomych i rzucenia ich na „ugory", mianowicie na wieś i do środowisk robotniczych, tam, gdzie jeszcze akcja oświatowa i kulturalna niedomaga. Tam też należy skierować czasopisma i gazety. Że wieś potrzebuje słowa drukowanego odpowiedniego dla niej, świadczy fakt niezwykłego sukcesu „Rolnika Polskiego", który w tak krótkim czasie zdobył sobie 160.000 abonentów na wsi. Jeśli się weźmie pod uwagę, że jeden egzemplarz jest czytany przez kilka, a może nawet kilkanaście osób, będziemy mieli obraz, jak ogromne znaczenie ma pismo czytane przez kilkaset tysięcy naszych rolników. Zwrócono również uwagę na doniosłe znaczenie inicjatywy Zarządu Głównego odnośnie „Klubów książki"; są już one w stadium realizacji. Spółdzielnia w dalszym ciągu winna dążyć uparcie do wytworzenia na odcinku kulturalnym kraju sytuacji, w której książka stanie się „artykułem pierwszej potrzeby", równie powszechnym i niezbędnym jak chleb.

Tylko w sposób bardzo ogólny i „stylem telegraficznym" mogę przedstawić całość dyskusji i bardzo ciekawych, trafnych i cennych uwag i wniosków, tym cenniejszych, że pochodzą one od ludzi, którzy pracą oświatowo-kulturalną zajmują się nie przypadkowo i nie z amatorstwa lub pobudek charytatywnych, lecz od lat tkwią w terenie i tętno tego terenu najlepiej znają i czują.

Dalszy ciąg obrad zajęły referaty o charakterze instrukcyjno-organizacyjnym, których tu streszczać nie będę z uwagi na ich specjalny charakter.

Inny charakter miał Walny Zjazd delegatów Kół Członków „Czytelni-

ka". Uderzało przede wszystkim to, że obok wąsatego gazdy z Podhala lub zadzierżystego Mazura spod Warszawy czy Łodzi siedział śląski górnik, łódzki robotnik, nauczyciel wiejski i nauczyciel gimnazjalny, inżynier, kupiec, rzemieślnik... i cała mozaika „stanów". Tu i ówdzie na kolanach młodzieńca 18-letniego zaledwie spoczywała szkolna lub studencka czapka. I ci ludzie, współgospodarze wielkiego dzieła — Spółdzielni, razem zebrani w wielkiej sali Domu Akademickiego w stolicy radzili nie tylko nad sprawami gospodarczymi, wydawniczymi, finansowymi swej Spółdzielni, ale radzili nad sprawą — kultury. Trudno mówić o tym bez wzruszenia. Widok tych ludzi utwierdza nas w wierze Wyspiańskiego, że „jest tyle sił w narodzie, jest tyle mnogo ludzi...", którzy — wierzymy — sprawy kultury polskiej potrafią równie krzepko ująć w twarde od pracy ręce, jak potrafią bić w skałę węglową kilofem, jak potrafią orać pługiem życiodajną ziemię... Czytelnik wybaczy tę odrobinę „literatury" w suchym sprawozdaniu, ale kiedy się to widziało, a teraz przy pisaniu przeżywa po raz drugi, wraca i tamto wzruszenie...

Nie będę streszczał części sprawozdawczych, naszpikowanych cyframi i wykresami. Ciekawy znajdzie to wszystko w opublikowanym Sprawozdaniu. Na podkreślenie zasługuje postawa zebranych. Zjazd odbywał swe obrady pod wytrawnym i sprężystym kierownictwem ob. ministra Kazimierza Rusinka, prezesa Rady Nadzorczej Spółdzielni. Po krótkim i zwięzłym przemówieniu ministra, obrazującym osiągnięcia „Czytelnika" i szkicującym w sposób ogólny drogi rozwojowe, po jakich kroczyć zamierza w przyszłości Spółdzielnia, zabrał głos prezes Zarządu Głównego Jerzy Borejsza, który w streszczeniu podał najważniejsze zagadnienia poruszone w omawianym już wyżej referacie. Prawdziwy entuzjazm wśród zebranych wywołało stwierdzenie faktu, że „wybudujemy nie tylko w szkle, betonie i stali, ale i w życiu narodu — murowany DOM SŁOWA POLSKIEGO".

Po wyczerpaniu przemówień i sprawozdań Zarządu i kierowników poszczególnych agend i resortów wywiązała się bardzo bogata w treść dyskusja. I znów sprawozdawca ma ten sam kłopot — nie może w niniejszym sprawozdaniu oddać wiernie wszystkiego. Przytoczymy najbardziej charakterystyczne wypowiedzi delegatów. Oto młody chłopiec, uczeń liceum na Ziemiach Zachodnich, z właściwym młodzieży zapałem stwierdza publicznie, że młodzież ma wielki dług wdzięczności wobec „Czytelnika" za dostarczenie Kołom Członków w szkołach książek, które umożliwiają jej poznawanie ojczystej literatury i w ogóle umożliwiają w większym stopniu korzystanie z dobrodziejstw nauki. Prosi o dalszą pamięć o młodzieży szczególnie Ziem Zachodnich, gdzie książka polska jest tak potrzebna...

Inny delegat, nauczyciel, podkreśla zbawienny wpływ akcji kulturalno-oświatowej „Czytelnika" na wsi, gdzie nie tylko chłop odczuwa brak słowa drukowanego, ale także inteligent wiejski — nauczyciel, ksiądz i inni. Apeluje o zdwojenie wysiłków w najbliższym okresie pracy. Delegat koła robotniczego dziękuje „Czytelnikowi", że dzięki jego akcji świetlica fabryczna lepiej spełnia zadania oświatowe i wyciąga ludzi z szynku, budząc w nich zdrowsze ambicje dążenia wzwyż i kształtowania swego charakteru. I chłop w słowach prostych i nieuczonych opowiada, jak „Czytelnik" przez słowo drukowane i inne środki oświatowo-kulturalne przyczynia się walnie do budzenia myśli mas chłopskich, do ożywiania często zupełnie zamarłego życia kulturalnego na wsi.

I tak owi ludzie, o różnych poziomach umysłowych, o różnych charakterach i temperamentach, ludzie różnych zawodów, o takich czy innych naleciałościach gwarowych w wysłowieniu, zgodnie, w najwięk-

szej harmonii radzą o sprawach kultury, zdają sprawę z wyników dotychczasowego działania. Gdyby tak nasi pisarze, przynajmniej niektórzy, raczyli zejść w ten radzący o kulturze tłum ludzki, wsłuchać się w jego głosy, przyswoić sobie zdrowe myśli, choć wypowiedziane nieporadnym językiem — wyszłoby to na dobre i ich twórczości „dla mas", i tym masom; przybliżyłoby to znacznie upragniony cel, który im szczególnie powinien być bliski. Może jest bardziej romantycznie i poetycznie znajdować się w roli „niezrozumianego wieszcza", ale dla pisarza demokratycznego jest daleko praktyczniej i pożyteczniej osiągnąć cel — „zabłądzić swymi księgami pod strzechy" i do fabryk dymiących...

W krótkich słowach starałem się oddać ducha tego bardzo pouczającego zjazdu. Po wyczerpaniu dyskusji przystąpiono do obowiązków, jakie normalnie ciążą na zjeździe statutowym. Wszystkie przedłożenia Zarządu Głównego w harmonijnej atmosferze zostały uchwalone wraz z życzeniami dalszej owocnej pracy dla Zarządu Głównego.

Dlaczego tym dwom zjazdom poświęcamy odrębną uwagę? Ponieważ zjazdy takie, jak literatów, młodych polonistów etc. z konieczności posiadają charakter fachowy, a o istotnych potrzebach kulturalnych społeczeństwa mówi się na nich tylko w sposób zastępczy. Dopiero takie jak na zjazdach „Czytelnika" zetknięcie się z masowym, z terenu całej naprawdę Polski pochodzącym odbiorcą i organizatorem kultury polskiej w jej podstawowych komórkach mówi o tych potrzebach bezpośrednio. Mówi z pełnym zaufaniem w jej przyszłość, z wiarą, że nowe formy organizacyjne najlepiej gwarantują przechowanie dorobku narodowego.

Franciszek Strojowski

N O T Y

TWÓRCZOŚĆ TEATRALNA W ZSRR

Miesięcznik *Teatr* wydał numer specjalny, poświęcony twórczości teatralnej Z. S. R. R. Można się z niego wielu rzeczy dowiedzieć, można rozszerzyć swą wiedzę nie tylko o teatrze Z. S. R. R., ale i o całym współczesnym zagadnieniu teatralnym. Porównania nasuwają się ustawicznie. Bo nic tak nie pobudza do myślenia w humanistyce — jak metoda porównawcza. Zjawiska podobne, rozwijające się w różnych środowiskach i w odrębnych warunkach, pozwalają na uogólnienia, na wyciąganie wniosków i syntezy, do których nie bylibyśmy zdolni, badając fakty izolowane.

Obserwujemy na przykład w życiu teatralnym ścieranie się różnych kierunków artystycznych, różnych stylów, różnych rozwiązań w sprawach spornych. Takie starcia są zjawiskiem charakterystycznym w sztuce współczesnej, o wiele bardziej heterogenicznej niż np. neoklasycyzm czy romantyzm. W Z. S. R. R. walka różnych kierunków była cechą oczywistą pierwszych lat porewolucyjnych. Pisze o tym na łamach *Teatru* J. Warszawski:

„Widowiska reżysera-nowatora Wachtangowa, zdumiewające widza nowością i paradoksalnością metod inscenizacyjnych i niecodziennym traktowaniem dawnych sztuk, gwarne premiery teatrów, pretendujących do nazwy „lewych", bufonada gimnastyczna w inscenizacjach Sergiusza Eizensztejna, który przemieniał bohaterów Ostrowskiego w ekscentryków cyrkowych, masowe „sprawy" na placach i boiskach z tysiącznymi tłumami uczestników-widzów, samochodami i kawalerią; widowiska agitacyjne na palące „tematy dnia" w klubach żołnierskich i robotniczych, teatry otwarte dla najszerszych mas rewolucyjnego ludu i kapliczki-kółka „nadestetów" chcących tworzyć jedynie dla najwykwintniejszego kręgu wyrafinowanych snobów... Nie łatwo było znaleźć główne, decydujące tendencje w tych różnorakich wydarzeniach teatralnych".

Zwolna ów chaos najsprzeczniejszych tendencyj przeobraził się w walkę dwóch głównych kierunków, psychologiczno-realistycznego, reprezentowanego przez Teatr Artystyczny Stanisławskiego i Niemirowicza-Danczenki, oraz skrajnych nowatorów, głoszących ideę teatru konwencjonalnego, „umownego". Walkę tę nazywa pięknie Julian Wołoszynowski w innym artykule *Teatru* starciem „teatru słonecznego" i „teatru księżycowego". Stanisławski bronił: jasności, dostępności, prawdy psychologicznej, decydującego znaczenia tekstu literackiego (a więc i dramaturga) w teatrze, ewolucyjnego rozwoju sztuki (czyli wzbogacania i rozwijania tradycji, a nie zrywania z nią) itd. Nowatorzy kładli nacisk na ekspresję, wizyjność i na dominującą rolę reżysera. Zwyciężył Stanisławski; jednak z doktryny nowatorskiej przyjęto zasadę dosadności, ekspresji, celowej jaskrawości aktorsko-inscenizacyjnej.

Ostateczny rezultat to styl realizmu socjalistycznego. „Jest to pojęcie niezmiernie rozległe; są w nim i elementy realizmu klasycznego i romantyzmu rewolucyjnego, i tradycje dawnej sztuki ludowej, i najnowsze osiągnięcia współczesnej myśli twórczej. I, mimo wszystko, jest to pojęcie dostatecznie ustalone i wyraźne". Tak pisze Warszawski, a w zakończeniu swego essayu stwierdza — że pojęcie rozwija się ciągle, „niezmienną zasadą staje się... jedynie wysoka ideowość, nieskazitelna prawda życiowa, umiejętność łączenia realistycznego pokazu teraźniejszości i przeszłości z romantycznym marzeniem o przyszłości, wierność wszelkim tradycjom twórczości narodowej".

Bardzo dobrą ilustracją panującego w Z. S. R. R. stylu teatralnego jest zawarty w artykule Jarosława Iwaszkiewicza prze-

gląd repertuaru teatrów moskiewskich. „Oczywiście na pierwszy plan wysuwa się ojciec teatru rosyjskiego, Gogol — a obok niego przewyższający go już samą ilością utworów dramatycznych Ostrowski. Ostrowskiego grają wszędzie, najrozmaitsze jego dramaty i komedie". Trzecim klasykiem dramaturgii rosyjskiej jest Czechow, którego wszystkie dzieła grywa wyrosły na kulcie tego pisarza Teatr Artystyczny, przy czym: *Diadia Wania*, *Czajka* i *Trzy siostry* idą teraz w tej samej reżyserii i w tych samych dekoracjach, co przed trzydziestu czy czterdziestu paru laty".

Oprócz tej trójcy grywani są także: Puszkin, Gribojedow, Gorki i Aleksy Tołstoj. Kult klasyków i przekonanie o konieczności stałego ich uwzględniania w repertuarze dotyczy zresztą także twórczości obcej. Grany jest cały Szekspir, a także Molier, Goldoni, Lope de Vega, Calderon. Ze współczesnych głównie Shaw i Priestley — i oczywiście dramaturgowie rodzimi. Iwaszkiewicz przytacza interesujący fakt, że sztuki współczesnych pisarzy sowieckich są przeważnie osnute na tle tematyki wojennej.

Kilka artykułów omawianego numeru *Teatru* zapoznaje nas z panującym dziś w Z. S. R. R. kultem Szekspira. Np. bardzo pouczający jest szkic Eugeniusza Żytomirskiego o interpretacji *Hamleta* na scenach Z. S. R. R. W teatrze Wachtangowa w Moskwie zagrano arcydzieło Szekspira w sposób ironiczny (obłąkany Hamlet występował w nocnej koszuli, z olbrzymią marchwią w ręce, król Klaudiusz biegał po scenie w kalesonach, itp.). Natomiast w teatrze leningradzkim *Hamlet* był obrońcą idei celu, woli i aktywności. Ciekawy eksperyment podjęto w czasie festiwalu szekspirowskiego w Armenii (rok 1946), gdyż rolę Hamleta kreowali na zmianę dwaj aktorzy, jeden jako Hamlet „tradycyjny", a drugi — „nowatorski".

Najmniej można się, niestety, dowiedzieć z artykułów *Teatru* o współczesnej dramaturgii sowieckiej. Jest to najbardziej uderzająca luka w omawianym wydawnictwie. Kończąc lekturę nie umiemy sobie odpowiedzieć na pytanie: Jacy są główni twórcy współczesnego dramatu sowieckiego? Jaka jest tematyka tego dramatu? Jakie główne jego kierunki? Jakimi środkami artystycznymi posługują się owi twórcy? Jakie są w Z. S. R. R. zasady ustalania repertuaru współczesnego? Jeśli już nie można było zdobyć na ten temat szkicu syntetycznego, należało dać przynajmniej sylwety najwybitniejszych pisarzy, zestawienie statystyczne repertuaru — i omówić przykładowo kilka najbardziej interesujących sztuk.

Nie zaspokaja również *Teatr* naszej uzasadnionej ciekawości w innej jeszcze sprawie. Przytoczono na wstępie słowa Tairowa o Wielkiej Rewolucji Październikowej: „Dała ona naszemu teatrowi, jak i całemu życiu, nową bazę ekonomiczną, dzięki której teatr nasz stracił charakter przedsiębiorstwa handlowego, gdzie sprawy maleńkiego okienka kasowego dominują nad sprawą wielkiego okna scenicznego".

Jest to doniosłe zagadnienie komercjalizmu teatralnego. W teatrach opartych na zasadach odpłatności, zysku i kalkulacji zasadniczym miernikiem wartości jest — kasa. Wynikają z tego różne konsekwencje ujemne. Po pierwsze: teatr dostosowuje swe ceny nie do możliwości finansowych szerokich rzesz, lecz do wymagań i potrzeb ludzi najbogatszych; tworzy się więc teatr elity, i to nie intelektualnej, lecz finansowej. Po wtóre: praca teatru, a zwłaszcza jej koszty, są podporządkowane obcym sztuce, a często sprzecznym z jej duchem, względom finansowym. Po trzecie, ponieważ powodzenie kasowe jest trudne do obliczenia, w teatrze prowadzonym komercjalnie zjawia się dążność, by poziom repertuaru i gry przystosować nie do najlepszego i najinteligentniejszego, lecz do najgorszego widza. To prowadzi do nieuchronnego upadku sztuki dramatopisarskiej oraz degradacji aktora i reżysera.

Zwolennicy komercjalizmu teatralnego odpowiadają na to, że „okienko kasowe" jest jedynym dostępnym sprawdzianem oddziaływania sztuki na widza i budzonego przez tę sztukę oddźwięku. Argument błędny — gdyż można się powołać na przykład odmiennego postępowania (np. teatr starożytnej Grecji — przykład ten przytacza Leon Kruczkowski). Frekwencja w teatrze niekomercjalnym (jakim był właśnie teatr helleński, a także i misteria średniowieczne) staje się o wiele bardziej przekonywającym (bo niesfałszowanym przez sprawy finansowe) plebiscytem widzów. Byłoby dla nas rzeczą niezmiernie interesującą dowiedzieć się dokładnie, jak wygląda ta sprawa w teatrach Z. S. R. R. Niestety, brak w omawianym numerze *Teatru* wyczerpującej odpowiedzi na ważne to pytanie. Tylko nawiasowo dotyka tych spraw artykuł Jana Kreczmara, wspominając o sposobach obudzenia popytu teatralnego, oraz jedno zdanie w artykule Bronisława Dąbrowskiego o teatrze mas, gdzie cena biletu nie odgrywa roli

A jak wygląda w Z. S. R. R. sprawa krytyki teatralnej? Króciutko wspomina o tym Kreczmar; mówi on, że felietony teatralne ukazują się tylko w czołowych dziennikach oraz w periodykach kulturalno-ralnych. Pisma prowincjonalne recenzyj takich nie zamieszczają, gdyż „pisanie ocen teatralnych w Z. S. R. R. nie może być przywilejem każdego dziennikarza, który akurat ma na to ochotę". Recenzje są za to obszerne i szczegółowe, omawiają przy tym wszystkie bez wyjątku role, nie wyłączając epizodów. Brak obszerniejszego rozwinięcia tej sprawy na łamach *Teatru* oraz scharakteryzowania głównych kierunków krytyki sowieckiej i jej wybitnych przedstawicieli. Nie ma też wzmianki o tak interesującym zagadnieniu, jak dyskusje na temat nowych sztuk w Związku Pisarzy.

Wyczerpująco natomiast ujęte zostało w *Teatrze* zagadnienie plastyki teatralnej (odgrywającej wielką rolę w inscenizacjach teatrów Z. S. R. R.), problemy teatrów dla dzieci, oraz sprawa zainteresowania rosyjskich sfer teatralnych polskim teatrem i dramaturgią. Temu ostatniemu tematowi poświęcony jest wyborny artykuł Natalii Szydłowskiej, który informuje nas m. in., że dużym zainteresowaniem cieszy się w Z. S. R. R. teatr Fredry *(Damy i huzary* doczekały się aż trzech przekładów, przetłumaczono też *Zemstę, Śluby panieńskie* i *Dożywocie),* a także i Słowackiego.

Wiele miejsca poświęcono w *Teatrze* wybitnym rosyjskim inscenizatorom: Stanisławskiemu (mówi o nim rzeczowo i interesująco Wanda Padwa) i Wachtangowowi (o nim informuje Szletyński). Leon Schiller, omawiając historię wpływów teatru Z. S. R. R. na oblicze ideowe scen naszych, kończy konkluzją, że przede wszystkim duch teatru radzieckiego oddziałał przed r. 1939 na naszą twórczość teatralną. Wreszcie trudno nie wspomnieć o interesujących uwagach Ireny Filozof-Korzyniewskiej na temat badań psychologicznych nad aktorem w Z. S. R. R.; artykuł ten jest uzupełnieniem cennych prac autorki nad zagadnieniem psychologii aktorskiej, drukowanych przed wojną w *Przeglądzie Psychologicznym.*

Niemal wszyscy autorzy drukowani w specjalnym numerze *Teatru* piszą stylem jasnym, rzeczowym i ścisłym, bez frazeologii i sztucznego patosu. To wielka zaleta! Dlatego zeszyt omawiany przeczytać warto i przeczytać go powinien każdy, komu nie są obce sprawy teatru i wzorów, jakie zaczerpnąć możemy w teatrze radzieckim.

W. N.

O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ W BIOGRAFII

Nie mogę opisać radości pierwszego, pełnego nadziei wejrzenia na artykuł, w którym p. Jan Dürr-Durski (*Twórczość,* 7-8, 1947) uzupełnia moje szczupłe wiadomości o zapomnianym poecie romantycznym *minorum gentium,* Tadeuszu Ładzie-Zabłockim, opublikowane na tym miejscu przed półtora rokiem (w zeszycie marcowym 1946 r.). Spodziewałem się precyzyjnych — opartych na dokumentach — danych,*) których — jak zaznaczyłem w swym studium — nie posiadam, ani nie będąc z powołania historykiem erudytą, ani nie wyzyskawszy w życiu nadarzających się sposobności do zebrania potrzebnych materiałów w kwestii od dawna mnie interesującej, ale której w pomyślniejszych dla badań warunkach nie miałem czasu się poświęcić. Wyznać muszę, że uważniejsze odczytanie nowej, a właściwie — jeśli nie liczyć mojego skromnego przyczynku — pierwszej pracy poświęconej temu poecie, choć zawsze przecie poświadczyło mi, iż moja inicjatywa może się na coś przydać, rozczarowało mnie jednak nieco, a nawet zmartwiło, z dwóch następujących powodów:

1. Studium moje nie zostało należycie

*) Jak np. wykazana przez W. Borowego („Twórczość", X, 1946) zależność przedrukowanych tu z „Gwiazdy" utworów Zabłockiego od Shelley'a. Przy sposobności wyjaśniam, że akcenty nad słowami, odstępującymi od zwykłego w polszczylnie umieszczenia przycisku na drugiej od końca, zostały postawione — dla ułatwienia czytelnikowi orientacji w rytmie tych wierszy — przeze mnie, nie mogą więc obciążać, jako „dziwactwo", pamięci zmarłego (akurat przed stu laty) poety. Jeśli chodzi o pomoc, jaką mi może okazać ścisłymi informacjami erudyta, nie mogę pominąć bez słowa wdzięczności notatki p. Ludwika Brożka („Twórczość", IX, br.), która potwierdziła autentyczność opublikowanego tu w nrze czerwcowym wiersza Kraszewskiego. Jaka szkoda, że nie znam wymienionych w niej tomów i nie mogę stwierdzić, czy nie ukrywają one więcej takich skarbów, jak wznowiony utwór, wydający się wyjątkiem na tle znanej mi twórczości poetyckiej Kraszewskiego. Zbadać to, przeszukać książki, do których nikt poza wyjątkowymi erudytami nie zagląda, należy do najpilniejszych zadań krytyki i historii literatury polskiej.

zrozumiane. W jego toku wysunąłem pewną „antybrązowniczą" hipotezę, poświęcając jej pół stronicy z ogólnej ilości piętnastu, na których się rozpisałem. Te pół stronicy zaczynam od słów: „ta właśnie okoliczność... przemawia przeciwko... hipotezie, którą by można zbudować opierając się na innych, licznych, lecz niejasnych aluzjach tekstu..." A kończę wykład mych irrewerencyjnych przypuszczeń słowami: „hipoteza kusząca, lecz zbyt wiele świadczy przeciw jej możliwości". W innych zaś ustępach, w których rekonstruuję biografię poety ze szczupłych wiadomości obiektywnych oraz z materiału wydobytego z „książki-autoportretu", rozwijam inną hipotezę snując opowieść o życiu cierpiącego za sprawę wolności i ojczyzny młodziana, i to nie od roku 1839 dopiero, lecz już od 1833 i aż do przedwczesnej śmierci, podnosząc wysoką przewodniczą rolę, którą Zabłocki ze względu na swój poziom umysłowy i wartość etyczną odgrywał wśród współwygnańców na Kaukazie.

Nie samo niezrozumienie mojej intencji mnie zmartwiło. Bardziej jeszcze przekonanie się ponowne, jak mocno tkwią w naszej nauce tendencje „brązownicze", oparte o mit nierozerwalnego sprzężenia w każdym wybitnym Polaku wszelkich zalet umysłowych, twórczych, cnót obywatelskich, a zwłaszcza nieposzlakowanej konduity, jeśli chodzi o historie miłosne i w ogóle „rzeczy drażliwe". Pamiętamy wszyscy, że jednym z najgłośniejszych skandalów literackich „dwudziestolecia" było odkrycie, a raczej ujawnienie przez Boya, iż „pielgrzym z placu d'Alma" był niewiernym małżonkiem, miał romans, a nawet dziecko z panną, która pozostawała pod jego duchowym przewodnictwem. Świeżym, choć małego znaczenia i pewno mało przez kogo zauważonym dowodem trwałości metod brązowniczych była przed paru miesiącami polemika o pewnego ofiarnego działacza podziemia polskiego w czasie okupacji, który życie niemałych zasług w dziedzinie kulturalnej zakończył męczeńską śmiercią, ale który, co tu gadać, jako literat był pretensjonalną nicością. Nie wolno: jeśli oddał życie dla ojczyzny — to i pióro jego musiało posiadać niepospolite zalety!

W wypadku Zabłockiego, nie posiadając prawie żadnych obiektywnych danych do jego biografii, zdany na domysły, których mnóstwo podsuwa tom jego poezji, obowiązany byłem rozpatrzyć wszystkie możliwe hipotezy, dające się z tych domysłów wysnuć, a następnie przymierzyć je do postaci poety tak, jak ona mi się przedstawia. W wyniku tej przymiarki odrzuciłem, jak to wie p. J. Dürr-Durski, hipotezę antybrązowniczą, o czym mówią moje słowa, zacytowane przez niego na stronicy 86, w. 6 od dołu; a więc o trzy wiersze niżej umieszczone słowa o „nieprawdopodobieństwie psychologicznym" tej hipotezy nie mogą być przeciwstawiane mojemu stanowisku, ani też „wnioski, które wyciąga Zawodziński na zakończenie swego studium" nie są tak bardzo „niespodziewane", ani — tym mniej — nie można o nich powiedzieć, iż „nie pokrywają się z całym jego poprzednim rozumowaniem". Hipotezę zaś tę w toku refleksji nad nieznanymi losami utalentowanego Witeblanina byłem obowiązany wysunąć, nie mając żadnych przesądów brązowniczych i nie uważając, że ktoś, kto pół życia poświęcił dla ojczyzny, nie mógł poza tym nieszczęśliwie zagrać w karty albo wplątać się w jakąś nieszczęsną i kompromitującą historię romansową.

Wiem zaś, że w środowisku, z którego pochodził nie brzydzono się służbą w wojsku rosyjskim, która przy tym, w warunkach nieustającej przez lat sześćdziesiąt wojny na Kaukazie, mogła pociągać romantyczniejsze natury perspektywą wielkiej przygody w egzotycznym kraju. Ot, niedaleko od osoby Zabłockiego szukając, stryj rodzony tej panny, która wyszła za Onufrego (prawdopodobnie bratanka Tadeusza), aby stać się podporą jego złamanego przez powstanie styczniowe i Sybir życia, stryj tej panny, nie o wiele młodszy od Tadeusza (urodzony koło 1820 r.), służył przez całe życie na Kaukazie, dosłużył się stopnia pułkownika i, zapomniawszy mowy ojczystej, „w odstawce", osiedlił się na starość w Rydze, gdzie żył do progu naszego stulecia. Nie można się zresztą dziwić ani gorszyć: czyż nie zalecał tej służby młodzieży polskiej jeden z najwybitniejszych pisarzy epoki, Józef Korzeniowski? Inaczej się na te sprawy zapatrywał Apollo Korzeniowski i jego syn; ale czy ten ostatni właśnie nie jest przykładem pewnych zaniedbań w służbie ojczyzny i niebezwarunkowego sprzęgnięcia wszystkich cnót „narodowych" w jednej osobie wybitnego Polaka? Zdarzało się, niestety, że wielkie talenty nie służyły sprawie ojczystej, lub przeciwnie, że bojownik wolności był kobieciarzem lub karciarzem itp. Dlatego cenię specjalnie powieść W. Sieroszewskiego *Zacisze* (publikowaną krótko przed I wojną światową, akurat na 50-lecie Powstania), gdzie rycerska postać ex-powstańca nie jest jednak wolna od tych wad i fatalną grą rolę w losach gniazda rodzinnego, rujnowanego jego hulaszczą lekko-

myślnością. Znało się w życiu i z tradycji niejeden przykład na zło uroku, roztaczanego przez człowieka, który „cierpiał za sprawę".

U nas tego jednak stwierdzić nie wolno. Niedawno, kiedy nie oglądając się na tradycyjne wyobrażenia o Prusie pozwoliłem sobie przełożyć jedną grupę jego utworów ponad drugą, a również, na podstawie własnych wypowiedzi pisarza, ograniczyć bardzo zakres epitetu reprezentanta demokracji i postępu, którym to epitetem Prus był zawsze ozdabiany, uzyskałem herostratesową sławę „antyprusisty" w druku, a uczennice pewnego liceum w Warszawie zwróciły się do mnie z listem piętnującym moją postawę, a przy sposobności wytykającym mi błędy logiczne, barokowość stylu i nadużywanie słów, dla zrozumienia których trzeba sięgać do słownika wyrazów obcych, jak np. „psychopatologia".

2. Mniejsza o tę, słuszną prawdopodobnie, ocenę mego pisarstwa. Więcej zmartwił mnie w studium p. J. Dürr-Durskiego brak konkretnych szczegółów, na których można by oprzeć historycznie udokumentowaną biografię poety. Acz nie mam żadnych pretensji do erudycji, liznąłem w życiu nieco historyki i potrafię odróżnić wiarogodne dane historyczne od powtarzających się z przekazu do przekazu wiadomości niepewnej proweniencji. Do zupełnie pewnych wiadomości historycznych nie mogą być zaliczone nawet „dwukrotne wzmianki" o Zabłockim u Limanowskiego, który zresztą nie ukrywa, że czerpie z dochodzących go pogłosek: „najbardziej czynnymi mieli być: Sawicz... i Tadeusz Łada-Zabłocki" (cytuję za J. Dürr-Durskim).

Limanowski, dużo młodszy od pokolenia uczestników sprawy Konarskiego, mógł te sprawy znać z tradycji przechowywanej w konspiratorskich środowiskach Polski i dowierzał (choć — jak widzimy — z powątpiewaniem) zawodnej pamięci ludzi, którzy mu opowiadali wypadki po latach dwudziestu, kiedy czasem trudno sprecyzować daty ze ścisłością do roku lub dwóch. Zabłocki mógł być czynnym uczestnikiem konspiracji kierowanej przez Konarskiego, a wsypać się półtora roku przed aresztowaniem przywódcy, nie kompromitując go, co by dobrze świadczyło o jego mężnym zachowaniu się podczas śledztwa. Data 1837 w podróży na Kaukaz nie jest na pewno omyłką drukarską: jest ona związana doskonałą konsekwencją chronologiczną z wielkim szeregiem dat poprzedzających i następnych, świadczących o uczestnictwie Zabłockiego w pochodach i walkach kaukaskich już w 1838 r. Gdyby się miało dostęp do historyk oddziałów armii rosyjskiej, biorących udział w podboju Kaukazu, a tym bardziej do archiwów Kaukaskiego Okręgu Wojskowego (dawniej w Tyflisie), można by z całą ścisłością sprawdzić daty figurujące wraz z nazwami miejscowości pod wierszami Zabłockiego. Daty te bliskim współcześnikom poety, a nawet całej Rosji, która z zainteresowaniem śledziła kolejne wyprawy swych wojsk przeciw nieuległym góralom, były zbyt znane, aby je można dowolnie, „z jakichś powodów natury politycznej", „przesuwać", jak przypuszcza mój szanowny oponent. Całe rozplanowanie książki, jej podział na okresy, cały chronologiczny jej kościec z wiele mówiącym wypuszczeniem roku 1837 z twórczości, roku, w którym na jesieni wędrował etapem Zabłocki na dalekie południe, a która to wędrówka musiała być poprzeddzona pobytem w miejscu, gdzie twórczość poetycka była niemożliwa — wszystko to, cała ta swoista opowieść poety o swych losach miałażby być fikcją, obliczoną na oszukanie policji? I po co w czasie, gdy już zesłaniec od szeregu lat odbywał karę za udowodnioną mu zbrodnię polityczną? *Ce serait trop de finesse!*

W braku danych archiwalnych warto by zajrzeć choćby do innych opracowań tego okresu dziejów walki o niepodległość. W swoim studium wspominałem wielką pracę Agatona Gillera, której pierwsze tomy są obrazem walk i konspiracji międzypowstaniowych; choć i ta praca opiera się przeważnie na ustnych przekazach, lecz jej autor jest — bądź co bądź — bliższy tym czasom niż Limanowski i bardziej centralne w nich zajmował miejsce. Niestety, ta niegdyś tak rozpowszechniona w patriotycznych domach polskich książka, którą czytałem dzieckiem z zapartym oddechem, dziś jest rzadkością i nie miałem sposobności dotrzeć do niej ani w czasie pisania studium, ani w chwili obecnej. Zanim więc nie otrzymam pewniejszych i bardziej szczegółowych wiadomości ponad to, co z Limanowskiego produkuje mój szanowny oponent — a chodziłoby o rzeczy tak proste: w jakich latach poeta był uczniem wileńskiej akademii medyko-chirurgicznej? jaki jest jego rok urodzenia, podany zapewne przy immatrykulacji? — muszę pozostać przy moim, wyciągniętym z „książki-autobiografii" Zabłockiego, zarysie jego życia. Cennym natomiast uzupełnieniem jego jest wypisek z K. Wł. Wójcickiego, informujący o końcu życia i śmierci poety, a także dostarczający pewnych danych do obrazu „kaukaskiej szkoły" poezji polskiej.

Tak więc, wykłóciwszy się i, niestety,

nieprzekonany, chciałbym jednak na zakończenie wyrazić wdzięczność p. J. Dürr-Durskiemu za zajęcie się interesującą mnie, a jak widać nieobojętną dla historyka i literaturoznawcy sprawą. Żeby zaś złożyć materialne dowody swej wdzięczności, zakomunikuję niepozbawiony wartości dla historyka konarszczyzny przyczynek do ocha, jakie ta konspiracja miała w liberalnych i rewolucyjnie usposobionych kołach Rosji. Znakomity, choć nie dość w ojczyźnie oceniony powieściopisarz Aleksiej Pisiemskij w swej ostatniej powieści *Masoni*, pisanej między 1878 a 1880 rokiem, której nawet surowi krytycy jej wartości artystycznej nie mogą odmówić zalet znakomicie informującego obrazu historycznego końca pierwszej połowy XIX w. w jego ojczyźnie, wprowadza między postaci działające niezmiernie sympatycznego w swej prostocie i naiwności oficera grenadierów: z jego ludzkim, a nawet wybitnie sympatycznym stosunkiem do Polaków jest to jakby kapitan Rykow, malowany piórem współziomka; bił się z Polakami w 1831 r., ale mógłby powtórzyć: „Ja człek poczciwy, ja was, Państwo Lachy, lubię". Otóż z ust tego kapitana (później majora) dowiadujemy się o „Kanarskim". Ta, zgodna z fonetyką żywego języka rosyjskiego, forma nazwiska polskiego bohatera jest też nie bez znaczenia: świadczy ona, że sprawa doszła uszu Pisiemskiego (który sam znał dobrze język polski i w początkach lat czterdziestu drukował swoje przekłady z *Trenów* Kochanowskiego) nie z jakichś broszur propagandowych czy prasy zagranicznej, lecz jako wieść z ust do ust przekazywana. A kapitan Zwieriow opowiada nam krążące widać wówczas anegdoty o nadludzkiej umiejętności konspirowania się emisariusza Wielkiej Emigracji, którego sam spotkał w pewnym polskim domu pod pseudonimem „Janusz Niemrawa"; o tym, jak car zaskoczył wielkorządcę Litwy Dołgorukowa wiadomością, iż Konarski ukrywa się w kraju powierzonym jego czujności; przekazuje też, jak jego koledzy starali się, gdy przychodziła na nich kolej zaciągania warty przy „Bazylianach", ulżyć doli więźnia i ułatwić stosunki ze światem. Przeistoczone w kształt artystyczny potwierdzałoby to wiadomość, podaną przez p. J. Dürr-Durskiego za Kirkorem, o czynnej sympatii okazywanej Konarskiemu przez rewolucyjny spisek oficerów rosyjskich z Korowajewem na czele (być może przodkiem Kuźmina-Korowajewa, tak sympatycznie usposobionego dla Polski działacza pierwszego dziesiątka lat bieżącego wieku). Do zanotowania są też słowa tego oficera z powieści Pisiemskiego, tchnące uwielbieniem dla męczennika polskiego i konkludujące uwagą „Polacy to naród szlachetny i wspaniałomyślny".

Tak więc, przyczyniwszy się nieco do oświetlenia stosunku liberalnej Rosji do sprawy Konarskiego, oczekuję od erudytów nowych przyczynków do biografii Tadeusza Zabłockiego, ale — o ile możności — ścisłych i źródłowych.

Karol W. Zawodziński

*

WYJAŚNIENIE

Materiały mickiewiczowskie opublikowane w „Twórczości" (1947, z. 3) odnalazł w archiwach rosyjskich, opracował i ogłosił Samuel Fiszman, a do druku materiały powyższe przejrzał i opatrzył swoimi uwagami prof. Stanisław Pigoń.

*

Naklejka na okładce przedstawia gmach Związku Ubezpieczeń Pracowników Umysłowych w Warszawie, projekt. arch. Romuald Gutt i Józef Jankowski.

WYKAZ TREŚCI

Str.

ANDRZEJ BOBKOWSKI: Gris moisi 5

STEFAN TWORKOWSKI: Sprawy architektury 30

BOLESŁAW SKARŻYŃSKI: Polonica w piśmiennictwie szwedzkim w czasie wojny . 51

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI: John Steinbeck — pisarz antyamerykański 62

SPRAWY I TROSKI

KAZIMIERZ WYKA: Dyskusje i zjazdy 87

TADEUSZ HOŁUJ: Prawo pisarza i prawo narodu 99

HENRYK MARKIEWICZ: Zjazd Związku Kół Polonistycznych 106

FRANCISZEK STROJOWSKI: „Czytelnik" znosi rogatki kulturalne 111

NOTY

W. N.: Twórczość teatralna w ZSRR 117

KAROL W. ZAWODZIŃSKI: O prawdę historyczną w biografii 119

SPIS TREŚCI

MIESIĘCZNIKA „TWÓRCZOŚĆ"
ZA IV KWARTAŁ 1947
(PAŹDZIERNIK — GRUDZIEŃ)

(cyfry rzymskie oznaczają zeszyt, cyfry arabskie stronicę)

PROZA

BOBKOWSKI ANDRZEJ: Gris moisi . . . . . XII, 5
KIRILENKO I.: Szumią chłodne fale . . . . . XI, 5
ŻÓŁKIEWSKA WANDA: Kapel . . . . . XI, 111

DRAMAT

MIKULSKI TADEUSZ: Historia sentymentalna . . . . . X, 8
OTWINOWSKI STEFAN: Dobra wróżba . . . . . X, 17

POEZJA

FLOREK TADEUSZ: Erotyk . . . . . X, 6
„ „ Między kroplami deszczu . . . . . X, 6
„ „ Niosę wspomnienie . . . . . X, 7
„ „ W nagłej nagości . . . . . X, 5
„ „ Wyznaczenie pozycji . . . . . X, 5
MARINI GIAMBATTISTA: Adone . . . . . X, 61

ROZPRAWY

BIEŃKOWSKI ZBIGNIEW: John Steinbeck — pisarz antyamerykański . . XII, 62
KAŁUŻYŃSKI ZYGMUNT: Problemy powojennego teatru w Polsce . . . X, 27
LUKACS GEORG: W poszukiwaniu obywatela . . . . . XI, 71
RULIKOWSKI MIECZYSŁAW: Konkursy dramatyczne . . . . . X, 96
SKWARCZYŃSKA STEFANIA: „Celestyna" w koncepcji poetyckiej Rojasa, Acharda i L. Schillera . . . . . X, 70
TOŁSTOJ ALEKSY: Ćwierć wieku literatury radzieckiej . . . . . XI, 44
TWORKOWSKI STEFAN: Sprawy architektury . . . . . XII, 30
ZGORZELSKI CZESŁAW: Mickiewicz w Rosji . . . . . XI, 94

SPRAWOZDANIA, ARTYKUŁY, NOTY

DUBOWA HELENA: Czeska antologia poezji polskiej . . . . . X, 121
FLUKOWSKI STEFAN: „Kwadryga", Lucjan Szenwald i jego poezja . . . XI, 104
GROTTOWA KAZIMIERA: Muzeum historii i rekonstrukcji Moskwy . . . XI, 61
HOŁUJ TADEUSZ: Prawo pisarza i prawo narodu (Trzeci Zjazd ZZLP we Wrocławiu) . . . . . XII, 99
MARKIEWICZ HENRYK: Zjazd Związku Kół Polonistycznych . . . . XII, 106
SKARŻYŃSKI BOLESŁAW: Polonica w piśmiennictwie szwedzkim w czasie wojny XII, 51
STROJOWSKI FRANCISZEK: „Czytelnik" znosi rogatki kulturalne . . . XII, 111
URBAŃCZYK STANISŁAW: Panowanie Mieszka . . . . . XI, 147
W. N.: Twórczość teatralna w ZSRR . . . . . XII, 117
WYKA KAZIMIERZ: Dyskusje i zjazdy . . . . . XII, 87
„ „ Powieść piastowska . . . . . XI, 135
ZAWODZIŃSKI KAROL W.: O prawdę historyczną w biografii . . . XII, 119

SPIS ILUSTRACJI

za rok 1947

(cyfry rzymskie oznaczają zeszyt, cyfry arabskie stronicę)

List Mickiewicza do Franciszka Malewskiego (fotografia) III
Recenzje Mickiewicza (fotografie) III

Ogólnopolski Salon Zimowy w Krakowie

Z. PRONASZKO: Portret . . . . . IV, 23
J. PUGET: Główka dziecka . . . . . IV, 33
J. CYBIS: Pejzaż . . . . . IV, 41
J. FEDKOWICZ: Akt . . . . . IV, 49
W. RADZIEWICZ-WINNICKA: Martwa natura . . . . . IV, 57
W. SZMAŃDA: W pracowni . . . . . IV, 73
M. JAREMIANKA: Akt . . . . . IV, 89

REMBRANDT: Autoportret jako rysownika. Rysunek z 1648 r. . . . VI, 25
„ Powrót syna marnotrawnego. (Ermitaż, Leningrad). Olej z późnego okresu . . . . . VI, 41
„ Młyn. Rysunek z 1641 r. . . . . VI, 49
S. GAŁKOWSKI: Koniki (fragment gobelinu) . . . . . VI, 65
Dłonie tkacza . . . . . VI, 81

BONNARD: Rewia. R. 1890 . . . . . VII-VIII, 33
„ Gra w karty. R. 1905 . . . . . „ „ 49
„ Pejzaż z Vernon. R. 1923 . . . . . „ „ 57
„ Jadalnia. R. 1930 . . . . . „ „ 65
„ Róg stołu. R. 1939 . . . . . „ „ 73
„ Krajobraz. R. 1945 . . . . . „ „ 81

Krajobraz wielkiego miasta (fot. S. Tworkowski) . . . . . XII, 33
Gmach dowództwa marynarki wojennej w Warszawie (proj. arch. R. Świerczyński, fot. E. Koch) . . . . . XII, 33
Sanatorium dla dzieci na Kubalonce (Śląsk Cieszyński) (proj. arch. J. Dobrzyńska i Z. Łoboda, fot. W. Węgrzyn) . . . . . XII, 41
Wnętrze gmachu Dowództwa Marynarki Wojennej w Warszawie (proj. arch. R. Świerczyński, fot. E. Koch) . . . . . XII, 41
Warszawska Spółdzielnia Mieszkaniowa (proj. arch. B. Brukalska i S. Brukalski, fot. J. Bułhak) . . . . . XII, 49
Zapora w Porąbce (opracowanie architektoniczne: arch. M. Veit, fot. T. Kondratowicz) . . . . . XII, 49

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik", Warszawa—Łódź—Kraków.
Redaktor naczelny: Kazimierz Wyka. Sekretarz odpowiedzialny: Karol Kuryluk.
Adres redakcji: Kraków, Basztowa 15, m. 8. Administracji: Wielopole 1.

Cena zeszytu 115 zł + 5 zł (cegiełka na „Dom Słowa Polskiego")
Prenumerata za IV kwartał 1947 300 zł

Pozostałe w ograniczonej ilości

KOMPLETY MIESIĘCZNIKA »TWÓRCZOŚĆ«

za rok 1945 i 1946

mogą nabywać

w okresie od 15-go listopada do 31-go grudnia 1947 roku

BIBLIOTEKI

ŚWIETLICE

CZYTELNICY

Komplet za rok 1945 składa się z 5 zeszytów, łącznie stron 932, cena 140 zł, poprzednio 200 zł.

Komplet za rok 1946 składa się z 11 zeszytów (jeden numer podwójny), łącznie stron 2112, cena 490 zł, poprzednio 700 zł.

Zamówienia należy kierować na adres Prenumeraty Wydawnictw „Czytelnika", Kraków, Powiśle 6, wpłacając jednocześnie należność na konto P. K. O. IV 1632.

KLUB LITERACKI
„Odrodzenia"

STANISŁAW DYGAT — „Pożegnania"

Urocza chłopięca książka. Druga powieść autora „Jeziora Bodeńskiego". Opowiada ona o młodzieńcu z „dobrego domu", który buntuje się przeciwko swemu otoczeniu i stosunkom panującym między ludźmi. Akcja tej dowcipnej, sarkastycznej i z niebywałą lekkością napisanej powieści rozgrywa się w pierwszej części tuż przed wojną, w drugiej — tuż przed wyzwoleniem.

WACŁAW RZEZACZ — „Krawędź"

Głęboka i mądra książka wybitnego współczesnego pisarza czeskiego. „Krawędź" jest powieścią o powstawaniu powieści, jest historią biednego, bezwolnego nauczyciela gimnazjalnego, który przez nędzę i głód, podtrzymywany miłością kobiety, pod urokiem i wpływem swego bohatera powieściowego przezwycięża trudności i staje się literatem.

EFFENDI KAPIJEW — „Poeta"

Jedna z najpiękniejszych i najbardziej poetycznych współczesnych powieści, napisana przez młodego, przedwcześnie zmarłego na froncie filologa, badacza poezji ludowej i poetę sowieckiego. „Poeta" jest opowieścią o słynnym niepiśmiennym kołchoźniku z gór Dagestanu, Sulejmanie Stalskim, który stał się jednym z najpopularniejszych poetów dwustumilionowego Państwa Radzieckiego.

ROGER VAILLAND — „Dziwna zabawa"

Książka, którą zachwyca się Francja. Powieść o młodzieży francuskiej, która dojrzewa w ogniu lat wojenych do nowej koncepcji świata, zachowując jednak cechy swego charakteru narodowego: niezawisłość ducha, zmysł krytyczny, skłonność do autoanalizy, czułość prześwietloną intelektem, sentyment o dwu obliczach: wstydliwości i cynizmu.

ERSKINE CALDWELL — „Na szlaku tytoniowym"

Powieść wybitnego współczesnego powieściopisarza USA „Tobacco road" stała się sensacją Ameryki i przedmiotem interpelacji w Kongresie. Przerobiona na scenę szła jako sztuka przez siedem lat bez przerwy na Broadwayu w New Yorku. Obecnie z równym powodzeniem idzie w Paryżu. Tematem jej jest życie farmerów stanów południowych w okresie depresji gospodarczej. Obraz rozkładu kulturalnego i moralnego jest wstrząsający.

ZOFIA NAŁKOWSKA — „Węzły życia"

Nowa książka znakomitej pisarki, swego czasu ogłoszona w „Odrodzeniu". Plastyczny i barwny opis życia elity będącej u władzy w przedwrześniowej Polsce. Grupie tej przeciwstawia autorka ludzi buntujących się przeciwko ówczesnemu porządkowi. Akcja rozpoczyna się w styczniu, a kończy w sierpniu, tuż przed wybuchem wojny.

KLUB DOBREJ KSIĄŻKI

JERZY ANDRZEJEWSKI — „Popiół i diament"

Nowa książka Andrzejewskiego jest pierwszą i bardzo śmiałą próbą ujęcia nowej rzeczywistości polskiej. Autor przedstawił dzieje pewnego zamachu w maju 1945 r., w chwili kapitulacji Niemiec. Akcja powieści rozgrywa się na przestrzeni kilku dni i obfituje w szereg momentów o wielkim napięciu dramatycznym. „Popiół i diament" możnaby określić jako powieść polityczną, gdyby nie to, że autor ujmuje zagadnienia polityczne raczej na płaszczyźnie moralnej niż ideologicznej. O swej pracy Jerzy Andrzejewski powiedział m. in. „Ludzie najpełniej wychodzą w powieści, jeśli są pokazani w działaniu i od zewnątrz".

WIKTOR NIEKRASOW — „W okopach Stalingradu"

Książkę cechuje mężna szczerość, celność spostrzeżeń, zwartość kompozycji, siła refleksji; powieść stanowi przykład celowości metody obiektywnej przy opisywaniu przeżyć wojennych. Autor jest inteligentem radzieckim — typowym przedstawicielem pokolenia zrodzonego i wychowanego po Rewolucji. Na kartach książki obcujemy z człowiekiem, przekonanym o słuszności sprawy, której bronił i w imię której zwyciężył. Stąd głęboki optymizm, optymizm niedeklarowany czy podkreślany, ale zawarty między wierszami tej uczciwej, jasnej i porywającej książki.

MARIA PUJMANOWA — „Ludzie na rozstaju"

W powieści tej, opisującej czasy międzywojenne, Pujmanova daje obraz niemal wszystkich warstw społeczeństwa czeskiego. Narastający prąd przemian społecznych autorka ukazała z wnikliwością doskonałego obserwatora. Akcja toczy się początkowo w małym miasteczku, następnie w Pradze, odmalowanej barwnie, ze wszystkimi blaskami i cieniami życia wielkomiejskiego, a wreszcie w Ulach, wielkich zakładach tekstylnych w stylu Forda. Całość obrazu narzuca czytelnikowi przekonanie, że jesteśmy naprawdę „na rozstajnych drogach" dziejowego rozwoju.

KSAWERY PRUSZYŃSKI — „Karabela z Meszchedu"

Jest to cykl opowiadań, tematycznie podobnych do „Trzynastu opowieści". Przez treść, osnutą na radosnych, bolesnych czy zaprawionych goryczą tułaczki przeżyciach polskiego żołnierza w obcej służbie, przewija się uporczywe wspomnienie o dalekim kraju, wyidealizowanym przez nostalgię i perspektywę oddalenia. Wspólną cechą wojennych i powojennych opowiadań jest połączenie postępowej ideologii z ponadczasową, romantyczną uczuciowością, która stara się przerzucić pomost między przeszłością a teraźniejszością.

KORNEL FILIPOWICZ — „Księżyc nad Nidą"

Oto co mówi autor o swej nowej powieści. „W przeciwieństwie do opowiadań, zawartych w „Krajobrazie niewzruszonym", budowanych koncentrycznie, przy udziale ograniczonej ilości osób...
...chciałem pokazać ludzi przeciętnych, niewielkiego formatu, czasem niezbyt świadomych swojej roli, takich, jacy byli tymi drobnymi, anonimowymi, ale też najbardziej masowymi udziałowcami wielkich zdarzeń... Jako bazę wybrałem szkołę, która w czasie okupacji niemieckiej odegrała tak ogromną rolę w życiu wsi... Nauczyciel był dla mnie synonimem najmniej efektownego bohaterstwa pracy: pracy wychowawczej i społecznej..."

JOHN BOYTON PRIESTLEY — „Słońce wschodzi w sobotę"

W powieści tej świetny angielski pisarz i dramaturg zapoznaje czytelnika z życiem i problemami podziemnej fabryki broni. Autor porusza zagadnienie wydajności pracy w czasie ostatniej wojny, w chwilach gdy względna cisza na froncie angielskim działała paraliżująco na psychikę robotnika zbrojeniowego. Dla Priestley'a jednak sam proces produkcji jest motywem ubocznym; główny nacisk kładzie na zobrazowanie nastroju i przeżyć ludzi pracy, którzy światło dzienne oglądali tylko w sobotę. Szybka i zwarta akcja stwarza atmosferę nieustającego napięcia.

KSIĘGARNIA
NTYKWARIAT
DOM KSIĄŻKI
DOM
Nº 78904

837/608